

JACEK

MOCNA, MĘSKA PROZA. DOŁĄDOWANIE
ADRENALINY I GWARANTOWANY SUSPENS.
ZARWIESZ NOC, RZUCISZ WSZYSTKO,
ŻEBY POZNAĆ ZAKOŃCZENIE.

KATARZYNA BONDA

OSTROWSKI

ŚMIERĆ NA

BOGATO



SKARPA WARSZAWSKA

**JACEK
OSTROWSKI**

**ŚMIERĆ
NA BOGATO**



Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-82-0



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera.s.c.](http://eLitera.s.c)

Ta powieść nie jest oparta na faktach,
ta powieść uprzedza fakty.

Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

ROK 2024

ROK 2023 WŁOCHY

SYRIA

HISZPANIA

WIELE LAT WCZEŚNIEJ NOWY JORK

ROK 2023 FRANCJA

HISZPANIA

DWA DNI PÓŹNIEJ POLSKA Warszawa

MIESIĄC PÓŹNIEJ WŁOCHY WENECJA

POLSKA POZNAŃ

WŁOCHY SYCYLLIA

HISZPANIA 2024 WALENCJA

INDIE BOMBAJ KILKA LAT WCZEŚNIEJ

HISZPANIA 2024

POLSKA WARSZAWA

NIEMCY

PORTUGALIA

NIEMCY

POLSKA

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ MIASTECZKO NA POŁUDNIU HISZPANII RESTAURACJA MARUJA

ROK 2024

Wczesnym rankiem 17 maja agenci Centralnego Biura Śledczego Policji otoczyli jedną z nieruchomości przy ulicy Wernyhory w Warszawie. Dawniej w tym budynku mieściły się biura ambasady Kuby, a ostatnio firma „Pomocna dłoń”, bohater głośnej sprawy dotyczącej zabójstwa znanego polskiego polityka. To była sprawa z pierwszych stron gazet. Prokuratura wraz z policją zdecydowała się na tę akcję po otrzymaniu kilku anonimowych donosów. Tajemniczy nadawca, podpisujący się jako Mesjasz w swoich mailach wysłanych z nieustalonego adresu, twierdził, że w siedzibie „Pomocnej dłoni” ukrywają się osoby zamieszane w to zabójstwo. Podane przez niego rysopisy idealnie pasowały do poszukiwanych listem gończym Adama P. oraz jego współniczki Agaty R.

Punkt szósta rano uzbrojeni po zęby funkcjonariusze sforsowali furtkę i weszli na teren posesji, ale zanim dotarli do drzwi wejściowych, rozległa się potężna eksplozja, która zatrzęsała okolicą. Z pobliskich budynków wyleciały szyby, zaś sama siedziba firmy „Pomocna dłoń” w jednej chwili zamieniła się w dymiące gruzowisko. Kiedy w końcu po wielu godzinach akcji straży pożarnej dogaszono pogorzelisko, rozpoczęto przeczesywanie terenu w poszukiwaniu ewentualnych ofiar. To była ciężka, mozolna praca, sprawdzano gruz centymetr po centymetrze, by w końcu znaleźć zwęglone zwłoki mężczyzny i drugie, przypuszczalnie kobiety. Niestety, stan tych drugich zwłok uniemożliwił pobranie próbek DNA w celu identyfikacji, ale znaleziono torebkę, szczęśliwie jedynie nadpaloną, w niej zaś dokumenty, w tym irlandzki paszport. Z trudem odczytano nazwisko: Agata Reck. Scenariusz tego, co się tu niedawno wydarzyło, był prosty do odgadnięcia. Poszukiwani Adam P. i Agata R., ujrawszy policjantów i nie chcąc się poddać, wysadzili się w powietrze.

Tydzień później, po potwierdzeniu przez laboratorium kryminalistyki, że znaleziony nieboszczyk to Adam P., śledczy uznali również, że drugą ofiarą wybuchu jest Agata R., a zatem poszukiwania odwołano, sprawa została definitywnie zamknięta.

ROK 2023

WŁOCHY

Późnym wieczorem po zimnym wczesnojesiennym dniu Wenecja powoli układała się do snu. Już tylko pojedynczy mieszkańcy przemykali jej wąskimi uliczkami i znikali w ciemnych czeluściach klatek schodowych kamienic, a zaciemowane u wybrzeża gondole bujały się sennie na leniwej morskiej fali. Z oddali słychać było ponure pomruki okrętowych syren, co i raz przerywane głośnym skrzykiem rybitw klójących się o resztki jedzenia z przepelnionych miejskich śmietniczek. Chwilami między nimi dochodziło do prawdziwych bitew o resztki kanapek czy okruchy czekoladowego batonika. W powietrzu fruwały pióra, dokoła czuć było zapach świeżej krwi.

Na nabrzeżu blisko słynnego i masowo odwiedzanego przez turystów Pałacu Dożów stało dwóch mężczyzn ubranych w długie, ciemne płaszcze przeciwdeszczowe. Młodszy z nich, atletycznie zbudowany, co chwila zaciągał się papierosem, zaś drugi, który z racji wieku mógłby być jego ojcem, ćmił fajkę. To był prawdziwy wilk morski z gęstą siwą brodą i twarzą zoraną głębokimi bruzdami, którą okalały długie kędzierzawe włosy.

Młodszy z mężczyzn wciąż dreptał w miejscu i chuchał w dłonie, co rusz rozglądając się nerwowo.

– Długo jeszcze mamy tu stać? Jest cholernie zimno. Może klient się rozmyślił? Pewnie teraz siedzi w jakiejś restauracji i się z nas śmieje. – Niecierpliwił się.

Jego towarzysz uśmiechnął się dobrodusznie. Pewnie w jego wieku był tak samo porywczy, ale z czasem się zmienił.

– Spokojnie, chłopcze, nie marudź. Na pewno przyjdzie. Znam ludzi tego typu. Lubią, kiedy się na nich czeka, ale nigdy nie zawodzą.

– A kto to jest? Jakaś znana postać? Może jakaś gwiazda filmowa? Słyszałem, że ktoś widział tego Amerykanina, no jak mu tam?... Tom Hanks. Mają tu film kręcić. Nie wiem, czy panu mówiłem, ale mój ojciec wiele lat temu załapał się na statystę, kiedy kręcili Bonda. Dwa dni pływał gondolą od jednego mostu do drugiego i z powrotem. Gdyby kazali mu jeszcze z dzień tak pływać, to miał rzucić to w cholerę, i to mimo że dobrze płacili. Po prostu miał dość.

– To nie Tom Hanks.

– No to może Bradley Cooper? Siostra mi mówiła, że widzieli go w hotelu.

– Zamknij się w końcu! – Stary się zdenerwował. – Nie znam żadnego Coopera. Pamiętam jednego, ale to był Gary Cooper i, o ile wiem, od dawna nie żyje. To żaden błazen telewizyjny, tylko normalny facet z kupą forsy. Młody, nauczył się w końcu cierpliwości. Tyle razy ci mówiłem, że jeśli chcesz być dobrym marynarzem, to musisz uspokoić nerwy, bo z nich jest zły doradca, kiedy musisz podejmować nagle i często brzemienne w skutki decyzje. Praca na morzu to ciąg sytuacji ekstremalnych, gdzie drobny błąd może cię kosztować życie. Zawsze kalkuluj na zimno. Zapamiętaj to!

Wyjął fajkę z zębów i zaczął ją czyścić. Szło mu to nad wyraz sprawnie, w jego ruchach widać było lata praktyki. Postukał cybuchem w słup pobliskiej latarni, pozbywając się resztek popiołu. Sięgnął za pazuchę po nowy tytoń i zaczął od nowa napełniać główkę. Młody przyglądał się temu z ironicznym uśmiechem na twarzy. Jemu by się nie chciało tak bawić, stwierdził. Papieros jest dużo wygodniejszy.

Ktoś przebiegł ulicą, na chwilę skupiając ich uwagę. To tylko zwykły wielbiciel joggingu, takich tu ostatnio nie brakowało. Jak szybko się pojawił, tak też zniknął. Stary jedynie pokręcił głową z pogardą, bo on coraz mniej rozumiał młodych. Kiedy miał dwadzieścia kilka lat, już od dawna był na morzu. Najpierw pływał na starym parowcu, wrzucał węgiel do kotła, bo wtedy wszystko odbywało się ręcznie. Zdarzało się, że przez wiele dni nie widział morza, bo cały dzień trzymał szufłę w garści, a wieczorem padał ze zmęczenia. Później przyszła rewolucja technologiczna, parowce pocięły na zyletki, ale i tak w jego życiu niewiele się zmieniło, bo robota go zawsze kochała, dużo bardziej niż kobiety. Nie inaczej było dziś, bo na starość za wszystkie oszczędności kupił motorówkę, a teraz codziennie obwoził nią pustych, durnych turystów po Wenecji. W ten oto sposób zburzył rodzinną tradycję, bo od niepamiętnych czasów mężczyźni z rodu Bottów jak nie parali się żołnierką, to byli gondolierami, ale tym się nigdy zbytnio nie przejmował. Na żołnierza był za stary, na gondoliera już za słaby, a z czegoś musiał żyć.

Pogoda zaczęła się raptownie pogarszać. Delikatny początkowo deszczyk powoli przekształcał się w prawdziwą nawałnicę. Nie wiadomo kiedy wiatr się wzmógł i zaczął z dziką furią atakować powierzchnię morza i okoliczne drzewa. Mężczyźni zarzucili kaptury na głowy i czekali dalej. W pewnym momencie ktoś zwrócił ich uwagę.

Korpulentny mężczyzna, odziany w długi foliowy płaszcz przeciwdeszczowy, energicznym jak na swoją tuszę krokiem zbliżał się do nich od strony Pałacu Dożów. Nieudolnie omijał kałuże, co i raz w którąś wdeptując i rozbryzgując wodę na wszystkie strony. W końcu dotarł na nabrzeże i się zatrzymał. Zmierzył marynarzy czujnym, niespokojnym wzrokiem, co miało swoje uzasadnienie, bo co rusz w Wenecji dochodziło do napadów na turystów, niektóre z nich były brutalne, a kilka zakończyło się tragicznie. W świetle pobliskiej latarni dobrze widział ich twarze. Starszy wzbudzał jego zaufanie, prawdziwy wilk morski, przypominał mu trochę z wyglądu książkowego kapitana Ahaba z powieści Moby Dick autorstwa Hermana Melville'a. Drugi zaś nie wyróżniał się niczym, zwykły chłystek, jakich tu na ulicach pełno z telefonami komórkowymi przyklejonymi do uszu. Musiał tym dwóm zaufać, gdyż nikt inny nie chciał się podjąć tego zlecenia. Każdy porządny weneccjanin o tej porze śpi lub wytacza się pijany z jakiejś portowej tawerny, a nie wypływa w morze, nie mówiąc już o celu tego rejsu.

– Długo kazał nam pan na siebie czekać – przywitał go starszy z mężczyzn.

– Przepraszam, ale na drodze był wypadek i utworzył się okropny korek.

– Dobra, wsiadaj pan, szkoda czasu, bo pogoda się psuje. Dokąd mamy płynąć?

– Tam! – Zleceniodawca wskazał palcem jakiś nieokreślony punkt za plecami marynarzy, gdzieś daleko na horyzoncie.

Wilk morski wbił w przybysza ciekawe, a jednocześnie ciut rozdrażnione spojrzenie. Pogoda psuła się z minuty na minutę i każdy rejs poza okoliczne kanały stawał się nie lada wyzwaniem, a jeszcze godzinę temu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

– „Tam” ma jakąś nazwę? Moja łajba, mimo że nie jest tak stara jak ja, to do Ameryki nie dopłynie, do Afryki też nie. A więc dokąd konkretnie mamy, nasz łaskawco, płynąć?

– Płyniemy na Poveglię.

Twarz starego pokryła się bladeścią. Żaden inny kierunek by go nie zaskoczył, ale takie zlecenie? Czy ten mężczyzna wie, o co prosi? To jest przecież czyste szaleństwo. Tam nikt nie pływa.

– Czy pan zwariował?! – wybuchnął, gestykulując zamaszycie. – To jest nielegalne! Nie ma mowy!

– Nie rozumiem. – Klient nie krył zdziwienia. – Twierdził pan, że żadna trasa nie będzie problemem, wszystko zależy od zapłaty. Tu cytuję jedynie pańskie słowa. Ja się od sowitej zapłaty nie uchylam i chcę, żebyście mnie tam zawieźli. Nic więcej.

– Nie wie pan, że Poveglia jest wyspą zakazaną? Tam nikt nie ma wstępu za dnia, a cóż dopiero nocą. To jest przeklęty kawałek lądu. To jest jeden wielki cmentarz. Tam mieszkają jedynie upiory... – tłumaczył mu z przejęciem marynarz. Chwilami się jąkał, a głos mu drżał. Za wszelką cenę chciał klientowi wyperswadować ten rejs. Ach ci przekłęci turyści, szukają mocnych wrażeń. Wszystko by dali za ładną fotografię, którą się później pochwalą w Internecie. Młodego by jeszcze zrozumiał, ale żeby stary chłop był tak głupi?

Klient wysłuchał tego spokojnie, po czym parsknął śmiechem.

– Słyszałem co nieco. Wierzy pan w te bzdury? Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, latamy w kosmos, a pan mnie upiorami straszy? Proszę nie żartować.

– Ja w to wierzę. Zresztą jest oficjalny zakaz. Nie wolno nam wozić tam turystów, i to pod żadnym pozorem. Jeśli pana tam zawiozę, to mogę stracić licencję. Nie mogę tak ryzykować. Nie ma mowy. Niech pan szuka kogoś równie szalonego jak pan. Życzę powodzenia.

Marynarz uważał rozmowę za zakończoną i spojrzał znacząco na swojego współtowarzysza.

– Nigdzie nie płyniemy! – rzucił w jego stronę. – Idziemy!

Wolnym krokiem ruszyli w stronę miasta.

– Nawet za trzy tysiące euro w gotówce?! – Usłyszeli okrzyk zza pleców.

Stary marynarz zatrzymał się raptownie, po czym wrócił. Stał przed nieznanym i spojrzał mu czujnie w oczy. Najwyraźniej upewniał się, czy tamten aby nie żartuje, ale twarz klienta była śmiertelnie poważna.

– Ile? – upewniał się, czy się przypadkiem nie przesłyszał, bo wcześniej umówiona kwota była znacząco mniejsza.

– Trzy tysiące euro, i to gotówką.

Nieznanomy powoli sięgnął ręką za pazuchę. W chwilę potem w jego dłoni pojawił się gruby plik banknotów, same o nominalnie pięćdziesięciu euro. Oczy starego wilka morskiego, dotąd przygaszone, natychmiast nabrały młodzieńczego blasku. Patrzył na pieniądze niczym kobra na flet zaklinacza węży. Taki zarobek po sezonie to była dla niego nie lada gratka, tym bardziej że w perspektywie miał kosztowny remont łodzi. Byłby idiotą, gdyby czymś takim pogardził.

– To niebezpieczne. Wyspa jest niegościnna, od lat jest niezamieszкана.

Tym razem w jego głosie trudno było znaleźć wcześniejszą nutkę protestu.

– Dodam jeszcze tysiąc euro.

Nieznajomy ponownie sięgnął za pazuchę i wyjął nowy plik banknotów, odliczył dwadzieścia i dołożył je do pierwszej kwoty.

– Teraz mam tu cztery tysiące euro wolnych od podatku. Jaka jest pańska decyzja? Płyniemy czy mam szukać innego żeglarza?

Marynarz mimo padającego deszczu zsunął kaptur i podrapał się po głowie. To był jedynie wymuszony gest wahania, bo decyzję już podjął.

Od stuleci o Poveglia krążyły mroźne krew w żyłach legendy. Niektórzy twierdzili, że tamtejsza ziemia w pięćdziesięciu procentach składa się z ludzkich prochów, a po budynkach znajdującego się tam opuszczonego wiele lat temu szpitala psychiatrycznego snuje się duch jego ostatniego dyrektora, zabójcy niezliczonej liczby swoich pensjonariuszy. Poveglia to był ulubiony temat tutejszych marynarzy i gondolierów, często po wypiciu kilku kieliszków mocnego trunku opowiadali, że przepływając w okolicy wyspy, słyszeli potępienne krzyki. Zdarzali się też tacy, co twierdzili, że na własne oczy widzieli ducha dyrektora szpitala stojącego w oknie swojego gabinetu. Ile prawdy było w tym wszystkim, tego stary wilk morski nie wiedział, ale na wszelki wypadek wołał to miejsce omijać szerokim łukiem. Dziś jednak perspektywa świetnego zarobku potrafiła przełamać jego strach. Dla czterech tysięcy euro był gotów zaryzykować i stanąć oko w oko z upiorami.

– Ile czasu mamy przebywać na tej przeklętej wyspie?

– Maksimum dwie godziny. Tylko ja wysiądę na ląd. Wy poczekacie w łodzi.

– Zgoda, zawieziemy tam pana, ale usługa będzie płatna z góry.

Na twarzy klienta pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia. W końcu osiągnął to, co chciał. Długo się nie zastanawiając, wcisnął pieniądze w dłoń marynarza.

Ten, nawet ich nie policzywszy, schował je pospiesznie do kieszeni płaszcza, poprawił kaptur na głowie i energicznie, jak na swój wiek, ruszył wzdłuż nabrzeża. Młody i klient podążyli za nim.

Przeszli dwieście, może dwieście pięćdziesiąt metrów i zatrzymali się przy kilku gondolach, między którymi była zakotwiczona spora motorówka. W lichym świetle pobliskiej latarni błyszcząca czerwono-niebieskimi barwami. Nieznajomy wsiał jako pierwszy, później stary marynarz, a na końcu młokos, ale zanim to uczynił, odwiązał cumę od nabrzeża.

W chwilę potem zaryczał potężny silnik firmy Yamaha, od lat bardzo chętnie montowany w szybkich łodziach motorowych. Bogatsi właściciele często szli jeszcze o krok dalej i instalowali dwa takie silniki, przez co ich motorówki nabierały prawdziwego wigoru, często były szybsze od policyjnych łodzi, co nieraz było bezcenne.

– Nawet tu wkroczyła nowoczesność – zauważył klient.

– Tak jak wszędzie. Trzeba iść z postępem, zresztą na wioślach nie da rady dalej popłynąć, a wyspa leży kawałek od wybrzeża. Pan to chyba obcokrajowiec? Poznaję po mowie. Ma pan obcy akcent.

– Jestem Polakiem, ale mieszkam tu prawie całe życie.

– *Polacco?* Lewandowski, papież Jan Paweł II i Waleza.

Nieznajomy machnął ręką, tak jakby odganiał natrętną muchę.

– Tak, ale to już przeszłość. Nie warto o tym mówić.

– Czemu? My się wielkimi ludźmi chwalimy.

– A czym tu się chwalić? Jeden jest tylko piłkarzem, drugi dawno nie żyje, a trzeci gada same głupoty. Było, mięło.

– To kim się teraz chwalicie? Kto jest taki ważny w waszym kraju?

– Jeszcze niedawno to byli Kaczyński, premier Morawiecki, prezydent Duda. Teraz niestety znów ten Tusk rządzi, czyli Niemiec. Nic z tego dobrego nie będzie.

Włoch się skrzywił, jakby się napił octu.

– Nie słyszałem o nich. Ale zaraz, widziałem raz w telewizji tego waszego prezydenta, taki śmieszny facet. Czemu płynie pan na wyspę? Był pan tam kiedyś?

– Byłem.

Marynarz z niedowierzaniem pokręcił głową. Skoro już był, to po cholere jeszcze raz się tam wybiera? Przecież tam nie ma nic ciekawego, jedynie ruiny szpitala i dżungla chwastów, a na dodatek wyprawa o tak późnej porze...

– Czemu pan się tam znów udaje? Tam jest paskudnie, a nocą straszny.

– Mam swoje powody. Płacę też za niezadawanie pytań.

– Nie znalazł pan lepszego miejsca? Zdarzały mi się nieraz dziwne i szokujące zlecenia, ale wyprawa na Poveglię o północy? Nie wygląda mi pan na szaleńca.

Nieznamy nic na to nie rzekł, jedynie się zagadkowo uśmiechnął.

Tymczasem motorówka wciąż mknęła w morze. Gdzieś w oddali mimo ciemności można było dojrzeć czerwone światła lamp sygnalizacyjnych, ostrzegających przepływające statki przed zdradliwymi mieliznami.

Słychać było hulający wiatr, deszcz ciął ich po twarzach ostrymi jak brzytwa kropelkami wody, a fale z dziką pasją uderzały w burty łodzi tak, jakby broniły dostępu do Poveglii.

– Może to jakiś przemytnik? – krzyknął młokos wilkowi morskiemu do ucha. – Może tu chodzi o narkotyki? A gdybyśmy go wyrzucili za burtę? Już nam zapłacił. Jak nas złapią z koką, to nas wsadzą, i to na długie lata.

Stary spojrział na niego, wstrząśnięty do głębi tą propozycją. Jak ona w ogóle mogła paść? Tego się po młodym nie spodziewał. Naprawdę by to zrobił? Wyrzuciłby klienta?

– Pietro, co ty gadasz? Nie jestem mordercą. Jak mógłbym wywalić chłopca za burtę? Popierdoliło cię czy co?

Klient zauważył, że rozmawiają między sobą. Jednak przez wyjący wiatr nie słyszał o czym. Zaniepokoiło go, że przy tym wciąż na niego zerkają. Być może wzięli go za przestępcę. Otwarte morze, noc i ich dwóch, silnych fizycznie mężczyzn, przeciwko niemu. W razie jakiegś awantury nie miałby żadnej szansy. Musiał jakoś zareagować, i to natychmiast, zanim coś postanowią, bo później będzie trudno ich od tego odwieść. Przesunął się bliżej nich. Tak żeby słyszeli, co mówi.

– Jeśli się obawiacie, że to jakaś kryminalna sprawa, to muszę was uspokoić. Jestem duchownym.

Rozsunął płaszcz, żeby mogli zobaczyć na jego szyi koloratkę.

– Dzisiaj jest rocznica śmierci pewnej znamienitej weneckanki i chcę się pomodlić nad jej prochami. O to prosiła mnie jej rodzina, to ich prababka. Była pacjentką tego szpitala i ofiarą szalonego dyrektora. Czyż mogłem im odmówić?

– No widzisz?! – ryknął stary wilk morski na swojego współtowarzysza. – Mówiłem ci, że znam się na ludziach. Chciałeś wyrzucić za burtę księdza. W piekle byś się za to smażył. Masz dług wobec mnie, bo ci uratowałem twą podłą duszę.

– Żartowałem... – bąknął młody w ramach przeprosin i wziął się do zwijania liny, zaś jego kompan zaczął napełniać fajkę tytoniem.

– Już ją widać. – Stary wskazał klientowi mającący w oddali rozmyty kształt.

Dopływali. Teraz bez trudu można było zauważyć wyspę, a nawet kontury jakichś zabudowań. To był duży kompleks architektoniczny, a nad wszystkim górowała strzelista wieża przypominająca kościelną dzwonicę.

– Gdzie przybić?

– Niech pan wpłynie do kanału rozdzielającego wyspę, tam powinno być molo, jeśli się jeszcze nie rozpadło ze starości. Wie pan, gdzie to jest?

– Oczywiście. Byłem tu kilka razy, wtedy moją łódź wynajęli urzędnicy. Rok temu molo wciąż było, ale w rozsypce.

Marynarz skierował łódź do brzegu, a po chwili wyłączył silnik. Teraz płynęli siłą rozpędu i w kompletnej ciszy, bo wiatr, który dotąd dawał im się ostro we znaki, niespodziewanie się uspokoił, deszcz ustał i nawet morze przestało nacierać na burty. Teraz je zaledwie delikatnie pieściło, niczym tkliwy kochanek swoją wybrankę, ale to wszystko tylko potęgowało nastrój grozy. Młokos z trwogą spoglądał na wynurzające się z ciemności kolejne budowle, skrycie się przeżegnał, czuł, jak ze strachu ciarki przechodzą mu przez plecy. Nic dziwnego, on tu nigdy nie był. Znał to miejsce jedynie z opowieści, często mocno przejawskrawionych, a wyobraźnia dorobiła resztę. Teraz nasłuchiwał wycia potępieńców, ale wciąż panowała niczym niezmacona cisza.

Nagle usłyszeli tępy odgłos uderzenia, to motorówka dobiła do celu, do starego drewnianego i bardzo zmuszającego pomostu. Pale wbite w dno jeszcze się jako tako trzymały i opierały wodzie, ale podest był już bardzo zdradliwy. Przegniłe deski stwarzały ogromne zagrożenie dla człowieka, były podstępna pułapką, bo w każdej chwili mogły się zarwać pod jego ciężarem.

Młokos wyskoczył z łodzi i przywiązał cumę do skorodowanej metalowej obręczy przymocowanej do najbliższego słupa. Duchowny starał się pójść w jego ślady, ale szło mu to nieporadnie, bujał się na nogach, próbując utrzymać równowagę. Stary marynarz przyszedł mu z pomocą, podparł go, przytrzymał i mężczyźninie w końcu udało się opuścić łódź. Niebezpiecznie zaskrzypiały deski pod jego stopami, wygięły się, ale wytrzymały ciężar.

– A co mamy zrobić, jeśli pan nie wróci do rana?! – krzyknął za nim stary.

– Wróć! Duchy mnie nie zjedzą, bez obaw. Ale gdybym nie wrócił do świtu, to możecie odplłynąć. Mam przy sobie telefon, więc dam sobie radę.

– Proszę na siebie uważać. Może chce pan latarkę? Tu prawie nic nie widać.

– Dziękuję, ale mam ją w komórce. Zresztą drogę do tamtego miejsca znam.

– Dobrze, a zatem czekamy.

Stary marynarz sięgnął do skrzyni i wyjął z niej kanister. Trzeba było do baku dolać paliwa. Od czasu kiedy mu zabrakło benzyny na morzu i nie udało mu się uruchomić zapowietrzonego silnika, pilnował, żeby się ta sytuacja więcej nie powtórzyła. Wtedy prądy morskie zniosły go sto kilometrów od brzegu. Dobrze, że go wypatrzył marynarz z cypryjskiego frachtowca, bo inaczej chyba dopłynąłby do Afryki, a tam wciąż trwa krwawa wojna.

Odkręcił wlew baku i zaczął lać. Młokos tymczasem wyjął z kieszeni zakrzywiony kozik i kawałek drewna. Rzeźba w drewnie to była jedna z niewielu jego pasji. Chciał iść do szkoły plastycznej, ale okrutnie kulał z podstawowych przedmiotów. Nie miał do nauki głowy, więc nim dobrnął do siódmej klasy, porzucił szkołę, a to automatycznie przekreśliło jego plany dotyczące edukacji artystycznej. Niemniej wciąż rzeźbił i swoimi dziełami obdarowywał znajomych.

Tymczasem duchowny poszedł w stronę lądu. Deski co i raz trzeszczały pod naciskiem jego stóp i niebezpiecznie się wyginały, ale żadna nie pękła. Jeszcze rok, może dwa i pomost się zupełnie rozpadnie. To było już przesądzone.

Kładka się skończyła i zaczął się szeroki brukowany trakt. Mężczyzna nawet chwilę się nie zastanawiał, tylko od razu skierował się w stronę widocznego w oddali budynku przypominającego z wyglądu świątynię. Szedł pewnym, zdecydowanym krokiem, co chwila oświetlając sobie drogę w obawie przed głębokimi dziurami i odkrytymi studzienkami kanalizacyjnymi, których było tu sporo. Z takimi pułapkami miał niemiłe wspomnienia. Wiele lat temu, kiedy pojechał zobaczyć się z pewnym pustelnikiem na jakimś pustkowiu, wpadł do głębokiej jamy i w żaden sposób nie mógł się uwolnić. Kilka dni czekał na pomoc, aż w pewnym momencie stracił już wszelką nadzieję. Był skrajnie odwodniony, wygłodzony, chwilami tracił przytomność. I wtedy zdarzył się prawdziwy cud, bo przyplątał się jakiś bezdomny, który zawiadomił służby, i go uratowano. Od tej pory zawsze patrzył uważnie pod nogi.

Zatrzymał się przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami ze stali. Oświetlił je dokładnie. Były okropnie zniszczone, pokryte mnóstwem ciemnych plam korozji, zajadłe wgrzyzającej się w blachę. Na pewno nie zapraszały do środka, wręcz przeciwnie – odstraszały. Wyglądały na nieotwierane od wielu lat, ale wiedział, że to nieprawda, że to tylko złuda. Napał na nie ręką i pchnął je energicznym ruchem. Rozległ się potworny zgrzyt metalowych zawiasów, który brutalnie rozdarł nocną ciszę, płosząc sowy zagnieżdżone pod dachem. Te z głośnym trzepotem piór, pohukując groźnie, wzbily się w powietrze. Mężczyzna ostrożnie, krok po kroku wszedł do budynku. Znalazł się w długim, wąskim korytarzu, dyskretnie oświetlonym nielicznymi lampami jarzeniowymi umieszczonymi na ścianach tuż pod sufitem. Na jego końcu były następne drzwi. Po chwilowym zawahaniu mężczyzna ruszył w ich kierunku, a właściwie skradał się, ostrożnie stawiając stopy i jednocześnie światłem latarki omiatając ściany obwieszane niezliczoną liczbą fantastycznych kilimów z pajęczych nici. Wreszcie dotarł do celu. Te drzwi były zupełnie inne niż poprzednie, bo wąskie, jednoskrzydłowe, ale o dziwo nie nosiły żadnych śladów zniszczenia. Ich wygląd zupełnie nie pasował do tego miejsca. Były ciemnobrązowe i odnosiło się wrażenie, że są wykonane z brązu. Oczywiście była to tylko iluzja, efekt specjalnej farby użytej do ich pomalowania. Całą ich powierzchnię pokrywały dziwne znaki, które ktoś starannie wyrył ostrym narzędziem. Z wyglądu na pierwszy rzut oka przypominały egipskie hieroglify pomieszczone z gotyckimi literami i mogłoby się wydawać, że w tym wszystkim tkwi jakieś szaleństwo. Ale czy na pewno? Drzwi były zamknięte i pozbawione klamki.

I co tu dalej zrobić? Duchownemu myśli dosłownie szalały po głowie. Jak sforsować te przeklęte drzwi? W końcu je, w odruchu desperacji, pchnął. Ustały dosłownie pod naciskiem palca. Rozwarły się bezszelestnie. Mężczyzna zrobił krok do przodu i stanął, zdumiony. Znajdował się w progu dużego pomieszczenia, sali przerobionej na mieszkanie, właściwie na luksusowe mieszkanie loftowe. Światło dawał jedynie nieduży kinkiet wiszący na ścianie. Przybysz chwilę przyzwyczajał oczy do panującego tu półmroku, nim wszystko dokładnie dojrzał. Na środku stały duże czarne komplety wycieczkowe ze skóry i ciężka drewniana kolonialna ława. Hen pod ścianą zobaczył regał wypełniony jakimiś pułkami. Jego szczególną uwagę zwrócił wiszący na ścianie portret Saddama Husajna, okrutnie podziurawiony kulami, właściwie nimi rozszarpany. Obok niego w podobnym stanie wisiała podobizna mężczyzny w turbanie. Ta twarz nic nie mówiła mężczyźnie. Natomiast następny obraz był bardzo na czasie, bo przedstawiał Putina. Ktoś nie miał za grosz litości i dla tego portretu. Był poszatkowany dziesiątkami okrągłych otworów, spora część dzieła to były jedynie ledwie trzymające się ramy małe skrawki płótna. Rosyjskiego prezydenta dało się rozpoznać tylko po fragmencie twarzy. Właściciel tego mieszkania najwyraźniej nie lubił despotów, czemu dawał wyraz w specyficzny sposób, strzelając do ich podobizn.

Mężczyzna chciał wejść dalej, ale usłyszał zza pleców zachryplę męski głos.

– Sukinsynu, łapy do góry! I to już!

W jego sytuacji trudno byłoby nie ulec takiej propozycji. Niezwłocznie wykonał polecenie, po czym chciał się odwrócić, ale kiedy poczuł na plecach luźną, natychmiast poniechał tego zamiaru.

– Jestem tu w pokojowych zamiarach. Szukam majora Kingsleya. Domyślam się, że to pan?

– A kto pyta?

Czuł, że lufa coraz bardziej na niego napiera, natrętnie uwierała go między żebrami.

– Adam Pakulski – wydukał.

– Nic mi to nie mówi. Kim jesteś, panie Pakulski? Jak mnie znalazłeś i czego, do cholery, chcesz? Tylko mi tu kitu nie wciskaj. Jestem człek nerwowy, ręce mi drżą i mogę pod wpływem impulsu niechcący nacisnąć spust. Kaliber spory, więc zrobi ci dziurę w plecach wielkości sporego arbuza. Tego żaden konował nie załata, nawet najzdolniejszy.

– Jestem duchownym, nie jestem pana wrogiem. Szukam pewnej kobiety.

– Kogo szukasz?

– Agaty Reck. Muszę się z nią pilnie zobaczyć.

– Nie znam takiej.

Wiedział, że tamten kłamie. Szukał Agaty od roku, poruszył wszystkie watykańskie znajomości i tropy zaprowadziły go właśnie na tę wyspę. Major był jej dowódcą na ostatniej misji. To była Syria. Wpadli w zasadzkę i dostali się do niewoli. Torturowano ich, ale przetrwali i po roku udało im się uciec. Tego się dowiedział od jednego amerykańskiego kardynała, który miał dobre kontakty w CIA. Niemożliwe, żeby Kingsley nie wiedział, co się z nią dzieje obecnie. Takie przeżycia wytwarzają specyficzną więź, często dużo silniejszą niż więzy rodzinne.

– Mogę już opuścić ręce? Mam chore stawy, bolą mnie – poprosił.

– Opuść i się powoli odwróć – rozkazał major.

Tak też skwapliwie uczynił. Teraz zobaczył gospodarza. Stał przed nim starszy mężczyzna. Długie siwe włosy trzymała w ryzach szeroka opaska pleciona z rzemieni. Twarz szczupła, rysy ostre, policzki zapadłe, oczy niebieskie, spojrzenie przenikliwe, raczej mało przyjazne. Kilka widocznych dużych blizn, jedna na czole, inne na policzkach, pewnie wojenne pamiątki. One dla weteranów były czasem więcej warte niż jakiegokolwiek orderu. Był ubrany w mundur polowy, ale bez dystynkcji, taki, jaki można kupić za grosze w pierwszym lepszym sklepie z militariami. Na nogach miał wysokie wojskowe trapezy. Mierzył do niego z obrzyna. Tak jak mówił, to był spory kaliber. Trudno było tego nie zauważyć, widząc grubość lufy. Teraz przyłożył ją Pakulskiemu do brzucha.

– Nawet nie drgnij – wyszeptał groźnie i sięgnął mu do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyjął z niej portfel, a z niego dokumenty. Zdumiał się na widok watykańskiego paszportu. Odsunął flintę i wskazał nią kanapę.

– Siadaj tam! Tylko bez jakichkolwiek numerów.

Pakulski grzecznie ruszył w głąb mieszkania, a gospodarz podążał krok za nim. Teraz przybysz mógł się lepiej przyjrzeć wyposażeniu. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte grubymi kotarami, to dlatego zbliżając się do budynku, nie zauważył żadnego światła. Na posadzce leżały wschodnie kobierce. Były przepiękne. Major zauważył jego zainteresowanie.

– To zdobycz wojenna. Zabrałem je rosyjskiemu dyplomacie. Jemu i tak już były niepotrzebne. – Zaśmiał się zło-wieszczo.

Pakulski usiadł na kanapie, a Kingsley rozsiadł się w fotelu naprzeciwko. Obrzyn wciąż trzymał w pogotowiu, teraz położył go sobie na kolanach.

– Powiadasz, że jesteś biskupem? Biskupa jeszcze nie zabiłem, mułkę owszem. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Pakulski poczuł pot spływający mu z czoła. Chyba źle to zaplanował, trzeba było wziąć ze sobą karabinierów. Komendant na pewno by mu nie odmówił pomocy, miał do spłacenia dług wdzięczności jeszcze sprzed wielu lat. Ochrcił mu wnuczkę, choć jej rodzice nie mieli ślubu kościelnego.

– Kogo szukasz, bo nie wiem, czy dobrze usłyszałem?

– Agaty Reck.

Major parsknął niepohamowanym śmiechem.

– A czego możesz chcieć od niej? Raczej nie sądzę, żeby gustowała w duchownych, a już na pewno nie leży krzyżem w kościele. A może chcesz ją przekonać, żeby została zakonnica?

– Czyli jednak pan ją zna?

– Może znam, a może nie znam. Wyciągnij przed siebie ręce i pokaż dłonie.

Duchowny zbladł. Zaskakujące polecenie. Chyba nie połamie mu palców? Słyszał o różnych metodach przesłuchań, między innymi o wyrywaniu paznokci czy miażdżeniu kości. Wiedział, że nie jest wytrzymały na ból, jak tamten go zacznie męczyć, to przyzna się nawet do ukrzyżowania Chrystusa.

Strachliwie wyciągnął je przed siebie. Czuł, jak mu drżą, i za wszelką cenę chciał to ukryć. Kingsley z niesmakiem pokręcił głową.

– Gładkie niczym dupa niemowlaka. Nie rozumiem, czemu katolicy żywią was, nierobów. Nie mają na co pieniędzy wydawać? Dobra, mów szybko, czego chcesz od Agaty, tylko nie kręć. Jak wyczuję, że kłamiesz, to odstrzelę ci najpierw fiuta, a później łeb i wrzucę tve marne szczątki do morza.

– Nie jestem sam. Czekają na mnie na przystani.

– No to co, amunicji na nich też mi wystarczy. Gadaj szybko, bo jak mówiłem, niecierpliwy ze mnie gość. Kiedyś zastrzeliłem arabskiego sklepikarza, bo za wolno podawał mi papierosy.

– To sprawa prywatna – wydukał Pakulski.

Major z marsową miną przeładował flintę.

– Zła odpowiedź – mruknął pod nosem.

– Chodzi o jej ojca! – krzyknął Pakulski.

Lufa karabinu uniosła się i teraz celowała prosto w głowę przybysza.

– Co ty pierdolisz?! Ona nie ma ojca! Ty cholerny złamasie, czego naprawdę od niej chcesz? Daję ci minutę, a potem... – Lufa zaczęła się powoli opuszczać.

Pakulski w mig się zorientował, że to nie przelewki, ten gość ma nierówno pod sufitem i naprawdę może go zać. Nie miał wyboru, musiał się ratować, ale czy tamten mu uwierzy? – myślał spanikowany.

– Ma ojca, ja nim jestem – wyrzucił z siebie.

W jednej chwili wyraz twarzy gospodarza raptownie się zmienił. Kingsley wbił w niego wściekle spojrzenie, po czym nagle zerwał się z fotela, pchnął Pakulskiego kolbą karabinu tak, że ten spadł z kanapy na posadzkę. Major postawił mu na brzuchu but, przycisnął go nim tak, że nie mógł się ruszyć, po czym oparł mu karabin na głowie.

Biskup poczuł na czole zimną lufę obrzyna. Śmierć zadrzała mu w oczy, pierwszy raz od dziesięciu lat, kiedy to w Perugii ojciec jednego z ministrantów oskarżył go o molestowanie syna. Pomylił go z innym duchownym, zresztą bardzo do niego podobnym. Ogarnięty żądzą zemsty, wtargnął do zakrystii z rewolwerem w rękę. Na szczęście nie znalazł w sobie tyle odwagi, by pociągnąć za cyngiel. Inaczej by go tu dziś nie było.

– Słowo! Jestem jej ojcem! Błagam, nie zabijaj! – zaczął krzyczeć na cały głos. – Ona może tego nie wiedzieć, ale to prawda!

– Kurwa mać, przestań się wydzierać! Nie jestem głuchy! Agata opowiadała mi o swoim pierwszym psie. Ponoć urodził się tego samego dnia co ona. Jak miał na imię? Zastanów się, od tego zależy twoje zasrane życie. Jeśli go nie znasz, to już jesteś trupem.

Zapanowała grobowa cisza.

Cholera, jak on miał na imię? Biskup nie miał o jej psie zielonego pojęcia. Myśli krążyły mu jak szalone po głowie. Tamten na pewno nie żartował, musiał mieć niezłe popaprane pod sufitem. To nie były czcze obietnice, tego był pewny. Zastrzeli go, nawet się nie zawaha. Znał dobrze tego typu ludzi. Kiedyś był spowiednikiem w ośrodku dla weteranów wojskowych. Taki człowiek przez całe życie zabijał, więc jeden więcej trup to dla niego żaden problem.

– Nie pamiętam – zaczął dukać. – Porzuciłem jej matkę, zanim urodziła, ale chyba nie miała żadnego psa. Tak, tego jestem pewny.

Nacisk lufy zmalał, ale wtem rozległ się strzał, zaraz potem następny.

Pakulski leżał nieruchomo na posadzce. Przez chwilę myślał, że już po nim, ale przecież wciąż żył. Po dłuższej chwili otworzył oczy i powoli podniósł głowę.

Kingsley siedział na powrót w fotelu i palił cygaro. Nogi trzymał na ławie, na kolanach leżał mu obrzyn.

– Cholerne szczury, trafiłem jednego. Walczę z nimi od samego początku, ale wciąż rodzą się nowe, nie nadążam z ich eksterminacją. Chcesz cygaro?

– Dziękuję, nie palę.

Duchowny odetchnął z ulgą. Chyba miał szczęście i zgadł, bo inaczej pewnie jego mózg leżałby tu na posadzce obok zwłok szczura.

Podniósł się i wrócił na kanapę.

– Dasz mi jej adres?

– Po cholere chcesz się z nią widzieć? Nagle uczucia się tatusiowi skropliły? Może jesteś chory i szukasz kogoś, kto by się tobą zajął? Nie ma ci kto nocnika podać, a może zmienić pampersa? – Major się roześmiał, wyraźnie rozbawiony myślą, że jego była podkomendna biega z czyimiś odchodami. – Jeśli liczysz na nią w tej sprawie, to nie ludź się, prędzej ci granat w dupę wciśnię i zawleczkę wyrzuci przez okno. To baba z jajami, a ty ich nie masz, nie pasujesz mi na jej ojca.

– Chcę ją poznać. Nic więcej.

– Ale ona nie chce cię poznać. Zawsze mawiała, że jej ojciec to chuj. Że jeśli żyje, a ona kiedyś na niego trafi, to mu fiuta odstrzelili. Właściwie to mogę zrobić to za nią. – Lufę karabinu ponownie nakierował na krocze duchownego. – Jeszcze mi za to postawi butelkę whisky. W ogóle nie podoba mi się twoja gęba. Od zawsze nie cierpię duchownych i polityków. To przez was są wszystkie wojny. Siedzicie w ciepłych gabinetach, pijecie dobre trunki i bez skrępowań wysyłacie na śmierć tysiące ludzi. Ja sam przez was straciłem pół życia i dwa metry jelita, kiedy mnie postrzelili w brzuch. Ja bym was, sukinsyny, wybił tak jak szczury, i to co do jednego. Nawet chwili bym się nie wahał.

– Tak jak tych? – Duchowny wskazał portrety.

– To tylko podobizny. Więcej frajdy byłoby w realu.

Kingsley wstał z fotela i podszedł do regału zastawionego pułkami, po czym przyniósł jedno z nich. To był stary, pożółkły karton. Chwilę w nim grzebał, w końcu wyjął z niego kilkanaście fotografii. Wśród nich jedno czarno-białe zdjęcie. Rzucił je na blat ławy.

Przedstawiało uśmiechniętego mężczyznę w kurtce lotniczej, opartego o helikopter nazywany potocznie Huey, podstawowy sprzęt armii amerykańskiej w walkach z Wietkongiem podczas wojny w Wietnamie.

– To mój ojciec, był pilotem. Zestrzelili go w północnym Wietnamie i dostał się do niewoli. Te żółte skurwysyny kilka miesięcy go torturowały, a na koniec na żywca obdarły go ze skóry i w jego ciało wtarli sól.

Rzucił następne zdjęcie. Mężczyzna w amerykańskim mundurze siedzący za kierownicą ciężarówki. Obok niego na siedzeniu karabin M16.

– John, mój przyjaciel. W Iraku wjechał na minę. Kilka godzin zbierali jego szczątki, a i tak do kompletu brakowało lewej stopy. Nigdy jej nie odnaleziono.

Nagle energicznym ruchem cisnął resztę zdjęć, rozsypały się na ławie.

– Oni wszyscy nie żyją. Ani jedna z tych wojen nie została wygrana, zginęli na marne. Zginęli, bo jakiemuś zasranemu politykowi czy duchownemu zachciało się więcej władzy, niż miał, więcej ziemi, więcej bogactwa. Gdybym tylko mógł was wszystkich zastrzelić, to żadnego bym nie oszczędził.

Zgasił cygaro i zagwizdał jak na psa.

I faktycznie, wielki rottweiler zjawił się nie wiadomo skąd. Usiadł naprzeciwko kanapy i wbił w biskupa swoje zimne spojrzenie mordercy. Ślina obficie kapiała mu z pyska, zaś jego mina mówiła: „Tylko się rusz, a zamienię cię w kawał krwistego mięsa”. Pakulski od zawsze nie cierpiał psów. Być może dlatego, że jako dziecko został zaatakowany przez bezpańskiego kundla. Do dziś miał na dłoniach wielkie sine blizny, wieczną pamiątkę po tym zdarzeniu.

– Nie potrzebuję jej pomocy. Jako biskup mam ją zapewnioną. Chcę ją jedynie zobaczyć i chwilę porozmawiać.

– Pierdu, pierdu. – Kingsley parsknął śmiechem, po czym oparł flintę o fotel i podszedł do szafy grającej. W dzisiejszych czasach był to przeżytek, właściwie eksponat muzealny. Chwilę się zastanawiał, w końcu wcisnął jeden z przycisków. Płyta rozpoczęła podróż po maszynie, by po chwili spocząć w gramofonie. Rolling Stones, Pakulski od razu poznał. Nie cierpiał tego typu muzyki. Gustował w klasycznej.

– Zaraz wrócę, lepiej się nie ruszaj z miejsca, bo Georg – major ręką wskazał psa – jest tak jak ja nadpobudliwy i może to źle zrozumieć. Kiedyś gościłem tu jednego Rosjanina, ruszył się tylko po popielniczkę, no i – głośno zarechotał – stracił jaja.

Kingsley wyszedł, zostawiając biskupa w towarzystwie Georga.

Rottweiler siedział bez ruchu niczym słup soli i wyglądało na to, że czeka z utęsknieniem na jakikolwiek nierozważny ruch duchownego, by się na niego rzucić i wbić mu zęby w gardło. Pakulski sporo słyszał o tej rasie, ponoć ścisk jego szczęki miał siłę jednej tony. Wolał tego nie sprawdzać, więc siedział nieruchomo. Nagle zaswędziało go lewa ręka, chciał się w nią podrapać drugą, ale wystarczyło drgnięcie, a Georg groźnie zawarczał, pokazując zęby. Przesłanie było czytelne: „Nawet się nie waź ruszyć”. No i biskup odpuścił.

Major wyszedł przed budynek i wyjął z kieszeni telefon. Tu dopiero złapał zasięg. Wybrał numer z kontaktów i zadzwonił.

– Przyjechał do mnie jakiś stary złamas i twierdzi, że jest twoim ojcem. Chce dostać twój adres. Co mam zrobić? Jeśli tylko powiesz słowo, to mu łeb rozwalę, a zwłoki utopię w morzu.

Nastała dłuższa cisza.

– Jesteś tam?

– Jestem. – Usłyszał cichy głos jakby z zaświatów. – Jak się nazywa?

– Adam Pakulski, w każdym razie tak ma w dokumentach, ale nie wiem, czy to prawdziwe nazwisko. Podaje się za biskupa. Po jego dłoniach poznaję, że to duchowny. Normalny facet nie ma tak delikatnych, tylko taki nierób i pasozyt.

– Co o nim sądzisz?

– Nie wierzę mu. Tłuszcz mu się wszędzie przelewa, łysa głaca, tępy pysk, źle mu z oczu patrzy. Ja bym go ukatrupił, tak na wszelki wypadek.

– Nic mi to nazwisko nie mówi. Pierwszy raz je słyszę. To nie może być mój ojciec. Jeśli się go pozbędziesz, to pewnie zaraz przyjdą następni. Daj mu mój adres i zobaczymy, co będzie dalej.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Nie bój się, poradzę sobie z nim.

– Nie wątpię, ale w razie czego możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję. Wiem o tym.

W końcu Mick Jagger przestał swoim wrzaskiem maltretować biskupowi uszy i wtedy wrócił Kingsley. Na powrót wcisnął ten sam przycisk. Ponownie Rolling Stones. Nie miał płyt z czymś innym, a może to był jakiś rodzaj psychicznej tortury?

Major od nowa wziął obrzyn w rękę.

– Rozmawiałem z Agatą – oznajmił lodowatym głosem, łamiąc flintę i wyjmując z niej puste łuski. Położył je na ławie. Z kieszeni bluzy wyjął nowe naboje, załadował broń. – Kazała mi odstrzelić ci łeb, po czym twoje truchło wyrzucić do morza. Obiecałem jej, że potraktuję cię ulgowo, to naboje na grubego zwierza. Jeden strzał i głowa rozpada się na drobne kawałki. Nic nie poczujesz i zaraz zameldujesz się u swojego szefa.

Biskup zbladł. Nie tak wyobrażał sobie tę wizytę. Myślał, że jego pozycja w Kościele wzbudzi tu choć trochę szacunku. Kombatanci z reguły byli miotani wyrzutami sumienia i często wracali na łono Kościoła, ale widocznie nie tym razem. Ten weteran dosłownie pałał chorobliwą nienawiścią.

– Jeśli mnie zabijesz, to skończysz w więzieniu. Są świadkowie, którzy zeznają, że tu przypląnąłem. Nie wywiniesz się. Trudno, skoro nie chcesz mi dać adresu Agaty, to chociaż pozwól mi odejść.

Kingsley spojrział na psa.

– Georg, wyjdź! – rozkazał i rottweiler posłusznie się oddalił.

Major wziął z ławy jedną z lusek i pokazał ją duchownemu. – Jeden taki nabój jest dla mnie więcej wart niż cały ty.

Wyjął z kieszeni karteczkę złożoną na pół i rzucił ją na blat.

– To jest jej adres. Wciąż nie rozumiem kobiet, ja bym cię rozwalili, ale szanuję jej decyzję. A teraz wypierdalaj stąd, póki się nie rozmyślę. Pamiętaj tylko, że Georg, choć może na to nie wygląda, jest cholernie szybki.

Biskup chwycił kartkę i jak na swoją pokazałą tuszę raźno poderwał się z kanapy. Chciał coś powiedzieć, podziękować, ale na widok surowej, nieprzyjaznej miny majora poniechał tego i żwawym krokiem ruszył do wyjścia. Czuł przy tym nieprzyjemne mrowienie w kręgosłupie, bo cały czas zza pleców dochodziło do niego złowrogie warczenie rottweilera. Dopiero kiedy zamknął drzwi za sobą, poczuł się ciut bezpieczniej. Zaraz jednak znów pomyślał o Georgu i przyspieszył, a w pewnym momencie zaczął biec. Za wszelką cenę chciał jak najszybciej opuścić to przekłętą miejsce, być jak najdalej od tego szaleńca, bo czuł, że Kingsley z trudem się hamuje przez zrobieniem mu czegoś okropnego. To było widać na jego twarzy.

Nagle się zatrzymał. To przez serce, które, nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku, się zbuntowało się. Biskup poczuł okropny ból w piersi i chwilę musiał odpocząć. Wciąż nasłuchiwał, czy aby rottweiler nie podąża jego tropem. Serce w końcu na tyle się uspokoiło, że mógł biec dalej. Na szczęście do przystani nie było już daleko. Znów musiał pokonać zdradliwe kilkanaście metrów przegniłego pomostu. Deski trzeszczały złowrogo pod jego stopami, ale znów się udało i bezpiecznie dotarł na miejsce.

Motorówka czekała na niego zgodnie z umową i marynarze pomogli mu wejść na pokład.

– Odbijamy! – rozkazał podnieconym głosem. – Byle szybko!

Usiadł na ławce, sięgnął po chusteczkę i zaczął nerwowo ścierać pot z czoła.

– Widzę, że coś poszło nie tak – zakpił stary marynarz, zerkając na klienta. – Mówiłem, że to przekłeta wyspa.

– Tak, przekłeta. Ma pan rację – potwierdził ochoczo.

– Tu nie dość, że przed wiekami chowano ofiary dżumy, to jeszcze ten szpital. Ponoć lekarze torturowali wariatów. Dzielili im mózgi na części, i to na żywca. W nocy krąży tu tyle zjaw jak nigdzie indziej na świecie. Jak czekaliśmy na pana, to co nieco słyszeliśmy.

– Co słyszeliście?

– Wycie potępieńców.

Pewnie to ten przekłety rottweiler, pomyślał.

– Czemu nikt tego nigdy nie pilnuje? To mnie zastanawia.

– Panie, a kto by tu noc przetrwał, chyba tylko jakiś czubek.

- Słuszna uwaga, tylko czubek – mruknął pod nosem.

SYRIA

Peryferie As-Sabbury niedaleko Damaszku. Wszędzie dokoła widać ślady wojny, gruzowiska, leje po bombach, wraki spalonych samochodów. Rzadka, głównie parterowa zabudowa, równie rzadko rosnąca wynędzniała roślinność, pojedynczy ludzie przemykający między domami, słońce w zenicie, upał okrutny.

Do glinianej chaty niewyróżniającej się niczym szczególnym weszło trzech mężczyzn przyodzianych w kandury. Ich twarze skrywały kefije.

– Niech pokój będzie z wami – przywitał ich stary Arab o twarzy pokrytej głębokimi bruzdami i długiej siwej brodzie.

– I z tobą. Szejku Abu Ahmedzie, wzywałeś nas – rzekł jeden z przybyłych.

– Tak, wzywałem was.

Starzec podał mu podniszczone czarno-białe zdjęcie przedstawiające młodą kobietę w mundurze amerykańskiej armii.

– Wiecie, czego oczekuje od nas Allah? Ona jest w Europie. Pamiętajcie, to jest nasz święty obowiązek.

– Tak, szejku. Skoro to wola Allacha. Śmierć jego wrogom!

– Śmierć jego wrogom!

Mężczyźni opuścili chatę, wsiedli do białej toyoty land cruiser i odjechali.

HISZPANIA

Urokliwe nadmorskie miasteczko, jedno z wielu położonych w południowej Hiszpanii. Sam środek sjesty.

Kelnerka trzymająca w dłoni tacę z filiżanką kawy americano i ciasteczkami zręcznie przemykała między stolikami. Zatrzymała się przy ostatnim, tym z najlepszym widokiem na morze, by postawić to wszystko na stoliku przed klientką, szczupłą młodą kobietą ubraną dość dziwnie jak na tę pogodę, bo w bluzkę z długim rękawem, a tego dnia upał był nieznośny.

– Señorita, nie mamy tequili, skończyła się. Mogę podać wódkę.

– Wódki nie pijam. Przynieś mi wino czerwone, może być jakieś regionalne, na przykład Fondillón.

Kelnerka odeszła, a kobieta sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej lusterko i weń zerknęła. Burza długich czarnych włosów, rysy twarzy szlachetne, rzęsy długie i, co ważne, nieprzedłużane, zęby śnieżnobiałe, od zawsze o nie dbała. Tylko w Syrii było inaczej, ale to było od niej niezależne. Na szczęście te sukinsyny podczas przesłuchań ich jej nie wybiły, pewnie przez przypadek, bo nie podejrzewała ich o dobre maniery. Dłużej przyglądała się wielkiej bliźnie na lewym policzku. To była trwała pamiątka po tym, co chciała za wszelką cenę zapomnieć, ukryć w najgłębszych zakamarkach pamięci. Sporo było tych niechcianych pamiątek, o wiele za dużo.

Schowała lusterko i wyjęła małą buteleczkę, łyknęła z niej dwie pastylki i wzięła telefon. W przeglądarce wpisała „Adam Pakulski”.

Od razu wyskoczyło mnóstwo informacji. No i zdjęcia. Te dzisiejsze i kilka bardzo starych. Faktycznie był biskupem, a więc mówił prawdę. Powiększyła jego zdjęcie i przypatrywała mu się w skupieniu. Szukała jakiegokolwiek podobieństwa między sobą a nim.

Siedziała tak, zupełnie zapomniawszy o bożym świecie, kawa dawno już wystygła, na ciasteczku zadomowiły się osy, a ona wciąż nic wspólnego nie znalazła.

Przy stoliku zatrzymał się starszy mężczyzna w krótkich spodenkach i z wielką podobizną Boba Marleya na koszulce. W dzisiejszych czasach mało kto pamiętał tego muzyka. Możliwe, że mężczyzna był jego wielbicielem, ale najprędzej kupił T-shirt na wyprzedaży, nie zastanawiając się, kogo przedstawia. Po prostu był tani.

– O, dobrze, że panią spotkałem, pani Johnson!

Kobieta ocknęła się, dopiero teraz oderwała wzrok od wyświetlacza telefonu. Spojrzała nieprzytomnie na przybyśza. Chwilę trwało, nim go zidentyfikowała.

– A to pan, panie Santos, proszę usiąść. – Wskazała mu krzesło i odłożyła smartfon. Gestem dłoni odgoniła osy i sięgnęła po kawę.

– Cholera, zimna! – zakłęta i odstawiła filiżankę. Czego jak czego, ale zimnej kawy nie znosiła. Musi zamówić nową.

– Co u pana słychać? O ile wiem, pudliczka się odnalazła, więc już po problemie.

Zatroskana mina klienta świadczyła, że chyba nie do końca.

– Pani detektyw, problem dopiero się zrobił. Bo ona jest szczenna. Musi pani ustalić, kto za tym stoi.

– Jak to kto? Pies. – Parsknęła śmiechem. Miała już serdecznie dość takich zleceń. Wyrabiała licencję i otwierała biuro z myślą, że będzie tropić przestępców, że będzie z giwerą w dłoni ścigać psychopatów, że euro będzie wielkim strumieniem wpływać na jej konto. Tymczasem tropiła zagubione psiaki, których tu było co niemiara, a najgrubszą sprawą, którą do tej pory prowadziła, było śledzenie z aparatem fotograficznym w dłoni niewiernej żony burmistrza. Wszystko to nie starczało na opłacenie wynajmu lokalu, nie mówiąc już o innych wydatkach.

Jeszcze miesiąc, dwa i skończą się jej oszczędności. Wtedy chyba pozostanie jej jedno – wziąć Glocka, przeładować go i strzelić sobie w łeb, i w ten sposób zakończyć groteskę, jaką ostatnio stało się jej życie.

– Pani Agato, zapłacę, i to dobrze. Tylko pani może mi wytropić tego sukinsyna, który zapłodnił moją Beatrice.

Ten to ma prawdziwe problemy, pomyślała, spoglądając drwiąco na mężczyznę. A w ogóle, który facet kupuje sobie pudła? To taka kobieca rasa. Pewnie to był wybór żony, a on nie miał wyjścia i musiał się zgodzić.

– Panie Santos, to jest niemożliwe. Nie chcę pana naciągać i dlatego mówię nie. Suczka w cieczce przez trzy dni biegła po mieście i kopulowała z każdym kundlem, który się jej napatoczył. Skąd mam wiedzieć, który z nich zostanie ojcem? Może ich być wręcz kilku. Wiem, że to możliwe, nawet u ludzi. Tak było z moją koleżanką, urodziła bliźniaki i jak zrobili badania genetyczne, to się okazało, że każde z nich ma innego ojca.

– To w takim razie, co pani radzi?

– Szukać dla szczeniaków nowych domów. To jedyne rozsądne rozwiązanie. Jeszcze jedną kawę i rachunek proszę! – krzyknęła do przechodzącej akurat kelnerki. Santos, widząc, że Johnson zakończyła temat, skinął sztywno głową na pożegnanie i z zaszępioną miną opuścił lokal. Najwyraźniej nie takiej reakcji się spodziewał.

Kobieta przez chwilę patrzyła za nim smętnie. Sama kiedyś też była takim niechcianym szczeniakiem. Też ją odano w obce ręce. Nie pamiętała swoich rodziców, nawet nie wiedziała, kim oni byli i czy jeszcze żyją. Nieraz o tym myślała, w dzieciństwie nawet sporo, później coraz mniej, a teraz, o dziwo, znów częściej. I w takim momencie u Kingsleya zjawia się on, ten, co podaje się za jej ojca. Jakim cudem ją odnalazł? To było bardzo dziwne, graniczyło z cudem, bo przez ostatnie lata wielokrotnie zmieniała kraje i tożsamość. Związane to było z jej zawodem. Ochrona prywatności swoich ludzi była w służbach priorytetem od zawsze. W Polsce kobieta nie była od lat, zresztą nic jej do kraju rodzinnego nie ciągnęło. Wszystko, co było z nim związane, wymazała, i to grubym mazakiem, bo to były tylko złe rzeczy. Trudno pielęgnować takie wspomnienia, a dobrych nie miała wcale.

Na nadmorskiej promenadzie, tuż przed jej stolikiem, rozkładał się ze swoim biznesem José, sąsiad z parteru jej apartamentowca. Prawdziwy Hiszpan z wyglądu – twarz śniada, włosy kręcone, oczy czarne, niewysoki jak większość południowców. Teraz emeryt, a wcześniej był rybakiem, wiele lat pływał na kutrach. José grał na gitarze klasycznej i śpiewał. Trzeba przyznać, że miał do tego talent. Zmarnował życie na tej przekłętej łodzi, bo mógł zrobić wielką karierę sceniczną. Przed sobą na chodniku położył kapelusz, rozstawił turystyczny stołeczek i zaczął występ.

Na początek Agaty ulubiony utwór, *Señorita*.

Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita
Nie mogę oprzeć się, gdy cię spotykam
Twój każdy dotyk jest lalala
Jak sen lalala...

José zobaczył ją i się uśmiechnął. Machnęła ręką w jego stronę. W tym momencie kelnerka przyniosła kawę i chwyciła filiżankę z tą zimną.

– Ciasteczko też możesz zabrać.

Spojrzała, zdziwiona, na Agatę, ale bez słowa protestu wykonała polecenie, a José śpiewał dalej.

Razem w Miami
Powietrze ogrzała letni deszcz
Tak rozpalerani
Zanim poznałam imię twe
Lalala
Czułam się jak lalala
W blasku księżycy
Tylko z tobą tańczyć chcę
Tequila sunrise
Gdy mocno obejmujesz mnie
Lalala
Jesteś jak ulalala
Yeah
Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita

Agata dopiła kawę, z torebki wyjęła portfel i zerknęła na paragon.

– Krwiopijcy. – Zakłęła pod nosem i sięgnęła po dwadzieścia euro. Położyła je na stole, po czym przycisnęła banknot filizanką. Podniosła się z krzesła i opuściła restaurację. Podeszła do José i wrzuciła mu do kapelusza pięć euro. Posłał jej wdzięczny uśmiech i dalej śpiewał.

Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita
Nie mogę oprzeć się, gdy cię spotykam
Twój każdy dotyk jest lalala
Jak sen lalala...

Agata ruszyła w stronę swojego biura, marząc, że wreszcie zjawi się ten upragniony, wymarzony klient, taki z prawdziwego zdarzenia, z wielką kryminalną sprawą. Jeszcze nie traciła nadziei, że w końcu jej się poszczęści. Do cholery, przecież pech nie może trwać wiecznie. Idąc, rozmyślała o tym wszystkim i jednocześnie co chwila zerkała

pod nogi, bo tu, szczególnie wiosną i jesienią, w każdej chwili groziło wdepnięcie w rozgniecioną pomarańczę, która spadła z pobliskiego drzewka, czy kupę, która akurat wypadła z psiej dupy.

Kiedy mijala biuro nieruchomości przy Avenida de Europa, przez szybę pomachała do niej Gabriela, właścicielka. Kilka razy zamieniły ze sobą parę słów i tamta już traktowała ją jak dobrą znajomą, mimo że nawet nie pośredniczyła w zakupie jej mieszkania. Dziwni ci ludzie, tacy bezpośredni, ona była inna, starała się trzymać wszystkich na dystans. Być może był to efekt jej doświadczeń życiowych, bo prawie każdy, któremu zaufała, okazał się później skurwysynem. Odmachnęła jej i poszła dalej. Przy hotelu Bahía zatrzymał się autobus z turystami. Zerknęła na tablicę rejestracyjną, to Niemcy. Ich wszędzie było pełno, tak jak Ukraińców, tyle że ci drudzy uciekli przed wojną. Z pojazdu zaczęli wytaczać się pasażerowie, tłuste Niemki i tłuści Niemcy, dobre jedzenie i nadmiar piwa zniszczył im sylwetki, i to bez skrupułów. Za nimi wytoczyły się ich walizki, mnóstwo walizek. Przeszła La Santa María i skręciła w La Pau. Zatrzymała się przed parterowym budynkiem, przed szklanymi drzwiami, za którymi mieściło się jej biuro. Schyliła się, by otworzyć zamek, a przy okazji zgarnęła z posadzki świeżą korespondencję. To były głównie reklamy i tylko trzy wezwania płatnicze, bo większość z nich przychodziła Internetem. Rzuciła na nie okiem, rachunek za energię, rachunek za telefon, podatek, a reszta to śmieci, te od razu wylądowały w koszu. Dziesięć metrów kwadratowych plus wychodek – to było wszystko, cała jej firma. Płaciła za punkt, ale, jak się okazało, to nie dało żadnego wymiernego efektu.

Rozsiała się w fotelu za wielkim szklanym biurkiem i włączyła komputer. Ostatnio na topie u niej była gra „Kucharz”, co było o tyle śmieszne, że nienawidziła gotować. Zapaliła cygaro i z nudów zerknęła przez witrynę na ulicę. Lubiła obserwować ludzi i po ich ubraniu oraz zachowaniu starać się odgadnąć, kim są, czym się zajmują. Tak w ostatnim czasie głównie wyglądało jej życie, nuda gonila nudę.

Nagle w drzwiach pojawił się mężczyzna. Wysoki, masywny niczym trzydrzwiowa szafa, ubrany w jasny garnitur; twarz skrywało mu duże rondo słomianego kapelusza. Serce jej mocniej zabiło. Do cholery, skąd on się tu wziął?

Jak tylko wszedł do biura, od razu poczuła mocny aromat Sauvage. Po nim by go wszędzie poznała, chyba nawet w piekle. Od dawna to były jego ulubione perfumy.

– Kogo moje oczy widzą? Pułkownik Lenz we własnej osobie. Co cię tu sprowadza? Chyba nie cudowny klimat? Może wino? Trzeba powiedzieć, że tutejsze gatunki są wyśmienite i dobre nawet dla takiego słodziaka – zakpiła, bo wiedziała, że od lat zmaga się z cukrzycą.

Przemilczał jej kpiny. Usiadł na krześle po drugiej stronie biurka, wyjął marlboro i zapalił. Wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

– Widzę cię w dobrym zdrowiu i to mnie bardzo cieszy. Jak się zegnaliśmy, licho wyglądałaś. Pamiętam, że miałaś całą rękę w gipsie i groził ci wózek inwalidzki. Chciałem ci się do dętek do wózka dorzucić. Mówiono mi, że nawet się zapisałaś na najbliższą paraolimpiadę – zadrwił.

– To było dawno, przez ten czas wiele się zmieniło. Swoją drogą mógłbyś rzucić te wstrętne papierosy. Nie cierpię ich smrodu. To trucizna. Czego wojny z tobą nie zrobiły, załatwia to za nie te małe perfumowane gluty – rzekła, po czym zamaszystym ruchem pchnęła w jego kierunku popielniczkę, czerwoną, plastikową z mocno już wytartym napisem Coca-Cola. Wiedziała, że inaczej nie poprosiłby o nią, strząsnąłby popiół na posadzkę, taki już miał sposób bycia. Kulturę znał tylko z opowieści, bo na pewno nie z książek, gdyż ich nigdy nie czytał.

– Sporo się naszukiwałem, żeby cię odnaleźć. Sprytna jesteś, niczym kameleon prawie wtopiłaś się w otoczenie. Kilkakrotnie zmieniałaś nazwisko i adresy, i już chciałem zrezygnować, ale przypomniało mi się, że masz konto w pewnym szwajcarskim banku, a jego prezes, nasz wspólny znajomy Herman Miller, gra ze mną w krykieta. Wypiliśmy kilka łyskaczy i mu się język rozplątał.

– Niestety, prawie czyni tę subtelną różnicę, bo chyba nigdzie mi się to nie uda. Może powinnam, tak jak major Kingsley, zamieszkać w domu wariatów. Tam może dalibyście mi spokój.

– On, mieszka tam, gdzie powinien, to jego miejsce, bo to jest prawdziwy czubek! Właśnie jadę od niego, nie jest zbyt gościnnie, na mój widok wpadł w szal i niespodziewanie wywalił do mnie z obrzyna, ledwie z życiem uszedłem. Mało tego, przestrzelił burtę mojej motorówki i musiałem spędzić noc na wyspie, a to było naprawdę mocne przeżycie. Do cholery, chyba tam naprawdę straszny.

– Ja nie mam obrzyna, tylko glocka, ale stan ducha u mnie podobny jak u majora, dlatego nie wystawiaj mojej cierpliwości na zbyt wielką próbę. Czemu zawdzięczam tę wizytę? Mów i idź do diabła!

Agata wbiła w niego surowe spojrzenie. Niech w końcu wyrzuci to z siebie i się wynosi.

– Potrzebujemy cię. Wiesz, co się dzieje w Syrii i w Ukrainie, a my potrzebujemy fachowców do obsługi dronów. Teraz losy wojen głównie zależą od komputerowców. Ty jesteś w te klocki najlepsza.

– Już się nie bawię klockami, wyrosłam z tego, wydorostałam. Przyszedł czas na spokojne życie. Nie wspominałam ci nigdy, że małżeństwo, które mnie wychowało, straciło na Wołyniu całą rodzinę? Ukraińcy zarabali ich siekierami.

Ze względu na ich pamięć nie mogłabym w tym uczestniczyć. Nie życzę źle Ukraińcom, ale to nie moja wojna. Zresztą mam psa i nikogo, kto mógłby się nim zająć, a zatem temat jest definitywnie zamknięty.

– Nie mów tyłko, że tak jak ten czubek też masz rottweilera?

– Owszem, prezent od Kingsleya, mam syna Georga, Georga juniora, prawdziwy z niego rozkosznik.

Pułkownik pokręcił głową z dezaprobatą. Powszechnie znana była jego niechęć do zwierząt.

– Obydwoje jesteście nieźle popierdoleni, przecież to psy zabójcy.

– Nie pierdol mi tu głupot. Ludzie są dużo gorsi. Wiem dużo, a właściwie dużo za dużo na ten temat. W końcu byłam już na tyłu wojnach. Widziałam zbyt wiele, żeby wrócić do normalnego życia. – Sięgnęła do szafki, wyjęła z niej glocka i ostentacyjnie położyła go na blacie. – Naładowany – rzekła jakby od niechcenia.

Pułkownik przygasił peta. Zdjął kapelusz, odsłaniając krótko ostrzyżoną głowę. Z kieszeni wyjął chustkę i przetarł nią czoło.

– Czemu nie używasz klimatyzacji? Przecież tu można się ugotować.

– To jest niezdrowe – skłamała, bo prawda była nadzwyczaj prozaiczna: nie miała na to pieniędzy.

Sukinsyn uśmiechnął się drwiąco. Domyślił się, w czym rzecz.

– Widzę, że interesy kiepsko idą. Praca Sherlocka Holmesa nie jest łatwa. To dobrze wygląda, ale tylko w książce. Wiem, co czytałaś nocami po służbie, w magazynie są jeszcze twoje rzeczy, bo nie zgłosiłaś się po nie i nie wiedzieli, dokąd je odesłać. Zanim tu przyjechałem, pozwoliłem sobie je przejrzeć, kilkanaście powieści i wszystkie o prywatnych detektywach. Wszystkie zniszczone, jakby przeszły przez ręce co najmniej całej dywizji. Ile razy je czytałaś? Pewnie znasz je na pamięć. I co z tego? Gówno! Klientów brak, a pieniądze się kończą. Widzę, że już dochodzisz do ściany. Co dalej? Jesteś bez kasy i na lewych papierach. Gdzie znajdziesz pracę? Kto cię zatrudni? Nikt! Teraz w erze komputerów prześwietla się każdego, i to od kołyski, a jak mawia mój szef Brown, to od plemnika. Dziwię się, że dostałaś licencję. Pewnie kogoś opłaciłaś albo, jak to u południowców, mają burdel w papierach.

Sukinsyn pastwił się nad nią. Wiedział, że trafił ją w czułe miejsce, w ledwie zagojoną ranę i z premedytacją w niej wierceł. Agata czuła, jak zaczynają jej drżeć ręce, lewa dłoń odruchowo przesuwiała się stronę pistoletu.

– Mówię to po raz ostatni, już z tym skończyłam. Odpieprzcie się ode mnie, i to na amen. A teraz wynocha!

Lenz włożył na powrót kapelusz i dzwignął się z krzesła. Z kieszeni wysunął wizytówkę, po czym z drwiącym uśmiechem na twarzy rzucił ją na biurko.

– Tu jest mój numer telefonu. Wiesz, że nam się nie odmawia. Wiem, że zadzwonisz, to tylko kwestia czasu. Poczekał na ciebie, ale radzę ci, mojej cierpliwości nie wystawiaj na długą próbę. – To już zabrzmiało jak groźba.

Agata z wściekłością zerwała się z fotela i chwyciła glocka. Wycelowała z niego w głowę pułkownika.

– Wypierdalał, bo nie ręczę za siebie! Wiesz, że mam pewną rękę i że się nie zawaham. Na pewno nie spudłuję jak Kingsley.

Lenz uniósł uspokajająco ramiona, ale kpiący uśmieszek z twarzy mu nie zniknął.

– Już idę. Aha, mam coś dla ciebie.

Z innej kieszeni wyjął flakon z jakimiś pastylkami.

– Słyszałem, że uzależniłaś się od vicodinu. To taki specjalny prezent od starego kumpla. Do zobaczenia wkrótce. Skłonił się i opuścił biuro.

– Niedoczekanie twoje, sukinsynu – mruknęła Agata pod nosem i schowała pistolet do torebki. Klapnęła na powrót na fotel. Ukryła twarz w dłoniach, pograżając się w myślach. Ta zupełnie niespodziewana wizyta pogorszyła jej i tak już podły nastrój. Nie cierpiała tego zarozumiałego dupka i tego wszystkiego, co sobą reprezentował. Myślała, że się w końcu od niego uwolniła, i to na amen, ale okazało się, że była w wielkim błędzie. Ręce wciąż jej drżały, więc sięgnęła do torebki po lekarstwo. Ono jej pomagało. Łyknęła dwie drażetki.

Zadzwonił telefon, spojrzała na wyświetlacz. To Kingsley. A on czego chce?

– Był już u ciebie? – Usłyszała jego głos, chropowaty jak papier ścierny.

– Którego skurwysyna masz na myśli, Lenza czy tatusia? – spytała. – Jednego już odhaczyłam. Właśnie przed chwilą wyszedł.

– Mówię o pułkowniku, chciałem mu jaja odstrzelić, ale sukinsyn mi się wymknął. Najwyraźniej starzeję się i już nie to oko, co kiedyś. W młodości byłem strzelcem wyborowym, likwidowałem cel z trzech kilometrów, a teraz nie trafilem tej kupy sadła z dziesięciu metrów.

– Z obrzyna to z takiego dystansu i słonia trudno ustrzelić – spróbowała go pocieszyć.

– Dziękuję za dobre słowo, ale z wiekiem moja łatwowierność jakoś niezauważalnie się ulotniła. – Zarechotał, wyraźnie rozbawiony jej ostatnim zdaniem. – Mam nadzieję, że cię nie przekabacił?

– Chyba żartujesz? – zachnęła się. Jak mógł w ogóle coś takiego pomyśleć? Przecież ją znał jak nikt inny. Czasem nawet uważała, że lepiej niż ona sama. – To już zamknięty rozdział w moim życiu. Boję się tylko, że zaczniesz tu krążyć i robić mi koło pióra.

– Niestety, oni łatwo nie odpuszczają. Mnie już nie potrzebują, więc dali mi spokój, ale ty wciąż jesteś dla nich bardzo cenna. Pamiętaj, że zawsze możesz zamieszkać u mnie. Przecież wiesz o tym. We dwoje łatwiej jest się obrocić.

Co to to nie. Kilka razy go odwiedziła, ostatnio, kiedy odbierała Georga, i to jej zupełnie wystarczyło. Czuła się tam jak bohaterka z horroru Kinga. Kingsley oprowadzał ją po ruinach domu wariatów, pokazywał sale, gdzie podawano czubków elektrowstrząsom i grzebano w ich mózgach, i to na żywca. Kulminacyjnym punktem wycieczki było wspięcie się na wieżę i stanięcie w oknie, z którego wyskoczył ostatni dyrektor.

– Dziękuję, ale nie interesuje mnie kwatery na przeklętej wyspie. Jeszcze jestem na to za młoda. Muszę być między ludźmi, bo inaczej zwariuję. Już i tak ćpam vicodin niczym narkoman.

– Na co ci to? Rzuć to w cholere. A jak się miewa Georg? Byłaś z nim u weterynarza?

O, cholera, zupełnie zapomniała. Major od dłuższego czasu przypominał jej, żeby psu usunąć kamień z zębów. Inaczej mu się popsują i trzeba będzie je rwać. Szcerbaty rottweiler to jak gladiator bez prawej ręki lub sprinter bez nogi.

– Jestem umówiona na jutro – skłamała, bo inaczej by rzędził, że nie dba o jedynego przyjaciela. Wciąż zapomniał, że miała ich dwóch, drugim był on.

– To dobrze – pochwalił ją. – Dawaj mu wołowinę i sporo z nim biegać, żeby nie obrósł słoniną, bo wtedy może mieć problemy z sercem.

No i zaczęło się, teraz będzie wykład o psiej diecie i zdrowiu. Kingsley naprawdę się starzeje.

– Muszę kończyć, bo przyszedł klient – znów skłamała.

– Czyli interes kwitnie? Super, tak trzymaj. No to kończę. Cześć.

– Cześć.

Odłożyła telefon i spojrzała w komputer. Musi znaleźć jakiegoś taniego konowala i w końcu temat kamienia zamknąć.

Skrzypnęły drzwi, kątem oka spostrzegła chudego, małego człowieczka w średnim wieku, z burzą gęstych szpakowatych włosów związanych w kitkę. Właściciel lokalu. Dobrze wiedziała, po co się zjawił. To nie była wizyta towarzyska, raczej ta z gatunku nieprzyjemnych, bo od miesiąca zalegała z czynszem.

– *Buenos días, señorita* – zaczął jak zwykle grzecznie.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– *Buenos días, señor Ramírez*. Wiem, że mam dług, ale za kilka dni spodziewam się przelewu i wszystko skrupulatnie ureguluję. Mało tego, zapłacę jeszcze za miesiąc do przodu. Teraz i tak by pan nie wynajął biura, bo jest już po sezonie. Proszę o cierpliwość. Napije się pan ze mną wspaniałej kawy? Kupiłam ekspres.

Spojrzał na nią z pretensją.

– Señorita kupuje ekspres, a nie ma na czynsz.

– To była okazja, na wyprzedazy. Pan też by kupił. To co?

Spojrzała na niego wyczekująco.

– Jaka kawka? Ja piję americano, a pan?

– Dziękuję, ale nie, mam nadciśnienie. Dobrze, señorita, poczekam, ale jeszcze tydzień. Ja bym mógł jeszcze dłużej, ale żona robi mi awantury. Wczoraj mi wykrzyczała, że z señoritą flirtuję. Wyzwała mnie od starych kozłów. Błagam, niech pani się postara do przyszłego czwartku temat zamknąć.

Uśmiechnął się przepaszająco i wyszedł, nawet nie czekając na odpowiedź. To było miłe z jego strony, bo znów musiałyby skłamać.

Agata odetchnęła z ulgą. Miała tydzień, a to dużo i niedużo. Jeśli się trafi jakiś dobry klient, to wybrnie z tego, a jeśli nie, to będzie katastrofa, ale nie tak przepiękna jak u Greka Zorby. Wprawdzie mogła się zwrócić do Kingsleya o pożyczkę. Wiedziała, że jej nie odmówi, ale nie chciała tego czynić, nie mając pewności, że kiedykolwiek mu te pieniądze zwróci. Zawsze starała się grać z nim w otwarte karty. Napiła się kawy, spisała adres weterynarza, wzięła z blatu biurka vicodin, który dostała od Lenza, i opuściła biuro. Nie było sensu siedzieć tu dłużej i czekać na klienta, który i tak się nie pojawi. Na szybie drzwi była przyklejona kartka z jej numerem telefonu, więc gdyby się jednak trafił, to mógł do niej w każdej chwili zadzwonić.

Na ulicy ponownie przywitał ją żar dosłownie lejący się z nieba. Było już po letnim sezonie, ale gorąco najwyraźniej nic o tym nie wiedziało. Przy Ejércitos Españoles miała zaparkowany samochód. To było zaledwie dwie prze-

cznicie dalej. Przeszła na drugą stronę ulicy, żeby się schować w cieniu palm i apartamentowców. Po drodze co i raz mijal ją jakiś kabriolet, co i raz dobiegała ją muzyka. Najczęściej brzmiał język angielski, nieraz hiszpański, ale zdarzał się rosyjski lub ukraiński. Tych nie знаła na tyle, by je odróżnić. Wspomagała się, zerkając na rejestracje samochodów. Zachowania Ukraińców zupełnie nie rozumiała. W ich kraju toczyła się wojna, ginęli ludzie, a tu rozbrzmiewała wesoła muzyka. Ona by się tak nie zachowała, ale być może dlatego, że za dobrze znała wojnę i jej okropności.

Doszła do swojego samochodu, starej stalowej mazdy MX5, dwuosobowego kabrioletu. Większego nie potrzebowała, bo jedynym jego pasażerem był Georg. Rok temu, kiedy nie mogła się zdecydować co do wyboru auta i przez wiele dni jeździła po handlarzach, właśnie ta mazda wpadła jej w oko. Z koloru i statecznego wieku przypominała jej trochę starego peugeota 403 słynnego porucznika Colombo. Być może to sentyment do serialu zaważył na podjęciu decyzji, bo zdrowy rozsądek nakazywał obchodzić ten model szerokim łukiem. Na szczęście dla niej mazda była w dużo lepszym stanie technicznym niż filmowy peugeot.

Zanim Agata wsiadła, zdjęła z auta brezentowy dach. Czemu on był czarny? Nieraz się zastanawiała. Przecież żaden inny kolor tak nie absorbuje promieni słonecznych. W południe na siedziskach foteli można było smażyć jajka, tak były nagrzane. Za wycieraczką przedniej szyby zobaczyła jakąś kartkę. Znow mandata za złe parkowanie. Chyba nigdy nie nauczy się panujących tu zasad parkowania. Wszystko opierało się na kolorach linii wymalowanych na jezdni. Każdy kolor oznaczał inną strefę, od tych przeznaczonych dla krezusów po te dla biedoty, czyli za friko. Ciekawe, jak radzili sobie z tym problemem daltoniści? Zerknęła na kwotę, dwadzieścia euro, co oznaczało rezygnację z jednej kawy americano oraz ciasteczka w kawiarni tuż przy głównej promenadzie. Trudno, kawę wypije w biurze, a ciasteczko to tylko dostawca nadliczbowego cukru i zbędnych kalorii, więc nie będzie jej żal. Chwilę jeszcze odczekała, żeby się choć ciut schłodziły siedzenia, i dopiero wtedy odważyła się wsiąść do mazdy. Otworzyła skrytkę w desce rozdzielczej z zamiarem wrzucenia tam mandatu i wtedy wypadły z niej poprzednie, wszystkie do zapłacenia. Sporo ich, pomyślała, po czym zebrała je do kupy i na powrót wcisnęła do środka, by na koniec zatrzaskać skrytkę. Trzeba je koniecznie jak najszybciej zapłacić, bo władza nie jest tak wyrozumiała jak señor Ramírez. Włączyła radio, a tam leciała *Lambada*. Pogołosiła muzykę.

Leć, melodio, leć
Z wiatrem przybądź tu z dalekich stron
Słońca promień weź
Rytmem wspólnym niechaj bije ton
Przynieś zapach zbóż
Oceanów i mórz
Tam karnawał zaczyna się już
Tańczmy Lambada

Uruchomiła silnik i z piskiem opon ruszyła z miejsca. Ujechała może z pięćset metrów i zatrzymała się przy supermarkecie Mercadona. Zrobiła tam zakupy, wołowinę dla Georga, a dla siebie pizzę, bagietkę i gazpacho. Na początku swojego tu pobytu wyjeżdżała ze sklepu z pełnym wózkiem, ale z czasem jego zawartość chudła. Ostatnio zakupy mieściły się w dłoniach. Tym razem poszalała i do wszystkiego dorzuciła butelkę tequili. Polubiła ją na misji w Meksyku. Sterowała tam dronem obserwującym hacjendę bossa narkotykowego Ovidia Guzmána. Jej partnerem w nawigacji był Álvarez, Meksykanin z pochodzenia. Do tej pory pamiętała jego nazwisko. To on ją nauczył prawidłowo pić tequilę. Należało posypać solą dłoń pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, następnie wypić shota i zakąsić ćwiartką limonki.

Zakupy wrzuciła do bagażnika i pojechała do domu.

Mieszkanie miała w dużym apartamentowcu na obrzeżach miasteczka. Było nieduże, ale własne, więc nie musiała płacić za jego wynajem, bo tego by już nie udźwignął jej skromny budżet. Na parking zajechała z werwą godną mistrza Formuły 1. Mazdę postawiła na widoku, tak żeby mogła ją obserwować z okna kuchni. To był jej stary nawyk z armii, który kiedyś w Pakistanie uratował jej życie. Wtedy to, wyglądając przez okno na ulicę, zobaczyła mężczyznę wczolgującego się pod jej toyotę. W dłoni trzymał podłużny pakunek, a kiedy się wydostał spod auta, już go nie miał. Po tym zdarzeniu nieraz się zastanawiała, czy to był zwykły przypadek, czy może szczęście puściło do niej oko.

Zasunęła dach na samochodzie, z bagażnika wyjęła zakupy i ruszyła w stronę wejścia do bloku.

– ¡Buenos días!

To Marcel, szef ogrodników, Polak mieszkający tu od wielu lat. Kiedyś był zwykłym robotem i jak mu kazano, biegał z grabiami lub popychał kosiarkę, ale z czasem awansował, teraz miał pod sobą ekipę i to on decydował, kto biega z grabiami, a kto popycha kosiarkę. Klął jak szewc i się z tym przy niej nie hamował, myśląc, że go nie rozumie, Agata zaś nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. Lubił z nią porozmawiać, opowiadać o swoim kraju, pona-

rzekać na życie. Już dawno zauważyła, że Polacy tylko narzekają, a to przy częstszych rozmowach bywało drażniące. Tym razem nie miała ochoty na pogawędkę.

– ¡Buenos días, Marcelo! – rzuciła przez ramię i weszła do budynku.

Na schodach usłyszała szczekanie. Georg widocznie już ją usłyszał. Z mieszkania na parterze wyszło dwóch Belgów, trzymali się za ręce. Wyglądali niczym dwie papugi, tak byli kolorowi. Fryzury w tęczowych barwach, obcisłe czerwone dżinsy, barwne podkoszulki.

– Ach, słodziutka, proszę, okiełznaj tego swojego Brutusa – zaczął ją jeden z nich, szeroko się uśmiechając i zatłonie mrugając oczami. – Non stop szczeka, aż mnie głowa boli.

– Sorry – mruknęła pod nosem i ich minęła. To wszystko, ten cały harmider przez to, że dziś rano nie wzięła psiska na długi spacer. Inaczej teraz leżałby pod klimatyzatorem bez życia, z wywalonym jęzorem i nie w głowie byłoby mu szczekanie.

Ledwie uchyliła drzwi, a już poczuła na twarzy szorstkość psiego języka.

– Przestań, daj mi rozpakować zakupy.

Przeszła do kuchni, wtedy zadzwonił telefon. Zerknęła na wyświetlacz, numer nic jej nie mówił. Serce jej mocniej zabiło. Oby to był nowy klient. To chyba ostatni moment.

– Dzień dobry – zabrzmiało po polsku. To był męski głos. Od razu się domyśliła, z kim rozmawia. Ręka jej zadrżała tak, że o mało nie wypuściła smartfona z dłoni. Poczuła gorąco w skroniach.

– Buenos días – odparła po hiszpańsku i w napięciu czekała, co będzie dalej.

– Wiem, że znasz język polski, i wolałbym go używać, bo nie znam zbyt dobrze hiszpańskiego. Domyślam się, że wiesz, kim jestem. Wiem, że twój szalony przyjaciel Kingsley dzwonił do ciebie i zgodziłaś się podać mi swoje namiary.

– Owszem, zgodziłam się na to, ale nie wiem, kim jesteś i czego tak naprawdę ode mnie chcesz – powiedziała po polsku.

– Jestem twoim ojcem. Chcę tylko cię zobaczyć i chwilę porozmawiać, nic więcej.

– Nie jesteś moim ojcem, mój ojciec nie żyje – rzuciła sucho. – Mów szybko, o co ci naprawdę chodzi, bo jestem cholernie zajęta.

W słuchawce zapanowała cisza, choć niezupełnie, bo słychać było jego ciężki oddech. Kingsley wspominał, że jest sporej tuszy, co by to tłumaczyło.

– Prowadzisz biuro detektywistyczne, zgadza się?

– I co z tego? Chcesz mnie wynająć do tropienia niewiernej kochanki? – zakpiła.

– Owszem, chcę cię zatrudnić, ale to jest duże zlecenie. Dobrze ci za nie zapłacę.

Słyszając to, roześmiała się w głos. Kiedy trafił na Poveglię, nie wiedział, czym się para, bo inaczej nie musiałby się tam fatygować. Dobrze, pogra sobie z nim, ale na swoich zasadach i zobaczy, co będzie dalej.

– Kiedy przyjmuję zlecenie, od razu biorę zaliczkę, a to znaczy jedno: duża sprawa to duże pieniądze. Co ty na to? Dalej chcesz mnie zatrudnić czy może już odpuściłeś?

– Tak, jestem przygotowany na spore wydatki. Spotkajmy się dziś. Zapraszam cię na kolację, wtedy omówimy szczegóły.

Nie wystraszył się. Ciekawe, o co tu naprawdę chodzi?, zastanawiała się. Ten człowiek chciał się z nią widzieć i naprawdę w swoich działaniach był zdesperowany. Wciąż nie wierzyła w zlecenie, to na pewno miał być tylko wabik, żeby doszło do spotkania. Nawet gdyby był jej ojcem, to co to by zmieniło? Nic, teraz, po tylu latach, to dla niej mało istotna informacja, choć pewnie nie każdy ma ojca biskupa.

– Gdzie? – spytała krótko.

– Jest taka restauracja na promenadzie, nazywa się Bambero. Wiesz, gdzie to jest?

– Oczywiście, ale dziwię się, że ty już to wiesz.

– Tak mnie poinstruował taksówkarz, kiedy mnie wiózł z lotniska w Alicante.

– Będę o dziewiętnastej – rzekła i zakończyła połączenie.

Spojrzała na Georga. Siedział przed nią bez ruchu jak posąg. No tak, czekał na wołwinę.

– Pamiętam, pamiętam. – Poglaskała go i wzięła się do krojenia mięsa. Nagle się skaleczyła w palec. To przez drżenie rąk. Lekarz mówił jej, że to normalne przy zespole stresu pourazowego, że z czasem to minie. Przerwała krojenie i sięgnęła do szafki po lekarstwo. To było już ostatnie opakowanie, dobrze, że Lenz ją poratował.

Agata spojrzała na zegarek, dochodziła osiemnasta, miała jeszcze godzinę. Nie zamierzała się zbyt sztyftować, to nie było spotkanie towarzyskie, a wręcz wymuszona kolacja. Poszła do łazienki i zdjęła bluzkę, spojrzała w lustro.

Ręka wyglądała okropnie, znów zrosty się zaogniły. Wyjęła z szafki pudełko ze specjalną maścią na oparzenia i blizny. Przepisał jej ją lekarz w Walencji, ponoć najlepszy specjalista w Hiszpanii. Delikatnie wsmarowała maść w ciało. Po chwili poczuła ulgę, lekarstwo zaczęło działać. Koniecznie musi zdobyć pieniądze na operację, nie może dłużej tak funkcjonować, tym bardziej że te maści nie były tanie, tak samo jak vicodin sprowadzany bezpośrednio z USA. To wszystko razem zjadało połowę jej miesięcznego budżetu, a było jedynie półśrodkiem, niczym więcej.

Sukinsyny, obiecali, że pokryją wszystkie koszty leczenia, a ona, głupia, im uwierzyła. Wykorzystali moment, kiedy leżała półprzytomna w szpitalu, i dali jej do podpisania papier, który zamknął jej drogę do kliniki zajmującej się przeszczepami skóry. Później się tłumaczyli, że musieli ciąć wydatki. Do cholery, czemu akurat jej kosztem?

Włożyła grubą sweter i dzinsy, bo wieczory były już chłodne. Do torebki wrzuciła dyktafon. Nie zaszkodzi nagrać tę rozmowę, może się to jej później przydać. W szufladzie leżał glock, chwilę się zawahała, ale go nie wzięła. Tak czy owak ten facet jest dostojnikiem kościelnym, oni nie posługują się bronią palną. Mają inne środki, żeby człowieka wykończyć, w praktyce dużo skuteczniejsze od glocka.

Usłyszała jakiś harmider przed domem, więc wyjrzała przez okno. Na podjeździe stała wielka ciężarówka, tarasując wyjazd z posesji. Wyładowywano z niej meble. Ktoś się wprowadzał albo zmieniał wystrój mieszkania. W chwilę potem zauważyła mężczyznę o śniadej cerze. Widziała go tydzień wcześniej, jak przechadzał się w towarzystwie Sandry Ordóñez, właścicielki biura nieruchomości, przez które kupiła swoje lokum. To znaczyło, że się wprowadzał. Mężczyzna poganiał robotników, coś do nich krzyczał, sporo gestykulował. Gorąca krew, prawdziwy południowiec. Agata włączyła ekspres, zanim tamci skończyą, jeszcze zdaży wypić małą kawę. Od lat była od niej uzależniona i nie piła, ale wręcz złopała ją litrami. To przez całonocne dyżury, siedzenie w skupieniu nad monitorem, w stanie ciągłej gotowości do działania. Życie w bezustannym napięciu i stresie wymagało sztucznego wsparcia, a z tego wszystkiego najbezpieczniejsza była kofeina.

Myśl o dzisiejszym spotkaniu nie dawała jej spokoju. Czego może chcieć od niej ten mężczyzna? Czy mógłby być jej ojcem, skoro jest biskupem? Już samo to się kupy nie trzymało. Czemu akurat jej szukał i jakim cudem dotarł do Kingsleya? Przecież major znał się na zacieraniu śladów za sobą jak mało kto. Jeśli ten klecha tego dokonał, to na Poveglii zjawiają się inni. Lenz już tam dotarł. Wcałe by się nie zdziwiła, gdyby jutro czy pojutrze dostała od Kingsleya informację o jego nowym miejscu zamieszkania. Tym razem może z Antarktydy, bo zawsze był szalony i zawsze lubił ekstremalne temperatury.

Spóźniła się, dopiero kwadrans po dziewiętnastej zjawiała się w restauracji.

Rozejrzała się po lokalu. Od razu go poznała, pokaźnej tuszy starszy mężczyzna siedział przy czteroosobowym stoliku w głębi tarasu. Ubrany był w czarny garnitur, spod którego wystawała szara koszula. Machnął do niej ręką, a zatem wiedział, jak ona teraz wygląda. Widząc, jak podchodzi, podniósł się z krzesła i podał jej dłoń na przywitanie. Gładka niczym pupa niemowlaka, poczuła się, jakby witała się z dzieckiem.

– Cieszę się, że przyszałaś. Naprawdę bardzo się cieszę – wyrzucił z siebie, bacznie jej się przyglądając. Nic na to nie odparła, usiadła, torebkę położyła na sąsiednim krześle, przy okazji dyskretnie włączyła dyktafon.

– Ale jesteś podobna do matki, jak dwie krople wody – wyszeptał, nachałnie się w nią wpatrując.

– Nie wiem, nigdy jej nie poznałam – odparła sucho, sięgając po cygare.

Odgryzła końcówkę i wypluła ją na posadzkę, zapaliła.

– Palisz cygara? Nie widziałem nigdy kobiety z cygarem w ustach – wydukał zdziwiony.

– Nauczyłam się tego od Kingsleya. Zawsze kiedy przesłuchiwał więźniów, cygarem przypalał im genitalia, najpierw wyli z bólu, a potem mdleli.

Twarz duchownego pokryła się śmiertelną bladością.

Mięczak, pomyślała Agata na widok tej reakcji i zaśmiała się pod nosem.

– Żartowałam, Kingsley nigdy nikogo nie przesłuchiwał. Czemu chciałeś się ze mną spotkać? Tylko nie pieprz mi, że to przez ojcowskie uczucia. Nawet jeśli jesteś moim biologicznym ojcem, to i tak nic nas nie łączy, nawet wiara, bo ja jestem niewierząca.

– Nie chcesz nic wiedzieć o swojej matce? Nie ciekawi cię twoje pochodzenie?

– Czego sobie państwo życzą?

Kelner stanął przy stoliku i szeroko się do nich uśmiechał.

– Poproszę *dorada con arroz y verduras a la plancha* i do picia wino, jakieś regionalne. Może być Fondillón – odparła.

– Ja to samo.

– Przynieś butelkę, nie będziemy się rozdrabniać – rzekła Agata.

Kelner poszedł i zostali sami.

– No, mów, jaka była? Dlaczego mnie zostawiła? Byłam zbytnim balastem? – niespodziewanie wybuchła. Tyle lat tłumila w sobie to jedno pytanie.

– Umarła przy porodzie.

Agata patrzyła na niego z niedowierzaniem. Myślała, że przez te lata rozpatrzyła wszystkie możliwości, ale to nieprawda. Śmierć podczas porodu dawniej zdarzała się dość często, w dzisiejszych czasach sporadycznie. Obwiniła matkę o swoje dzieciństwo, o porzucenie, oddanie w obce ręce i dlatego nigdy nie pomyślała, że prawda może być zupełnie inna, że matka może za to nie ponosić winy.

– Jaka była?

– Wspaniała, byliśmy w sobie zakochani do szaleństwa. Cieszyliśmy się, że przyjdiesz na świat.

– Tak się cieszyłeś, że zostawiłeś mnie na pastwę losu. Porzuciłeś mnie i wypierdoliłeś z kraju. Myślałam, że tylko Legia Cudzoziemska przygarnia łajdaków, nie pytając ich o przeszłość, a widzę, że Kościół robi to samo. Właściwe to w pewnym sensie podobne organizacje, obie wpięprzają się tam, gdzie nie potrzeba.

– Nikt w Kościele nie znał i nie zna mojej przeszłości. Zmieniłem nazwisko.

Wbiła w niego przeszywające na wylot spojrzenie.

– To jak się naprawdę nazywasz?

– Adam Pietrusiński – wydukał.

– To inaczej, niż mam w metryce. Nie byliście małżeństwem? Żyliście na kocią łapę?

– Zgadza się. Byłem prześladowany przez komunistów i musiałem uciekać z Polski.

– No proszę, jesteś prawdziwym bohaterem. Ciekawe, przed kim bardziej spierdalałeś, przed opieką nad dzieckiem czy przed komunistami? – spytała z drwiną w głosie.

– Groziły mi represje. W każdej chwili mogli przyjść po mnie i mnie aresztować. W więzieniu panowały paskudne warunki, których mógłbym nie przetrwać.

– Współczuję – dalej kpiła. Patrzyła na niego z politowaniem. Widziała, jak się wije niczym piskorz i próbuje wybielić. Żalony palant.

– Masz jej zdjęcie?

– Oczywiście.

Sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął portfel, a z niego niedużą odbitkę, którą podał Agacie. Chwilę trzymała ją w dłoni, nim na nią spojrzała. Jako dziecko często myślała o matce, starała się ją sobie wyobrazić. Nie płakała za nią, bo nie wiedziała, jak to jest mieć matkę, co straciła. Teraz wystarczyło zerknąć na zdjęcie, żeby zrewidować wyobrażenia z dzieciństwa. W końcu się odważyła. Zobaczyła ładną młodą kobietę, uśmiechała się do niej. Nagle poczuła silny ucisk w klatce piersiowej. Chwilę trwało, nim ustąpił.

– Muszę do ubikacji – oznajmiła sucho, zerwała się z krzesła i oddaliła szybkim krokiem.

Wbiegła pędem do łazienki. Oburącz chwyciła umywalkę, czołem dotknęła tafli lustra, studziła głowę rozgrzaną prawie do czerwoności. Ucisk powoli ustępował, uspokajała się. Nie myślała, że tak ją to weźmie. Szła na kolację zupełnie wyluzowana, raczej z ciekawości, czego ten człowiek naprawdę chce od niej. Zadał sobie mnóstwo trudu, by ją odnaleźć. Nie wierzyła, że skropliły mu się uczucia rodzicielskie, tej bajeczki nie kupowała. Musiało chodzić o coś innego. Cały czas trzymała zdjęcie w dłoni. Ponownie spojrzała na nie. Kobieta wciąż się uśmiechała. Umarła, żeby dać jej życie. Chyba źle wybrała, bo jej życie jest gównem. Sięgnęła do torebki po telefon i zrobiła fotografii zdjęcia. Czuli, jak jej ręce drżą, więc łyknęła swoje cudowne tabletki. Dziś zażyła ich sporo. Poprawiła makijaż i wróciła do stolika. Bez słowa oddała fotkę biskupowi.

– Dobrze się czujesz? – spytał, bacznie na nią spoglądając.

– Bardzo dobrze – odparła sucho. – Powiedz mi więcej o matce. Kim była z zawodu? Gdzie mieszkała? Kim byli moi dziadkowie? Aha, jak miała na imię, bo zapomniałam? – rzuciła podchwytliwie na koniec, bo co jak co, ale to dobrze pamiętała. Przecież miała dokument adopcyjny.

– Miała na imię Janina. Pochodziła z Warszawy, ukończyła płocką politechnikę. Twój dziadkowie z jej strony byli obydwój księgowymi, umarli, zanim ją poznałem. Moi rodzice...

– To mnie nie obchodzi – przerwała mu. – Pytałam o matkę. Dlaczego umarła? Co poszło nie tak?

– Komplikacje tuż przed porodem. Lekarze walczyli o jej życie, ale bez powodzenia.

– Dobra, teraz przejdźmy do konkretów. O co w tym wszystkim naprawdę chodzi? Czego ode mnie chcesz?

Przy stoliku zjawił się kelner z rybą. Wino przyniósł wcześniej, widocznie kiedy Agata była w łazience.

– Ładnie pachnie – zauważył duchowny, wpatrując się w doradę jak zaczarowany.

– Owszem, i dobrze smakuje, ale teraz odpowiedz mi na pytanie. O co w tym wszystkim chodzi? – powtórzyła.

Biskup rzucił jej płochliwe spojrzenie, zawahał się. Umoczył usta w winie i odstawił kieliszek.

– Jestem już stary, choruję i chcę naprawiać to, co w życiu spierdoliłem.

– Tego nie naprawisz, jak nie naprawisz Titanica – zadrwiła – ale mów dalej.

Sięgnęła po sztućce i wzięła się do jedzenia.

– Chcę tobie i twojemu rodzeństwu dać możliwość sporego zarobku.

Rozległ się głośny brzęk, to widelec wypadł Agacie z dłoni i spadł na talerz.

Spojrzała, zdumiona, na Pakulskiego vel Pietrusińskiego. Czyżby się przesłyszała?

– Co powiedziałaś? Powtórz to – wyszeptwała, natarczywie wpatrując się w niego.

Mężczyzna wyraźnie stropił się jej reakcją.

– Chcę ci dać możliwość sporego zarobku – wydukał drżącym głosem.

– Nie to. To wcześniejsze.

– Tobie i twojemu rodzeństwu.

– Kurwa mać, jakiemu rodzeństwu? O czym ty, człowieku, gadasz? Ja nie mam żadnego rodzeństwa. Pojawiasz się tu nieproszony, twierdzisz, że jesteś biskupem, a jednocześnie moim ojcem, opowiadasz mi o mojej matce, a na dodatek twierdzisz, że mam rodzeństwo. Czego jeszcze się dowiem? Może że odziedziczyłam miliardy Rockefellerów?

Agata chwyciła kieliszek i wypila do dna.

– To nie są miliardy, ale i tak spora kasa do zarobienia.

– Co to za rodzeństwo? Wyjaśnij mi to. Ilu czy ile ich jest? Zanim zostałeś biskupem, pewnie skakałeś z probostwa na probostwo i wszędzie płodziłeś bękarty. Może to drużyna piłkarska, a może dwie? – kpiła.

Duchowny wziął ze stołu serwetkę i starł nią pot z czoła.

– Oni są starsi od ciebie. Jestem ich ojcem, a Janinka była ich matką. Masz brata i siostrę.

– Też mieli takie słodziutkie dzieciństwo jak ja? Też popierdolona opiekunka się na nich wyżywała? Od nich też uciekłeś, bohaterski tatusiu?

– Ich wzięła na wychowanie moja siostra. Ciebie już nie chciała, bo sama miała trójkę dzieci.

Agata naląła wino i wypila.

– Przynieś jeszcze jedną butelkę! – krzyknęła do przechodzącego akurat kelnera.

– A zatem chociaż im się udało. Jak mają na imię?

– Marek i Renata. Chcę wam pomóc, bo wam wszystkim się w życiu nie udało.

Tego to już było za wiele.

– Co ty, kurwa, wiesz o moim życiu?! – krzyknęła.

Wszyscy w lokalu spojrzeli w kierunku ich stolika. Agata od razu się zreflektowała i ściszyła głos.

– Słuchaj, złamasie, nie masz prawa wypowiadać się o moim życiu, żadnego prawa, zrozumiano?

– Przepraszam – bąknął.

Na promenadzie na kamiennej ławce siedział José. Pakował gitarę do futerału.

– Daj sto euro! – rzekła Agata do duchownego tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zdumiała go ta prośba, ale bez słowa wyjął banknot z portfela i jej podał. Agata podniosła się z krzesła i wybiegła z lokalu. Podeszła do sąsiada i wcisnęła mu pieniądze do kieszeni.

– Zaśpiewaj mi to, co lubię – poprosiła. – To dziś jedyne lekarstwo na mój podły nastrój.

Szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy. Bądź co bądź takich nominałów nikt nigdy nie wrzucał mu do kapelusza.

– Oczywiście, dla pani wszystko, señorita.

Agata wróciła do stolika, a muzyk z gitarą w ręku, pieszcząc struny palcami, podążył za nią.

Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita
Nie mogę oprzeć się, gdy cię spotykam
Twój każdy dotyk jest lalala
Jak sen lalala...

Zapaliła cygaro.

– To zgadzasz się? – spytał duchowny.

Położyła palec na ustach.

– Ciii! To jest piękna piosenka, posłuchaj. Zresztą zapłaciłeś za ten występ, i to sporo kasy.

– Nie lubię tego rodzaju muzyki, wolę klasyczną.

– Hitler też lubił tylko klasyczną, a najbardziej Wagnera.

Siedzieli w milczeniu, a José grał i śpiewał. Kiedy skończył, został przez gości nagrodzony wielkimi brawami.

– Oni tak jak ja lubią tę piosenkę – rzekła Agata, gasząc cygaro. – Opowiedz mi o moim rodzeństwie.

– Marek jest elektrykiem, a Renata pielęgniarką. Po ukończeniu szkoły wyjechali z Polski za chlebem.

– Za chlebem? Nie rozumiem.

– To znaczy, chcieli się dorobić za granicą i wrócić do kraju z pieniędzmi, żeby otworzyć własny interes. Niestety, nie wyszło im. On zaczął pić, więc go wyrzucali z kolejnych posad i nigdzie na dłużej nie zagrał miejsca. Ona znalazła dobrą pracę w prywatnej klinice, ale zaczęła wynosić z pracy lekarstwa i je sprzedawać pokątnie.

– Lekarstwa? Chyba masz na myśli psychotropy? Mam rację?

– Owszem. Wyrzucili ją, miała szczęście, że nie zamknęli jej w więzieniu. Później było tylko gorzej: prostytutka, drobne kradzieże, narkotyki. Obydwoje są teraz na dnie.

– I ty masz czelność mnie z nimi porównywać?

Nalała sobie wina, ale tym razem jedynie umoczyła usta w kieliszku.

Już jakiś czas temu kilka stolików dalej zauważyła mężczyznę o śniadej cerze, który jej się nachalnie przyglądał. Dyskretnie zrobiła mu zdjęcie telefonem i wstała od stolika.

– Zaraz wracam – rzekła i ponownie poszła do łazienki. Weszła do kabiny, zamknęła się w niej, po czym sięgnęła po telefon.

– Co się stało? – Usłyszała zaniepokojony głos Kingsleya.

– Chyba mnie wytropiono, śledzi mnie jakiś typ. Wygląda na Araba, może Pakistańczyka. Oni wszyscy są do siebie ludzako podobni.

– Masz jego zdjęcie?

– Tak, zrobiłam dość wyraźną fotkę, zaraz ci wyślę. Tak czy owak, muszę się znów gdzieś przenieść.

– Przyjedź do mnie, tu będziesz bezpieczna.

– To nie jest rozwiązanie. Nie mogę wciąż uciekać. Muszę się lepiej zabezpieczyć.

– Dzwonisz z domu?

– Nie, z knajpy. Jestem tu na kolacji z tym biskupem, co się podaje za mojego ojca. Dziwny gość, już sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mam niezły bałagan w głowie. To na razie.

Zakończyła rozmowę i przesłała zdjęcie. Wróciła do stolika i spojrzała na duchownego nieprzytomnym wzrokiem.

– O czym to rozmawialiśmy?

– Przepraszam, to było niezręczne – bąknął. – Chodziło mi o to, że nie założyliście rodzin, że nie macie dzieci.

– Dobra, przestań mi tu ściemniać. Co to za interes? Przejdź w końcu do konkretów.

Była rozdrażniona jego ciągłym tłumaczeniem się, jednocześnie co chwila zerkając w stronę mężczyzny, który wydawał się jej podejrzany. Akurat dosiadła się do niego kobieta, wymienili pocałunki. Już wiedziała, że to fałszywy alarm, że jest bezpieczna. Wyjęła telefon i napisała esemesa o treści: „Wszystko OK”, po czym wysłała go do majora.

– No, co to za biznes?

– Chciałbym twojemu rodzeństwu zaproponować pracę przy pewnym projekcie. Ty zaś byś czuwała nad ich bezpieczeństwem.

– Że przez wiele lat miałam kontrakt z armią, nie oznacza, że jestem świetnym bodyguardem. Owszem, umiem strzelać, ale to wszystko. Byłam zwykłym urzędnikiem – skłamała. – Co to za projekt?

Mężczyzna sięgnął po kieliszek i upił nieduży łyk.

– To jest dość skomplikowane do wytłumaczenia – zaczął. – Chodzi o formę pomocy umierającym.

– Chcesz założyć hospicjum? – wykrztusiła, zdziwiona. Co to za pomysł, żeby akurat jej proponować tam pracę? Chyba naprawdę nie miał kompletnie pojęcia, czym się w wojsku zajmowała.

Na jego twarzy zagościł dziwny uśmiešek.

– To niezupełnie tak. Kiedy człowiek umiera, często się panicznie boi i kurczowo trzyma życia. Chcemy mu to ułatwić.

– Co chcecie mu ułatwić? – wydukała, coraz bardziej zdziwiona. – Chcecie im to przyspieszyć przy pomocy poduszki czy naciskać stopą na węża z tlenem?

– Ależ skądże! – Biskup się obruszył. – Chcemy, żeby agonia była czymś przyjemnym.

– Kurwa mać! – ryknęła na niego, znów wywołując konsternację wśród gości. – Widziałam mnóstwo umierających ludzi, każdy odchodził inaczej. Jedni z uśmiechem na twarzy, inni płakali, a jeszcze inni w ogóle nie wiedzieli, że to koniec, i myśleli, że zasypiają. To było takie ludzkie, a wy nawet to chcecie skomercjalizować? Nawet dla śmierci nie macie za nic szacunek. Chcesz zejść z tego świata z orgazmem, zgłoś się do nas. Całkiem niezłe hasło reklamowe. Ile ma kosztować ta usługa? Ten świat jest totalnie pojebany.

– Nikt na tym nie chce zarabiać.

– Skoro tak, to gdzie tu jest interes? Widzę tu bardziej pracę charytatywną, a mnie w mojej sytuacji na coś takiego nie stać. Jednym słowem na próżno się tu wybrałaś, no chyba żeby zjeść pyszną kolację.

Znów zerknęła na mężczyznę kilka stolików dalej. Był pochłonięty rozmową ze swoją towarzyszką. To ją tylko dodatkowo uspokoiło. Spojrzała na promenadę. José akurat skończył rozmawiać z parą jakichś turystów i pomachał do niej. Nic dziwnego. Sto euro za jeden utwór, ale chyba źle się z tym czuł, bo zaraz uderzył palcami w struny gitary.

Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita
Nie mogę oprzeć się, gdy cię spotykam
Twój każdy dotyk jest lalala
Jak sen lalala...

– To jest program częściowo finansowany przez Unię Europejską, od nich dostaniecie honorarium. To, co zapłacą klienci, pójdzie na głodujące dzieci w Afryce.

Agata z trudem się powstrzymała, żeby nie parsknąć śmiechem. Już widziała, jak te pieniądze idą do potrzebujących. Aż tak naiwna nie była, żeby w to uwierzyć.

– Psiozcycie na tę Unię, a wciąż ją dymacie jak starą kurwę.

Biskup, słysząc te słowa, przeżegnał się ostentacyjnie, co tylko Agatę rozbawiło.

– Mając tyle za uszami, nie powinieneś się gorszyć po usłyszeniu kilku brutalnych słów prawdy. Wciąż nie wiem, na czym polegałaby moja praca.

– Twoje rodzeństwo jest na skraju. Właściwe są już poza społeczeństwem. Sprowadź ich na właściwe tory i przywieź do Polski. Tam się spotkamy i ustalimy dalszy plan działania.

Rzuciła mu zdumione spojrzenie. Żartuje czy mówi prawdę?

– Co proszę? Nie jestem psychologiem, a tym bardziej psychiatrą. Zatrudnij lepiej kogoś takiego. Ja się do przestawiania klocków w ludzkich mózgach nie nadaję. Sama mam problemy ze swoimi, bo panuje w nich niezły bałagan.

– Próbowałem już wszystkiego, zostałaś ty.

– To dlatego mnie szukałeś? Teraz wszystko jest jasne. Inaczej miałbyś mnie w dupie.

– Nieprawda – zaprzeczył stanowczo. – Choć faktycznie tak może to wyglądać. Proponuję dwieście tysięcy euro.

– Dwieście tysięcy za co? Za wyręczenie cię w roli troskliwego tatusia? – sztychła. – Czy za co? Spreczyzuj to, do cholery. Bo już tego nie łapię.

– To jest twoje rodzeństwo. Zrób to dla nich. Spróbuj, to tylko dwa miesiące, maksimum rok, a zarobisz dwieście tysięcy, a może i milion. Wiem, że przydadzą ci się takie pieniądze.

– Wal się, złamasie! – warknęła, po czym chwyciła torebkę, poderwała się z krzesła i ruszyła do wyjścia.

– Masz czas na podjęcie decyzji do jutra, do południa! – krzyknął za nią.

Nawet się nie odwróciła, tylko wyciągnęła rękę za siebie i pokazała mu środkowy palec.

Była wściekła i bardzo zmęczona. Nie przypuszczała, że ta kolacja będzie ją kosztować tyle nerwów. Runął cały jej dotychczasowy świat i powstał nowy, już na pierwszy rzut oka równie gównie wart co poprzedni. Korciło ją, żeby chwycić za telefon i zadzwonić do Kingsleya, przyjął jego propozycję, wykreślić ten dzień z życiorysu, zapomnieć go, ale wiedziała, że tak się nie da. To byłoby za łatwe.

Doszła do samochodu, wsiadła do niego i włożyła kluczyk do stacyjki. Chciała go przekreślić, kiedy przypomniał jej się mężczyzna z knajpy. Zawahała się. Ze skrytki wyjęła latarkę i wysiadła. Po kolei zajrzała do wszystkich nadkoli. Oświetliła też tył samochodu i zajrzała pod maskę, ale nie zauważyła nic podejrzanego. Wsiadła na powrót i przekreśliła kluczyk. Silnik zamruczał mile dla ucha. Odetchnęła z ulgą, po czym wcisnęła gaz do dechy i jak zwykle z piskiem opon ruszyła z miejsca.

Przed apartamentowiec zajechała równo z José. Akurat wysiadał ze swojego starego, skorodowanego seata.

– Señorita, dziś miałem wspaniały wieczór! – krzyknął w jej kierunku.

Posłała mu uśmiech.

– Szczęściarz – mruknęła pod nosem. Ona nie mogła powiedzieć tego samego. W drzwiach mieszkania przywitał ją Georg. Trzymał smycz w pysku, mądre psisko. Wyszli przed blok. Akurat nad miasteczkiem odpalono kolorowe race. Nie lubiła tego zwyczaju. Wciąż myślała o dziwnej propozycji rzekomego ojca. Gdyby nie to, że po uszy tkwiła w długach, pewnie by jeszcze ostrzej na nią zareagowała. Teraz miała całą noc, żeby to sobie jakoś w głowie poukładać.

Po powrocie wzięła telefon, butelkę białego wina, kieliszek i rzuciła się na kanapę. Zajrzała do galerii zdjęć i odszukała fotografię matki. Długo się jej przyglądała, teraz widziała więcej podobieństw niż za pierwszym razem, pewnie wtedy silne emocje zamgliły jej postrzeganie wszystkiego. Ciekawe, jak wygląda jej rodzeństwo, czy i oni są do siebie podobni? Od razu pomyślała o Kingsleyu, kiedyś poznała jego brata, oni byli zupełnie różni. Sprawdziła maile, jest nowe zlecenie. Na chwilę serce jej mocniej zabiło, by zaraz wyhamować. Eleonora Tomás potrzebuje pomocy w odszukaniu kota. To już chyba dziesiąty raz. Za każdym razem po kilku dniach odnajdywał się sam. Czy tak ma wyglądać praca prywatnego detektywa? Wybrała Hiszpanię, bo tu lubią się ukrywać przestępcy z całego świata, ale widocznie źle oceniła potencjał tego miejsca, chyba drastycznie go przeszacowała.

Była północ, kiedy przed apartamentowcem, w którym mieszkała Agata, zajęchało czarne volvo. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Krótko ostrzyżeni, sylwetki wojskowe.

– Mieszka w tym budynku. Tu masz jej zdjęcie. – Kierowca podał pasażerowi dużą czarno-białą fotografię i grubą kopertę formatu A4.

– Ładna.

– Ładna i bardzo cenna. Macie zlecenie i je wykonajcie. Pamiętaj tylko, dyskretnie. Nie lekceważcie jej. Wierz mi, ona jest świetnie wyszkolona. Co kilka dni oczekuję od was raportu.

Samochód zawrócił, po czym powoli odjechał.

Był piątek, późne popołudnie, słońce chyliło się ku zachodowi. Ciemne burzowe chmury spowiły niebo. Co chwila, pomrukując groźnie, przedzierała się przez nie błyskawica. Agata szła krętymi i stromymi uliczkami starej części Malagi. Opatulona w gruby płaszcz z ciemnej wełny z postawionym kołnierzem, broniła się przed atakami deszczu za pomocą wielkiego czarnego parasola. Przeszła Calle Cordoba, skręciła w Calle Vendeja, w końcu zatrzymała się przy zaniedbanej wąskiej kamienicy, obok której, dosłownie przy chodniku, rosło dorodne drzewko pomarańczowe, wśród którego liści zauważyła mnóstwo niedojrzałych owoców. Nad drzwiami widniała ceramiczna tabliczka z numerem domu, zerknęła na nią, by się upewnić, że to właściwy adres. Po lewej stronie wejścia, pod wystającym okapem dachu, spało na parapecie okna wielkie szare pręgowane kocisko. Słyszając ją, na chwilę otworzyło oczy i to było całe jego zainteresowanie jej osobą. Agata zamknęła czaszę parasola i po krótkiej chwili wahania weszła do budynku.

W środku panował półmrok, jedyne światło, padające z małego okienka umieszczonego wysoko pod sufitem, leniwie odbijało się od starych, mocno wytartych marmurowych stopni schodów, które prowadziły na piętra kamieniczki. W powietrzu unosił się niemiły zapach stęchlizny. Wilgoć to stały element nadmorskiej zabudowy, można powiedzieć, że miejscowy folklor. Agata ruszyła w stronę schodów, bo sądząc po numerze mieszkania, cel jej wyprawy powinien znajdować się na samej górze, na poddaszu. Wdrapała się na trzecią kondygnację. Rozejrzała się po piętrze, wszędzie dokoła brud, murszejący tynk, na ścianach długie, sięgające posadzki szczeliny, pęknięcia nierokujące dobrze przyszłości tej kamienicy. Dni tego domu są policzone, to pewne, stwierdziła. Podeszła do jedynych tu drzwi i w nie zapukała. Cisza. Ponownie zapukała i ostrożnie przyłożyła do nich ucho. Wydawało jej się, że coś usłyszała, jakby jęk, ale nie była tego do końca pewna. Nacisnęła klamkę i drzwi stały przed nią otworem. Od razu zobaczyła łóżko, nad którym nachylał się jakiś mężczyzna, szarpiąc się z kimś, kto tam leżał. Co tu się, do cholery, dzieje?

– ¡Hola! – krzyknęła.

Mężczyzna odwrócił głowę i dopiero teraz ją zobaczył. Mruknął pod nosem coś, czego nie zrozumiała, i rzucił się do ucieczki. Chciała chwycić go za ramię, zagrozić mu drogę, ale wtedy ją pchnął tak silnie, że zatoczyła się na ścianę. Wykorzystał to i wybiegł z mieszkania. Nie zamierzała go gonić, bo mógł być uzbrojony, a ona glocka zostawiła w samochodzie. Rozejrzała się po wnętrzu, to, co zobaczyła, trudno było nazwać mieszkaniem. Bardziej przypominało norę czy pijacką spelunę. Wszędzie bajzel. Pod ścianą naprzeciw wejścia stała stara, niedomykająca się trzyskrzydłowa szafa, z której wysypywały się jakieś brudne łachy. Obok niej był stół i dwa krzesła, każde inne i każde błyszczące grubą warstwą tłustego brudu na siedzisku. Wszędzie wały się sterty pustych opakowań, w tym mnóstwo butelek po alkoholu. Po etykietach Agata od razu poznała, że najtańszego. Na kuchence gazowej stały garnki z zepsutym jedzeniem, a wydobywający się z nich odór był nie do zniesienia. Obok szafy stał barłóg, trudno było o inne określenie dla łóżka z rozpadającym się materacem. Agata podeszła do okna i po krótkim szarpaniu się

z mechanizmem otworzyła je na oścież. Do środka zaczęło wpaść świeże powietrze, wreszcie było tu czym oddychać. Kilka razy głęboko odetchnęła.

– Co robisz, do cholery?! – Od strony barłogu dobiegł słaby kobiecy głos.

– Włączyłam ci respirator – zadzwiała Agata.

Zbliżyła się powoli do łóżka i ostrożnie nachyliła nad leżącą w nim kobietą, a właściwie tym, co z niej zostało, wrakiem kobiety. Patrzyła na przeraźliwie wychudzoną twarz, oczy zamglone i głęboko zapadnięte w oczodołach, włosy niepamiętające mycia, szamponu, z brudu pozlepiane w grube kosmyki. Poczula od niej odór alkoholu. Ciało kobiety skrywało się pod szmatą z wyglądu przypominającą kołdrę, która co i raz delikatnie się unosiła. Namacalny dowód, że w tym cieple tli się jeszcze życie.

– Kim jesteś? Kim był ten facet? – wyszeptała tamta, z trudem trzymając się za gardło.

Absurdalne pytanie. Agata nic na to nie odparła, no bo skąd mogła wiedzieć, co za sukinsyn chciał tamtą zabić? Nie bacząc na wszechobecny brud, usiadła na skraju wyrka i zaczęła się kobiecie uważnie przypatrywać. W pewnym momencie powoli wyciągnęła lewą dłoń i dotknęła jej czoła. Delikatnie pogładziła włosy.

Renata ponoć była piękna, tak w każdym razie twierdził biskup, którego Agata postanowiła nigdy nie nazywać ojcem. Mówił, że była chodzącą doskonałością, i to pod każdym względem, również intelektu. Co się stało z tą kobietą? Jak można tak upaść? Agata szukała w niej jakiegoś podobieństwa do siebie, ale nie znalazła. Może dlatego, że Renata była skrajnie wychudzona?

– Ten facet chciał mnie udusić. Wypytywał mnie o jakąś kobietę, ale ja jej nie znam. Chyba pomylił adresy. A ty czego chcesz? Nie poznaję cię. Kim, do cholery, jesteś?

– Nie poznajesz mnie, bo mnie nie znasz, ale zaraz poznasz. – Ostatnie słowa Agaty zabrzmiały złowrogo.

– Jeśli przyszedłś po czynsz, to masz pecha. Nie mam pieniędzy, a zasilek już przejadłam.

– Chciałaś powiedzieć, że przepiłaś i pewnie przećpałaś, sądząc po charakterystycznych bliznach na twoich rękach. Od teraz będzie zmiana, koniec z chlaniem na umór i koniec przyjaźni z brudną strzykawką, los daje ci ostatnią szansę na wyjście na prostą, więc nie możesz tego spierdolić.

Nagle oczy Renaty, dotąd zamglone i apatyczne, na moment zabłysły.

– Idź do diabła, nikt nie będzie mną rządził. Ty też! – wyrzuciła z siebie z wyraźnym trudem.

– Znasz niejakiego Adama Pakulskiego? On mnie tu przysłał.

– Tatusiek? – Zaśmiała się cicho. – Powiedz mu, żeby spierdalał. Od lat sukinsyn mnie prześladowuje. Klecha pojebany! Czy on nigdy nie da mi spokoju?

Agata, słysząc to, jedynie pokręciła głową. Nią nikt nigdy zbyt nie interesował. Pierwsi opiekunowie zginęli, a następni, jak tylko było to możliwe, od razu wysłali ją do szkoły z internatem, później na studia też poza domem. Mieli własne dzieci i na nich głównie skupili swoją uwagę. Przyjeżdżała jedynie na wakacje, ale z czasem i to zarzuciła, bo nie mogła znaleźć z nimi wspólnego języka, choć się naprawdę starała. Owszem, zawdzięczała im to, że ją wykształcili. Tego im nigdy nie zapomni.

Wstała i zaczęła się nerwowo przechadzać po pokoju. Co chwila słychać było brzęk przedmiotów, o które nie chcąc zawadzała butami. Sytuacja ją kompletnie zaskoczyła, bo nie tego się tu na miejscu spodziewała. Biskup ją oszukał. Nie myślała, że jest aż tak źle. Należało działać. Zdjęła płaszcz, zobaczyła wieszak na drzwiach i tam go ostrożnie powiesiła. Zajrzała do łazienki, brud jak wszędzie, ale była wanna i to był jedyny plus. Wcisnęła korek i zaczęła napszczać wodę, nawet nie sprawdzała, czy jest ciepła. Chwilowo to był najlepszy pomysł, jaki wpadł jej do głowy. Kiedy wanna się do połowy napełniła, wlała do niej pół butelki jakiegoś aromatycznego płynu, który znalazła w jednej z szafek. Nie pofatygowała się, żeby sprawdzić, czy to jest płyn do podłogi, prania, a może do mycia kibla. Ważne, że ładnie pachniał. Następnie wróciła do pokoju, chwyciła kołdrę i jednym energicznym pociągnięciem ręki zerwała ją z Renaty.

Poczula intensywny smród niemytego ciała, aż się wzdrygnęła. Złapała Renatę za rękę i szarpnęła ją do góry. Tamta opierała się z całych sił, ale na nic to się jej zdało. Tu Agacie przydał się trening z wojska, fachowy chwyt. Zaciągnęła ją do łazienki i siłą, w koszuli nocnej, wepchnęła ją do wanny pełnej lodowatej wody.

– Puść mnie, ty kurwo jedna! Zimno mi! Pomocy! Mordują!

Renata krzyczała na pół kamienicy, ale Agata wcale się tym nie przejmowała. Chwyciła szczotkę klozetową i zaczęła ją nią szorować.

W tym, co robiła, była prawdziwa determinacja, bo od zawsze nienawidziła brudu i pijaków. Alkohol był dla ludzi, ale codzienne nawalanie się do nieprzytomności? Tego nigdy nie akceptowała.

To była prawdziwa bitwa. Wściekłemu wyciu Renaty nie było końca. Woda przyskała na wszystkie strony, podłoga w łazience była cała nią zalana.

Dopiero kiedy Agata uznała, że osiągnęła spodziewany efekt, odpuściła i pozwoliła tamtej wyjść z wanny.

Renata stanęła bezradnie na środku łazienki i, naga, cała się trzęsła z zimna. Woda skapywała jej z włosów na ramiona, po czym małymi strużkami spływała na posadzkę.

Agata rzuciła jej jakiś ręcznik, a po chwili przyniosła swój płaszcz i jej go podała.

– Włóż to na siebie. Ja teraz wychodzę na zakupy, ale niebawem wrócę. Ty w tym czasie weź się do porządków. Choć z grubsza ogarnij ten syf w mieszkaniu.

– Jak będziesz w sklepie, to kup mi jedno najtańsze wino, mam pienią... – Renata przerwała w pół słowa, widząc minę Agaty. – Już nic – dokończyła.

Agacie zeszło blisko dwie godziny, sama też musiała się przebrać, dobrze, że miała w samochodzie ubranie na zmianę. Wróciła objuczona trzema wielkimi reklamówkami. Postawiła je na podłodze w wejściu do mieszkania i poszła zobaczyć postępy w porządkach. Renatę zastała z papierosem w ustach siedzącą na swoim barłogu.

– Do cholery! Co to jest?! – ryknęła na nią, widząc ten cały bałagan nawet nietknięty ludzką ręką. – Miałaś to jakoś ogarnąć. Chyba powiedziałam wyraźnie?

– To moje mieszkanie i moje porządki. Nie będziesz mi tu rządzić. Zabieraj tę swoją szmatę i wypieprzaj stąd!

Renata ściągnęła z siebie płaszcz i rzuciła go w jej stronę. Znowu była naga. Wyglądała starzej niż Pakistanka, u której Agata mieszkała po przylocie do Islamabadu, nawet piersi miała bardziej obwisłe, ale tamta kobieta była siedemdziesięciolatką i wychowała jedenaścioro dzieci.

– Wenus z Malagi, nędzny widok – zadrwiła Agata i cofnęła się do przedpokoju, by za chwilę wrócić z reklamówką wypełnioną ubraniami.

– Wybierz sobie coś z tego – rzekła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A co do mieszkania, to przed chwilą uregulowałam zaległe opłaty za ostatnie trzy miesiące. Ciekawi mnie, gdzie byś wylądowała, gdyby cię stąd wyrzucili. Ubieraj się i wyjeżdżamy. Właściciele dali nam czas do wieczora.

– Kim jesteś, do cholery, żeby mi tu rozkazywać?

– Ponoć twoją siostrą, tak w każdym razie twierdzi ten palant biskup, którego nazwałaś tatuśkiem, ale patrząc na ciebie, to szczerze wątpię w nasze pokrewieństwo. Za dużo nas dzieli.

Słyszając to, Renata zdumiała się i zaczęła nachalnie się jej przypatrywać.

– Siostra? – wydukała po dłuższej chwili. – Ile bachorów ten sukinsyn spłodził, zanim został księdzem? Chyba wciąż latał z kutasem na wierzchu.

– Myślę, że co najmniej o jednego za dużo.

To zabrzmiało bardzo dwuznacznie.

Do Renaty chyba dopiero teraz dotarło, że straciła lokum, bo nagle chwyciła się za głowę w geście rozpaczy.

– To co teraz ze mną będzie? Jak sobie poradzę? Gdzie zamieszkać?

Agata widziała panikę w jej oczach, ale nie była do końca pewna, co tak naprawdę ją wystraszyło. Brak mieszkania? Czy może brak alkoholu? A być może jedno i drugie.

– To teraz mój problem. Bierz swoje rzeczy i wyjeżdżamy, ale najpierw się ubierz, bo nago cię nie zabiorę ze sobą. Sama nie wiem, czy to byłaby obraza moralności czy bardziej odczuć estetycznych.

Renata, choć z oporami, posłuchała jej i zaczęła powoli wyjmować ubrania z reklamówki, ręce jej się przy tym delikatnie trzęsły, co w jej przypadku było ewidentnym objawem choroby alkoholowej. Agata tymczasem udała się do kuchni, żeby coś dla niej przyrządzić, odgrzać na szybko przyniesioną przez nią paellę, bo pewnie tamta od dawna nic nie jadła, ale najpierw musiała zrobić sobie trochę przestrzeni. Założyła na dłonie świeżo kupione długie gumowe rękawice i wzięła się do porządków. Wszystko, co wpadło jej w ręce, wrzucała do plastikowych worków. W tym upale i smrodzie to była mordercza, wręcz katorżnicza praca, ale trzeba ją było wykonać.

W samo południe, kiedy słońce najbardziej dawało się we znaki, w najgorszym skwarze opuściły wreszcie mieszkanie i poszły w stronę samochodu zaparkowanego dwie przecznice dalej. Agata szła sprężystym krokiem, zaś Renata, powłócząc nogami, ledwie za nią nadążała.

– Hej, Reni! Daj papierosa – zaczepił je jakiś menel o zapijaczonej gębie.

Kobieta chciała się przy nim zatrzymać, ale Agata szarpnęła ją za ramię.

– Spadaj stąd, moczymordo! – ryknęła na pijaka.

Kiedy mijaly pobliski bar, usłyszały męskie głosy i głośny śmiech.

– Patrzcie, kto idzie! Ta, co daje dupy za łyk taniego wina, ta kurewka z Polski.

Agata nagle się zatrzymała.

– Stój tu i nie waż się stąd oddalić! – rozkazała, a sama weszła do lokalu.

Nędzna to była knajpa, kilka zapitych gęb przy stolikach i Chińczyk za barem, co już nikogo specjalnie nie dziwiło, bo w hiszpańskim handlu i gastronomii było ich multum. Wszystkie oczy naraz skierowały się na nowo przybyłą.

– Który to powiedział? – spytała zaczepnie.

– Ja, a bo co?

Z krzesła podniósł się mężczyzna w sile wieku, masywny, z widocznymi na bicepsach marynarskimi tatuażami. Na jego ustach pojawił się szyderczy uśmiech. No tak, co może mu zrobić kobieta?

Agata podeszła do niego i stanęła tuż przed nim tak blisko, że czuła jego cuchnący oddech na twarzy. Zadarła głowę i spojrzała mu w oczy, po czym niespodziewanie kopnęła go w krocze. Mężczyzna z głośnym jękiem zgiął się wpół, a wtedy wyprowadziła lewy sierpowy na jego podbródek. Teraz mężczyzna wyprostował się niczym struna w gitarze i runął na stojący tuż za nim stolik, który pod jego ciężarem z wielkim hukiem rozpadł się na kawałki. W lokalu zapadła cisza jak makiem zasiał. Agata z kieszeni džinsów wysuwała banknot sto euro i rzuciła go na konrtuar.

– To wystarczy jako zadośćuczynienie, więcej ten gówniany mebel nie był wart.

Spojrzała zaczepnie na Chińczyka i jak gdyby nigdy nic opuściła knajpę.

Renata stała na ulicy z jakimś obwiesiem i piła wino prosto z butelki.

– Kurwa mać – zaklęła Agata. Na chwilę straciła ją z oczu i od razu problem. Podeszła do niej, wyrwała jej butelkę z dłoni i zamasztyłym ruchem cisnęła ją do pobliskiej śmietniczki.

– Ej, señorita, to moje wino – zaprotestował obwieś. Nie zamierzała z nim dyskutować, czyje ono jest. Z wojowniczą miną ruszyła w jego kierunku, ale okazał się dużo mądrzejszy od tego w knajpie i szybko czmychnął.

– Idziemy! – Chwyciła Renatę za ramię i popchnęła ją przed sobą. Szamotała się z nią co chwila, aż w końcu dotarli na miejsce.

– No nieźle. – Renata aż zagwizdała z wrażenia, widząc przed sobą srebrzystego mercedesa. – No proszę. Widzę, że siostrzyczce dobrze się powodzi.

– Jeśli chodzi o samochód, to jest z wypożyczalni i nie tytułuj mnie siostrzyczką, bo mnie to wkurwia.

– A kto tam siedzi na siedzeniu? Kto to?

Kobieta zajrzała przez szybę do środka i odskoczyła, przerażona.

– Tam jest pies! Nie wsiądę do samochodu z psem. Nie ma mowy! Boję się psów. Psy mają robaki i różne choroby.

Agata aż się zagotowała ze złości. Bezczelna suka, ona śmie mówić o robakach, kiedy szczury biegają po jej kuchni, ale powstrzymała się od wchodzenia z nią w dysputy, w tych okolicznościach nie warto było sobie języka strzępić.

Otworzyła bagażnik i się nad nim nachyliła. Tym zachowaniem wzbudziła ciekawość Renaty, która natychmiast podeszła do niej i też się, tak jak ona, nachyliła. Agata tylko na to czekała, chwyciła tamtą poniżej pasa i energicznym ruchem ręki wrzuciła ją do bagażnika, by na koniec szybko zatrzaskać pokrywę. Tamta tak była tym zaskoczona, że nawet się nie opierała.

– Według życzenia, suko, nie jedziesz z psem. Robale cię nie zjedzą.

Rozejrzała się czujnie wokoło, czy aby nikt tego nie zauważył, ale ulica była jak wymarła. Zapewne okoliczni mieszkańcy leżeli teraz w swoich mieszkaniach pod klimatyzatorami i nie obchodziło ich, co się dzieje na zewnątrz, wszak była pora sjesty. Wsiadła za kierownicę i odjechała. Mknęła uliczkami Malagi przy głuchych odgłosach uderzeń dochodzących z bagażnika. Słyszała też krzyki, złorzeczenia pod jej adresem, wołanie o pomoc. Włączyła radio, akurat leciało *Cuando Me Enamoro*. Lubiła głos Enrique Iglesiasa, więc pogłośniła. Na pewno to było dużo przyjemniejsze do słuchania niż potępieńcze zawodzenie jej więźnia. Rzuciła okiem na Georga, siedział dumnie na siedzeniu obok, ślina ciekła mu z pyska prosto na skórzaną tapicerkę. Agata już wiedziała, że przyjdzie jej słono zapłacić za ten wynajem, ale co tam, wszystkie koszty związane z tym przedsięwzięciem ponosił biskup.

Już będąc w Maladze, postanowiła, że wstąpi na jeden dzień do Tarify, stolicy kitesurfingu. Wiele lat temu podczas urlopów często tam zaglądała i całymi dniami pływała na desce, później było porwanie przez terrorystów, długa rekonwalescencja i nie miała na to czasu. Teraz nadarzyła się okazja i mogła sobie pozwolić na jednodniowy wypad. Renatą zbyttno się nie przejmowała, w końcu jechała mercedesem, a na dodatek równą jak stół autostradą, prawdziwy komfort. No może miała za gorąco, ale przeżyje, to pewne, bo to tylko sto sześćdziesiąt kilometrów. Ona, kiedy ostatni raz jechała w bagażniku, wytrzymała aż trzysta kilometrów, i to po afgańskich wertepach. To był prawdziwy horror.

Zaczęło padać. W radiu podano komunikat ostrzegawczy o gwałtownych nawałnicach przewalających się przez Andaluzję. Górskie ścieżki, z reguły o tej porze twarde jak skała od promieni wiszącego pionowo nad nimi słońca, raptownie zamieniły się w rwące potoki. Na szczęście kobiety w mercedesie podróżowały autostradą. Po blisko dwóch godzinach jazdy Agata dotarła do miasteczka wiecznych wiatrów, twardych ludzi żagla i deski. Tego dnia było całe zalane wodą. Na mijanym akurat postoju stały dwie stare, zdezelowane taksówki, pewnie bardziej z przyzwyczajenia czy zwykłej przyzwoitości kierowców aniżeli z nadziei na jakiś konkretny kurs.

Zerknęła na Georga.

– Pewnie jesteś ciekawy, dokąd jedziemy w tak wredną pogodę? Już ci mówię, do baru Tabarakana. Myślę, że tam się posilimy, tej suce z bagażnika też nie damy umrzeć z głodu. Mam nadzieję, że trochę wymiękła i nie będzie stwarzać problemów.

Wyjechali z Tarify w kierunku Kadyksu. Poruszali się wolno, bo Agata nie chciała minąć właściwego zjazdu, a o to było łatwo przy tak paskudnej aurze. Deszcz wciąż lał. Wycieraczki latały po szybie jak zwariowane, a mimo to nie dawały rady zrzucić nadmiaru wody.

Wszędzie dokoła było ciemno, pobocza tonęły w gęstym mroku. Jak tu w takich warunkach dojrzeć sztyld i wąską polną drogę wijącą się w kierunku oceanu?

– To chyba tu – mruknęła nagle pod nosem i zjechała z szosy. W chwilę potem zaparkowała samochód na niedużym parkingu, między dwoma starymi seatami. Wyłączyła radio i chwilę nasłuchiwała. Cisza, pewnie pasażerka zasnęła, to i dobrze. Nie będzie jej teraz budzić, najpierw pójdzie się rozejrzeć, bo bądź co bądź od jej ostatniego tu pobytu minęło dobrych kilka lat i w tym czasie mogło się wiele zmienić. Znowu ręce jej drżały. Wyjęła z torebki butelczkę z vicodinem i łyknęła dwie pastylki. Dopiero teraz wysiadła, z tylnego siedzenia wzięła parasol. Postawiła kołnierz w płaszczu i spojrzała w dół na swoje trapy. Pewnie zaraz przemokną. Trudno, nie ma innych na zmianę. Mocniej chwyciła parasol i ruszyła w stronę oceanu, starając się omijać kałuże. Minęła kilka drewnianych domków campingowych, przeszła alejką obrośniętą tyczkami bambusów i dopiero wtedy w oddali dojrzała jakieś światelko. Dochodzące stamtąd latynoskie rytmy tylko ją utwierdziły w przekonaniu, że obrała dobry kierunek.

Tabarakana to nie była typowa knajpa. Pod koroną wielkiego filodendrona znajdował się bar i kilka drewnianych ławek. Gruba plandeka osłaniała je wszystkie przed wiatrem i deszczem, tym samym umożliwiając wypicie kilku drinków we względnie komfortowych warunkach mimo paskudnej pogody, bo woda nie lała się za kołnierz, a wichura nie przewracała szklanek. Czegóż więcej było potrzeba? Tu nie przychodziły mięczaki, tu bywali jedynie prawdziwi twardziele. Oni nie bali się sztormu i fali na piętnaście metrów. Codziennie walczyli na swoich deskach z niewyobrażalną siłą oceanu. Nie zawsze wygrywali, ale ci, którym się to udało, tu właśnie oblewali swoje sukcesy.

Agata stanęła w wejściu i rozejrzała się po lokalu. Był prawie pusty. Jedynie w odległym kącie siedziała jakaś parka, zajęta patrzeniem sobie w oczka i gruchaniem. Na środku był bar z błyszczącymi na półkach długimi rzędami butelek o bardzo kolorowych naklejkach. Można było zauważyć gin, wódkę, tequilę, koniaki i lepsze gatunki szkockiej whisky. Za kontuarem kręcił się barman, niski i atletycznie zbudowany. Poruszał się dziwnie, czym przykuł uwagę Agaty. Był odwrócony tyłem do niej, więc jej nie zauważył. Podeszła bliżej, żeby się upewnić. Teraz widziała go dokładniej, nie mogła się mylić.

– Pedro? To ty? Niemożliwe.

Odwrócił się i wtedy zobaczyła jego twarz. Nie myliła się, choć zmienił się od ich ostatniego spotkania – wyraźniej utył, a i włosy mocno mu się przerzedziły. Tak jak zawsze zaczesywał je w kitkę, tu nic się nie zmieniło. W ustach miał papierosa, ale on od zawsze palił, i to dużo. Od jednego papierosa przypalał następnego. Powiadał, że zginie na wojnie i nie dorobi się raka płuc. Teraz wojny mu nie groziły, ale i tak nie rzucił nałogu.

– Agata? – wydukał, równie jak ona zaskoczony. – Mówili, że zginęłaś, że obdarli cię ze skóry.

– Chcieli, ale się nie dałam. Jadąc tu, nawet przez chwilę pomyślałam o tobie, ale zaraz to odrzuciłam. Życie z reguły nie jest tak łaskawe, żeby spełniać nasze marzenia, ale widzę, że tobie się udało.

– I tak, i nie. Wiesz, że mogło być lepiej.

Dobrze wiedziała, co miał na myśli. W Afganistanie wjechał na minę i stracił stopę. Dlatego odszedł ze służby. Pamiętała, jak się żegnali. Mówił jej, że osiedli się w Tarifie. Kochał to miejsce jak żadne inne. Brak stopy jednak bardzo utrudniał pływanie na desce i myślała, że porzucił ten zamiar, czemu by się nie dziwiła.

– Co cię tu sprowadza? Jeśli planowałaś windsurfing, to wyjątkowo źle trafiłaś. Prognozy są kiepskie. Ma lać jeszcze cały tydzień. Przyszły do nas jakieś anomalie klimatyczne. Mówią, że klimat się ociepla, ale ja nie wierzę w te brednie. To wszystko wymysł polityków, żeby nas bardziej dymać.

– Nie szkodzi, twój widok mi wszystko wynagradza. Co u Wiktorii? Jest tu z tobą?

Mężczyzna się skrzywił, jakby wypił szklanekę soku z cytryny, i od razu wszystko było jasne.

– Rzuciła mnie. Po trosze pewnie to i moja wina, bo długo nie mogłem się przyzwyczaić do życia bez stopy. Ja, człowiek wyjątkowo aktywny, nagle byłem zmuszony do zatrzymania się. To było dla mnie jak zderzenie ze ścianą, na jakiś czas stałem się zupełnie inną osobą, a potem wszystko poszło jak zawsze. Mój nastrój, nie wiadomo kiedy, przeniósł się do naszego wspólnego życia i wszystko chuj strzelił. Próbowaliśmy to odbudować, ratować, ale się nie dało. Masz, specjalność lokalu.

Postawił przed nią jakiegoś drinka w kolorze pomarańczy w wysokiej szklance. Sam nalał sobie szklaneczkę whisky z lodem.

– Nie trać nadziei, może wróci?

– Nie wróci, ułożyła sobie życie, wyszła za mąż i ma bachora. Prosiła mnie na ślub, ale nie pojechałem. Nie miałem pieniędzy na lot do Nowego Jorku.

Wiedziała, że teraz skłamał.

– A ty co porabiasz? – zmienił temat. – Słyszałem, że cię porwali terroryści. Mówiono, że zginęłaś. Wszyscy cię już oplakali, a ty się dziś zjawiasz tutaj, jak gdyby nigdy nic. Bardzo się cieszę.

– Tylko nieliczni wiedzą, że żyję, i niech tak pozostanie. Tak jest dla mnie bezpieczniej.

Mężczyzna nachylił się do niej nad blatem baru.

– Cały czas chodzi o ten pierdolony Pakistan? Nie odpuścili ci? Mam rację?

– Owszem. Gdzieś to wyciekło i do dziś nie wiadomo, jak do tego doszło. Tak czy owak musiałam zniknąć. Jednak, jak się okazało, nie najlepiej udało mi się ukryć, bo znalazł mnie ten sukinsyn pułkownik Lenz i proponował powrót.

– To, co z tobą zrobili, to było zwykłe skurwysyństwo. Dziwne zachowanie nawet jak na nich, a tego sukinsyna nigdy nie lubiłem, to kawał mściwego chuja. Ponoć to jego ludzie załatwili Magnusona, i to tylko za to, że nie chciał jechać na następną misję. On łatwo nie odpuszcza, więc musisz uważać.

– Owszem, wiem, ale już nie mówmy o tym gadzie. Szkoda sobie język strzępić.

– I słusznie. Czego się jeszcze napijesz?

– Najpierw muszę wrócić do samochodu, bo nie jestem sama.

– Masz faceta? Chętnie go poznam.

Pedro wyraźnie się ożywił. Agata uchodziła za samotnicę, w jednostce nigdy nie słyszeli, żeby się z kimś związała.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Niezupełnie. To nie facet, to kobieta.

Pedro z wrażenia wypuścił papierosa z ust. Schylił się, żeby go podnieść.

– Kurwa mać, kiedyś spałę tę budę. Kobieta? – wydukał, zdumiony. Tego by się po kumpelce nie spodziewał. Tyle razem przeszli i nigdy nie zauważył, żeby między nią a inną kobietą coś kiedyś zaiskrzyło.

Agata zorientowała się w mig, że została źle zrozumiana.

– Spokojnie, to nie to, o czym pomyślałeś, nie jestem lesbijką, to jest „ponoć” moja siostra. Tak w każdym razie twierdzi „ponoć” mój ojciec.

– Mówiłaś zawsze, że nie masz ojca ani siostry. Chyba że mi się coś popierdoliło.

– Też tak myślałam, ale od jakiegoś czasu życie mnie zaczęło zaskakiwać.

– Kim jest ta „ponoć” twoja siostra? Pewnie lekarką, a może maklerem giełdowym. To jest na pewno ktoś przez duże k. No, pochwal się.

Zdumiała ją jego słowa.

– Czemu tak sądzisz?

– To jest genetyka, moja droga. Masz dobre geny. Mój szwagier jest naukowcem i kiedyś zrobił mi wykład na ten temat. Fakt, był cholernie nudny, ale coś mi z tej jego paplaniny w głowie zostało.

– To ktoś, ale przez małe k. Jest pijaczką i tanią kurwą – odparła, uśmiechając się szeroko.

– Nieźle, a twój „ponoć” ojciec? Jest jej alfonsem? Proszę, nie żartuj.

Pedro jej nie uwierzył. Najwyraźniej uważał, że to jakiś niewyszukany dowcip.

– Nie, jest jeszcze gorzej. Jest biskupem w Kościele katolickim i to nie jest żart.

Mężczyzna akurat pociągnął łyk ze szklanki. Na słowa Agaty nagle prychnął całą zawartością ust na blat baru, zaś jego mina w tym momencie była bezcenna.

– Co powiedziałaś? Nie przesyłałem się czasem? Kim on jest? Jaja sobie ze mnie robisz?

– Powiedziałam, że jest biskupem w Kościele katolickim. Dobrze słyszałeś. – Zarechotała. Świetnie się bawiła, widząc jego reakcję.

Pedro teraz na szybko starał się to jakoś sobie poukładać.

– Nie znam ich, ale według mnie to jakaś ściema. Oni cię w coś wkręcają. Bądź ostrożna.

– Faktycznie jest biskupem, to sprawdziłam, ale czy jest ojcem, to tego nie wiem.

– Sprawdź wasze DNA. Tego nie oszuka, choćby był papieżem.

– Wiem i dlatego już wysłałam jego włos do badania, teraz czekam na wyniki. Jutro wyślę materiał genetyczny tej niby-siostrzyczki i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Co w ogóle porabiasz? Nie pytam, gdzie mieszkasz, wolę tego nie wiedzieć.

– Zostałam prywatnym detektywem.

– Psia robota. Syn brata mojej matki tym się zajmuje. Dużych zleceń ma jak na lekarstwo, a z małych trudno przeżyć. Wciąż siedzi w długach po rodzinie.

– Owszem, to kiepsko płatna robota, ale jakoś wiąże koniec z końcem – skłamała, bo gdyby nie zaliczka od biskupa, toby ją już za nieplacenie komornego wyeksmiutowano z biura na bruk, i to na zbity pysk.

– A ty jak sobie radzisz? Jesteś właścicielem tego baru czy jedynie barmanem?

– Jednym i drugim. Odkupiłem go od Sáncheza, który prowadził go od samego początku. W ogóle to był jego pomysł.

– Pamiętam go. Dziwołag, któremu kolega przejechał na desce po plecach. Cudem przeżył. Ciekawi mnie tylko to, co stało się z tym kolegą, bo o ile pamiętam, to Sánchez był bardzo nerwowy.

– Nadal są kumplami. To był wypadek. Obydwaj wciąż pływają. To miejsce ma taką magię jak chyba żadne inne na świecie. Ja sam przez tę przeklętą stopę już nie stanę na desce, ale chcę chociaż być blisko tych, co pływają. Wielu tu przejechało na kilka dni czy tygodni, a są już po kilka lat. Sporo wśród nich Polaków. Zresztą sama zobaczysz wieczorem, kiedy się wszyscy tu schodzą. Przyprawdź teraz tę „ponoć” siostrę, to zrobię wam coś do jedzenia, bo pewnie jesteście głodne po podróży.

– W samochodzie jest jeszcze ktoś – rzekła z pewnym zakłopotaniem, bo pamiętała, że Pedro ma alergię na psią sierść.

– Przywiozłaś też biskupa? Nie wierzę? Ale numer – wydukał. – Cholera, nigdy nie piłem z duchownym. Dawaj go! Ciekawe, po której flaszcze padnie ryjem pod stół?

Agata roześmiała się w głos.

– Kłamiesz! Piłeś z imamem w Afganistanie. Dobrze pamiętam. Nie powiem, że był z tego zadowolony, ale jakie miał wyjście, skoro mu zagroziłeś, że jak z tobą nie wypije, to mu łeb odstrzelisz?

– To były fajne czasy. – Pedro pokiwał głową z żalem. – Sukinsyn padł nieprzytomny po czterech kieliszkach whisky. Dwa dni po tym trzeźwiał. Dziś przetestuję purpurata.

– To nie on. Przyjechał ze mną Georg.

– Georg? Jaki Georg? – spytał, zdumiony. – Przywiozłaś psa Kingsleya? Major nie żyje? Nic o tym nie wiedziałem.

– Żyje, to potomek jego Georga, Georg junior. Jest słodki jak cukiereczek.

Mężczyzna roześmiał się w głos, jakoś mu to porównanie nie bardzo pasowało.

– Rottweiler słodki jak cukiereczek, dobre sobie, a znając ciebie, to pewnie wyszkoliłaś go na prawdziwego killera. Mam rację?

Agata tylko się uśmiechnęła. Pewnie, że tak. Na tym popieprzonym świecie samotna kobieta potrzebuje obrońcy, nawet ona.

– Idź po nich, ja coś na szybko dla was upitraszę, a psu damy wołowinę.

Agata wróciła do samochodu. Już nie padało, więc cisnęła parasol na tylne siedzenie. Wypuściła Georga i podeszła do bagażnika. Otworzyła klapę i od razu została obrzucona stekiem wyzwisk.

– Kurwa mać! Suka! By cię diabli wzięli! Czego ode mnie chcesz? To porwanie! Pójdę na policję! Ja tego tak nie zostawię!

– Zamknij się! Miej pretensje do siebie. Nie chciałaś jechać z psem. Wylaż z kufra, idziemy coś zjeść! Chyba że chcesz tam dalej gnić?

Renata, klnąc pod nosem, z trudem wygramoliła się z samochodu, a tymczasem Agata założyła psu obrożę, tak na wszelki wypadek, gdyby trzeba było go od kogoś odciągnąć. Georg był z natury posłuszny, ale bywało, choć rzadko, że miewał swoje humory, a wtedy trzeba było pilnie reagować, bo inaczej lała się krew.

Renata poprawiła sobie sukienkę i zaczęła porządkować fryzurę. Cały czas w wściekłą miną zerkająca na rottweilera.

– Przystań się tak pindrzyć, nie idziesz na lajdactwo. – Agata w końcu straciła cierpliwość. – Mój pies ma na ciebie oko i jest bez kagańca, więc nic nie kombinuj, żadnych numerów, bo pożałujesz.

– Nie rozumiem, czemu mnie porwałaś i czego chcesz ode mnie. Co to był za gnojek, co chciał mnie udusić? Szukał jakiejś zdziiry, może ciebie?

– Wątpię, raczej to twój klient, którego zaraziłaś czymś brzydkim. Nic nie chcę od ciebie, w gruncie rzeczy głównie obchodzisz, a jeszcze kilka dni temu nie wiedziałam, że istniejesz. Słowo „siostra” znaczy u mnie tyle co nic, nie robi na mnie żadnego wrażenia, więc nie licz tu na taryfę ulgową. Mam układ z niejakim Adamem Pakulskim, z zawodu biskupem, który podaje się za naszego ojca. Mam cię dostarczyć do Polski, dobrowolnie lub siłą. Możesz tę podróż odbyć w luksusowych warunkach, a możesz przez całą drogę przytulać się do koła zapasowego. Wybór należy do ciebie, a teraz chodź, bo mi z głodu kiszki marsza grają.

Agata ruszyła przodem, Georg tuż za nią. Renata chwilę się wahała, aż w końcu dołączyła do nich.

Jak tylko weszli do lokalu, Pedro ciekawskim wzrokiem otaksował Renatę. Po chwili odciągnął Agatę na bok.

– Ta wywłoka nie może być twoją siostrą, to jest niemożliwe. Ona ma kurewstwo wypisane na twarzy. Jesteście zupełnie inne. Nie widzę żadnego podobieństwa.

– Miłe słowa, ale to jeszcze nie dowód.

– Testy DNA to potwierdzą. Zobaczysz.

Spojrzała na niego, zdziwiona. Co on się tym tak ekscytuje? Jaka to różnica, czy są spokrewnione, czy nie? Dla niej nie ma żadnej, ale on chyba tego nie czai.

– Masz siostrę? – spytała.

– Mam, nawet dwie, Margaret i Weronikę.

– W takim razie powiedz mi, jak to jest mieć siostrę? Co powinnam do niej czuć? Oświeć mnie, bo ja tego nie łąpię.

Mężczyzna zakłopotał się, bo pytanie zupełnie go zaskoczyło. Zamilkł, w myślach szukał jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia, ale po chwili się poddał.

– No nie wiem, to się czuje tak jakoś podświadomie – wydukał.

– To znaczy, że jeśli to prawda, to moja podświadomość dała dupy – zakpiła. – Daj sobie z tym spokój. Przed chwilą przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale nie śmiem cię prosić o tę przysługę.

Spojrzał na nią zaintrygowany.

– No mów. Wał prosto z mostu! Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przechowałbyś ją kilka dni? Muszę odnaleźć jej brata, a jej towarzystwo byłoby dla mnie sporym balastem.

Jego oczy ze zdumienia zrobiły się duże niczym spodki od filizanek.

– Brata? „Ponoc” siostra i „ponoc” brat? Czy to już komplet? A w ogóle, ona to nie przedmiot. Nie można jej tak sobie przechować jak rower. W jej oczach widać kurwiki, znam się na tym. Mogę sobie z nią nie poradzić, jestem tylko facetem.

Parsknęła śmiechem.

– W to wszystko nie wątpię. Jeśli nastanie na twoją cnotę, to nie moja sprawa, ale jeśli już, to lepiej się zabezpieczyć, bo możesz od niej coś złapać. No wiesz, co mam na myśli – zadrwiła.

– Jeśli się zgodzę, to przecież jej nie zamknę w komórce. Nie miej pretensji, jeśli da nogę.

– Nie ma obawy, nie ucieknie. Nie ma dokąd iść, najwyżej do którejś z okolicznych przyczep campingowych, żeby zarobić na alkohol i fajki, a może koks. Pilnuj, żeby nie piła.

– A ty dokąd jedziesz?

– Raczej lecisz.

Agata siedziała w samolocie, za chwilę mieli wystartować, pasażerowie zapinali pasy bezpieczeństwa. Stewardesy machały kamizelkami i tłumaczyły, co robić w razie wodowania, standardowa procedura. Na fotelach obok niej siedział mały chłopczyk z matką. Ona wysztyftowana blondynka z długimi paznokciami i wymodelowaną fryzurą, każdy włos na swoim miejscu, on wystrojony w markowe ciuchy, buty Nike na nogach, dzinsy też markowe, fryzura à la Brad Pitt, tyle że w miniaturze. Co chwila zerkał na palce u dłoni Agaty, aż w końcu szepnął do matki:

– Ta pani ma brzydkie ręce. Nie chcę mieć takich.

– To bliźny. Nie będziesz ich mieć, jak będziesz grzeczny i będziesz wszystko jadł.

Agata natychmiast zareagowała.

– Po co dzieciakowi wciskasz taki kit? Co ty, laluniu, wiesz o moim życiu, żeby się o nim wypowiadać?

Na to tamta kobieta rzuciła jej pogardliwe spojrzenie, wstała z siedzenia, szarpnęła bachora za rękę i przesiedli na wolne miejsca, trzy rzędy dalej.

Agata spojrzała w zamyśleniu na zniekształcone palce swoich dłoni, na ślady po największej tragedii, jaką ją w życiu spotkała. Tamten dzień wywrócił jej życie do góry nogami, zmienił dosłownie wszystko. Łza zakręciła się jej w oku, starła ją skrycie.

WIELE LAT WCZEŚNIEJ

NOWY JORK

Był środek nocy. Wiatr szarpał brutalnie okolicznymi drzewami, padał rześisty deszcz na zmianę ze śniegiem. Agata szła kompletnie wyludnioną ulicą, no bo komu przy zdrowych zmysłach chciałoby się szwendać po mieście w tak wredną pogodę?

Zdezelowane, pozbawione obcasów czółenka klapały na chodniku. Kobieta nagle zatrzymała się na środku ulicy. Jej zainteresowanie wzbudził pobliski sklepik spożywczy. Wnętrze oświetlone, pewnie czynny, pomyślała. Wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza i poczuła pod palcami plik banknotów. Skierowała się do wejścia, a w chwilę potem przy akompaniamencie głosu dzwoneczka umieszczonego tuż nad drzwiami weszła do środka.

To był mały sklepik, wypełniony aż pod sufit różnorodnym towarem. Właściciel zapewne płacił wysoki czynsz i w ten sposób chciał maksymalnie wykorzystać powierzchnię.

– Co potrzeba? – Usłyszała kobiecy głos z drugiego końca sklepu. Spojrzała w tamtą stronę, za szeroką dębową ladą zobaczyła starą Chinę, paskudną, pomarszczoną na twarzy niczym zasuszona śliwka kalifornijska. Kobieta była tak niska, że ledwo sięgała lady, a przy tym gruba. Że też tej starej chciało się siedzieć w nocy i wyczekiwać zbląkanego klienta. Zwłaszcza że prędzej mogła natknąć się na jakiegoś rzeźmieszka potrzebującego na szybko kilka dolarów. Chinka co i raz zerknęła nerwowo na pokaleczone, zakrwawione dłonie Agaty, wyglądała na mocno tym zaniepokojoną.

– Czy jest Iwan Smirnoff?

– Po lewej stronie, na trzeciej półce od sufitu.

Sprzedawczyni wskazała jej ręką rząd butelek na regale usytuowanym nieopodal drzwi. Agata podeszła do niego, stanęła na palcach i sięgnęła ręką w górę. Nie wahała się, wódkę poznała po charakterystycznej naklejce.

– Co jeszcze potrzeba?

W głosie Chiniki brzmiała nutka strachu, co Agatę zaczęło bawić, bo pierwszy raz ktoś się jej bał i nieważne, że zupełnie niepotrzebnie. Dotąd raczej się z niej nabijano, śmiano, ale nigdy nie wzbudzała czyjegóż lęku.

Przypuszczalnie sprzedawczyni trzymała teraz jedną rękę na flincie ukrytej pod sklepową ladą albo raczej na starym colcie pamiętającym jeszcze Billy Kida. Ciekawe, czy umiała z niego strzelać? To, wbrew pozorom, nie było takie proste. Po pierwsze, samo odciągnięcie kurka wymagało dużo siły w rękę, a później jeszcze należało odpowiednio wycelować, wziąć poprawkę na silny odrzut broni, a na koniec strzelić do innego człowieka. To wszystko razem wymagało wielkiej siły, odwagi lub kompletnej głupoty. Chinka nie wyglądała ani na odważną, ani też na głupią. Pewnie colt dodawał jej jedynie odwagi. Wiedziała, że tu w środku nocy nie jest sama, że ma przyjaciela. Agaty jedyny przyjaciel nie żył, a umierając, cholernie cierpiał. Widziała to, ale w żaden sposób nie mogła mu pomóc. Wszystko przez tego skurwysyna, pijanego kierowcę. Jakiś pieprzony Polak, Kowalski, wyszedł z baru tak nawalony, że się przewracał, po czym wsiadł w tego swojego wielkiego SUV-a i wbił się niczym taran w ich toyotę. Czemu akurat ona przeżyła? Jej życie było gównie warte i gdyby zginęła, to byłaby mała strata. John zaś był prawnikiem po Harvardzie z wielką karierą adwokacką na horyzoncie. Taki koniec to było coś okropnie głupiego.

– Coś jeszcze podać? Mamy wielki wybór ciasteczek, chipsów.

Agata usłyszała te słowa jak przez ścianę. Spojrzała na Chinę, a ona natychmiast zbladła. Żółta zbladła. Agata nie przypuszczała, że żółci mogą blednąć. Zawsze myślała, że żółty może tylko jeszcze bardziej żółknąć.

– Tak, proszę krakersy.

– Które? Jest kilkanaście rodzajów.

– Wszystko jedno.

Ta kobieta zaczynała ją denerwować. Nie cierpiała nachalnych handlowców. Próbuje ci na siłę coś wcisnąć, z reguły coś gównianego, coś, co im nie schodzi.

Chinka wskazała jakąś paczkę w czerwonej folii.

– Mogą być te?

– Mogą.

– To wszystko?

–Tak.

– Osiemnaście dolarów.

Agata sięgnęła do kieszeni. W tym momencie widok twarzy sprzedawczyni był bezcenny: rozbiegany wzrok i wyraźnie rozszerzone źrenice, tak jakby się wcześniej czegoś naćpała. Jeśli już, to tylko opium, żółci je lubią. Kiedyś paliła je w fajkach, teraz na łyżeczkach. Tyle że po nim strach znika, człowiek ma wywalone na wszystko, czuje prawdziwy błogostan. Agata raz spróbowała opium, to było na jakiejś akademickiej imprezie. Pochorowała się po tym okropnie.

Wyjęła banknoty. Poranione dłonie utrudniały jej wybranie tego odpowiedniego. Jeden z prezydentów spadł na posadzkę i to był akurat Andrew Jackson, popularna dwudziestka. Schyliła się i niezdarnie go podniosła, po czym rzuciła na ladę. Zobaczyła ulgę w spojrzeniu Chinki. Jej skośne oczy chyba się nawet uśmiechnęły.

Agata włożyła butelkę w papierową torebkę tak, że tylko szyjka wystawała na zewnątrz. Gdyby tego nie uczyniła, to policja miała prawo zgarnąć ją z ulicy i zapuszkować, a ona tego nie chciała, bo na dziś miała zupełnie inne plany.

– Dobranoc – burknęła w stronę Chinki i opuściła sklep.

– Dobranoc! – odrzyknęła tamta, pewnie zadowolona, że nie musiała sięgać po swojego przyjaciela colta.

Śnieg gęstniał. Agata z wyrzutem spojrzała w niebo.

– Czemu mi to robisz, przecież wiesz, że nie cierpię zimy?! – krzyknęła, ile sił w płucach, podniosła kołnierz płaszczka i ruszyła dalej.

Przeszła może sto metrów, minęła jedną przecznicę, drugą. Nagle się zatrzymała, chciała otworzyć butelkę, ale jej poranione palce nie mogły sprostać tej, wydawałoby się prostej, czynności. Stała na środku ulicy, wpatrzona w butelkę niczym sroka w gnat i nie wiedziała, jak wybrnąć z tej kuriozalnej sytuacji.

Cholera! Co tu zrobić?, zastanawiała się.

– Da pani dziesięć dolarów? – usłyszała zza pleców.

Odwróciła się i oślepiło ją światło z pobliskiej latarni. Dopiero po chwili zobaczyła, kto prosi o wsparcie. To włóczęga, a właściwie kobieta włóczęga w jakichś pstrokatych łachmanach, w dużym powyginanym na wszystkie strony pilśniowym kapeluszu wciśniętym na kudłatą czarną głowę. Wyciągała rękę w jej kierunku, w geście niemej prośby.

– Nie mam – burknęła szorstko Agata, nie kryjąc odrazy, bo od zawsze nie cierpiała brudu i żebraków.

– Może choć pięć baksów? – Tamta nie ustępowała.

– Spadaj. Chociaż... – Nagle jej zaświtało. Może to jest zrządzenie losu? – Jeśli otworzysz mi butelkę, to dam ci te cholerne dziesięć dolarów.

– Przecież ich nie masz! – Żebraczka podniosła głos. – Masz interes, to i dolary się znajdują. Najlepiej to przegnać Murzyna, wstrętna rasistka!

– Dobra, nie to nie, idź do diabła.

Zdenerwowana niezrozumiałym atakiem ze strony tamtej kobiety, odwróciła się i ruszyła dalej.

– Poczekaj! Nie musisz od razu się obrażać!

– Odczep się ode mnie. Idź swoją drogą.

– No dobra, otworzę ci tę przeklętą butelkę. Potrzebuję tej forsy.

Agata stanęła. Żebraczka podeszła do niej i wyciągnęła rękę.

– Daj tę flaszkę.

Bez słowa wyjęła smirnoffa zza pazuchy i jej go podała. Cały czas zerkała z obrzydzeniem na dłonie kobiety, brudne, niepamiętające mydła. Tamta zauważyła jej wymowne spojrzenie.

– Brzydzisz się? Dobrze znam to uczucie.

– A skąd możesz to wiedzieć? – zakpiła.

– Też taka kiedyś byłam, też brzydziłam się meneli. Jednak człowiek się zmienia, ty też się zmienisz, zobaczysz. To tylko kwestia czasu.

– Wątpię. Odkręć w końcu tę cholerną butelkę. Śpieszy mi się.

– Spokojnie, nie denerwuj się. Jeszcze zdążysz się schlać.

Zerknęła na dłonie Agaty, na krwawiące rany.

– A kto ci podeptał palce? – zadrwiła.

– Sama sobie podeptałam. Zresztą to nie twoja sprawa – odparła zaczepnie.

– Nie dziwię się, skoro pijasz te ruskie wynalazki.

Przekręciła nakrętkę i oddała smirnoffa.

– Gotowe! – zakomunikowała.
– Dziękuję. Zaraz dam ci obiecane dychacza.
– Nie musisz. Otworzyłabym i za darmo. Trzeba pomagać bliźnim, kiedy są w potrzebie – zakpiła.
– Ale taka była umowa.
– I co z tego? Mało umów się zrywa? Często zawiera się je tylko po to, żeby kogoś na chwilę omamić i zaraz je zerwać.

Kobieta zdjęła kapelusz i ręką przeczesła włosy. Gęsty wełniany kołtun opadł jej aż na ramiona.

– Śliczne. Chciałabym takie mieć – wyrwało się Agacie. Ona też miała piękne, ale gdzie im do jej?

– Wiem. To jest to jedno, o co dbam. Reszta nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Kobieta ponownie zakryła głowę. Agata podała jej banknot dwudziestodolarowy. Żebraczka chwyciła go kurczowo, zerknęła na nominał, po czym wcisnęła pieniądze gdzieś głęboko w swoje łachmany.

– Czemu dałaś mi więcej? Nasza umowa była na dziesiątaka.

– Podobasz mi się.

– Pierdolona lesba. Myślisz, że będziesz mnie mieć za dwadzieścia baksów?! – krzyknęła, oburzona. – Co ty, kurwa, sobie myślisz? Że ja jestem jakaś prostytutka!? Ja jestem porządna kobieta!

– Przepraszam – bąknęła zmieszana Agata. Najwyraźniej została źle zrozumiana. – Nie to miałam na myśli.

– Pieprzeni zbrojeńcy. Powinni was zamykać, a najlepiej sterylizować!

Kobieta odwróciła się i pobiegła ulicą.

– Poczekaj! To nie tak! – krzyknęła za nią Agata, ale tamta nawet się nie odwróciła, a po chwili rozplynęła się w mroku najbliższego zaułka.

Dziwna kobieta, pomyślała. Przytknęła butelkę do ust i upiła duży łyk. Zakręciła smirnoffa, schowała go za pazuchę i poszła dalej. Śnieg padał coraz mocniej i zaczęło się robić ślisko. Kilka razy się zachwiała, ale nie przewróciła, a w pewnym momencie zmuszona była nawet przytrzymać się latarni. Białe płatki topiły się jej na twarzy, wąskie strużki wody zalewały oczy. Przeszła przez ulicę i przez przypadek kopnęła pustą puszkę po coli, która z głośnym łoskotem potoczyła się po chodniku. Ponownie ją kopnęła, ale tym razem specjalnie, bo jej się to spodobało. Zaczęła biec i co rusz ją kopać. Zabawa szybko się skończyła, bo puszka wturlała się do studzienki i przepadła w czeluściach kanalizacji. Agata ponownie wyciągnęła butelkę i pociągnęła duży haust. Alkohol rozgrzał ją i już nie było jej zimno.

Przy pobliskiej latarni ujrzała ławkę, grubo przysypaną śniegiem. Usiadła na samym jej środku, było miękko.

Wtem coś zapiszczalo, gdzieś z boku.

Co to, do cholery? Byłe nie szczur! Rozejrzała się nerwowo, bo nie cierpiała żadnych gryzoni, od czasu, kiedy królik koleżanki o mało nie odgryzł jej koniuszka palca. Przy jej nogach w błocie siedział kudłaty kundelek. Był wielkości średniego kota.

– A ty skąd się tu wziąłeś?

Schyliła się i wzięła go na ręce, ale bardzo ostrożnie, bo wiedziała z doświadczenia, że małe pieski bywają nieraz wielkie duchem i przez to bardzo wojownicze. Ten jednak był pokojowo nastawiony. Zaczął ją lizać po pokaleczonych dłoniach i wciąż popiskiwał. Pewnie komuś zawadzał i został wygoniony z domu. Wstała z ławki i ze zwierzakiem na ręce poszła dalej.

Temperatura się podniosła, śnieg wreszcie przestał padać, zaczął topnieć i lód na trotuarze przykryło świeże błoto. Agata się nie spieszyła. Bawiła się jak mały chłopiec, idąc po krawężniku i starając się jak najdłużej na nim utrzymać, co przy tak zdezelowanych butach było nie lada sztuką. Wtem usłyszała warkot silnika. Zbliżała się wielka ciężarówka, a po chwili, kiedy ją mijala, spod jej kół uniosła się olbrzymia fontanna i z łoskotem spadła na trotuar. Agata stała na chodniku, cała ociekająca wodą, i trzymała w dłoni coś, co kształtem przypominało psa, a konsystencją gąbkę wyciągniętą z wanny pełnej wody.

– Przeklęta pogoda – zaklęła pod nosem i ruszyła dalej.

Wciąż brnąc w błocie skierowała się na most Brookliński. Kiedy tam w końcu dotarła, podeszła wolno do barierki i starała się wychylić przez nią. Była zawiedziona, bo nic tam nie zobaczyła poza czernią nocy. Poczowała jedynie delikatny powiew od wody, reszty musiała się domyślić. Ostrożnie posadziła psiaka na chodniku i pogroziła mu palcem.

– Nie ruszaj się!

Sięgnęła po nieduży kamyk leżący przy jej nodze, po czym cisnęła go przez barierkę i nasłuchiwała. Cisza, cisza, dopiero po dłuższej chwili usłyszała plusk wody, a zatem daleka była droga do wolności. Kiedyś słyszała, że gdy człowiek leci tak na spotkanie śmierci, przemyka mu przed oczami jego całe życie. Ona miała krótkie, więc będzie to filmik krótkometrażowy.

Podniosła psiaka.

– Stój!

Kilka metrów od niej stał jakiś mężczyzna. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Na tyle go oceniała w słabym świetle latarni. Ubrany był w długi czarny płaszcz, na głowie miał papachę. Zdjął ją i otrzepał ze śniegu. Zablysła wygolona głowa.

– Niech pani nie wyrzuca psa. Tak nie wolno!

– Nie chciałam go wyrzucić. Skąd to podejrzenie? – zdziwiła się. Ona była ostatnią osobą, która by podniosła rękę na bezbronne stworzenie.

– Nie? To dobrze, bo to taka sama istota jak każdy z nas, a skoro się go ma, to trzeba o niego zadbać.

– On nie jest mój. Znalazłam go na ulicy. Chce go pan? Chętnie go oddam, bo ja... – Przerwała w pół słowa. Nie musiała go informować, co zamierza zrobić. Gównu mu do tego.

Przybysz powoli wyciągnął rękę i poglaskał zwierzaka. Kundelek, wprawdzie nieufny, przelamał się i zaczął lizać jego dłonie.

– Mogę go wziąć dla bratanka, na pewno się ucieszy, bo zawsze marzył o psie. Nie przedstawiłem się pani, nazywam się Kingsley, Mark Kingsley.

– Jestem Agata.

Z ciekawością zerknęła na jej dłonie.

– Widzę, że jest pani ranna. Co się pani stało? Trzeba to jakoś opatrzyć, bo wda się zakażenie, a wtedy będzie spory kłopot.

– Nie boję się infekcji.

– To źle. Nie należy tego lekceważyć, bo zostaną szpetne blizny. Pewnie bardzo boli i dlatego używa pani tego.

Wzrok mężczyzny spoczął na butelce wystającej z Agacie zza pazuchy.

Poczuła pewne zakłopotanie i natychmiast wcisnęła smirnoffa głębiej.

– Owszem, boli, ale nie to, o czym pan myśli. Na moich oczach John spłonął żywcem i nic nie mogłam zrobić, tylko na to patrzeć – rzekła łamiącym się głosem. Łzy trysnęły jej z oczu niczym z gejzerów.

– Kim był John? Pewnie pani chłopakiem?

Agata tylko przytaknęła.

Podeszła wolno do barierki i oparła się o nią. Spojrzała w dół. Mężczyzna stanął obok niej.

– Wysoko tu. Skoczyć to jest czyste szaleństwo – rzekł, zerkając na nią skrycie.

– Nie do takich szaleństw ludzie się posuwają.

– O tak. Z tym się zgodzę. Mam jednak nadzieję, że pani nie zamierza tego zrobić?

– A co pana to obchodzi? Niech mi pan da święty spokój! – krzyknęła.

W pewnym momencie wcisnęła mu psiaka w dłoń i wyciągnęła butelkę. Odkręciła zakrętkę i spojrzała na niego.

– Chce pan łyka?

– Nie, dziękuję! Nie pijam wódki, a tym bardziej rosyjskiej.

– Ja się napiję.

– Jeśli to pani pomoże, to proszę – zadrwił.

– Nie pomoże, ale chcę się upić, i to do nieprzytomności, a po... – Urwała w pół słowa.

Podniosła smirnoffa i zbliżyła go do ust. Pociągnęła duży łyk i jeszcze jeden. Zakręciła butelkę i schowała ją za pazuchę. Nagle się zachwiała i bez przytomności osunęła na chodnik.

ROK 2023

FRANCJA

– Proszę pani, proszę się obudzić i zapiąć pasy, bo lądujemy.

Agata otworzyła oczy i zobaczyła pochyloną nad nią stewardesę. Uśmiechała się do niej.

– Już? Tak szybko? – spytała, zupełnie zdezorientowana.

– Tak, za kilka minut będziemy w Lyonie.

Bar „Pod Zdechłym Kotem” znajdujący się przy ulicy Bossuet dopiero wieczorem zapełniał się klientami. To była bardzo ciekawa knajpka, bowiem mieściła się w budynku zaadaptowanym po starej stacji benzynowej, a na dodatek przyciągała specyficzną klientelę. Tu zaglądali tak zwani intelektualiści, głównie młodzi artyści i przyszli naukowcy. Wielu z nich marzyło o Pulitzerze, a ci najambitniejsi o Nagrodzie Nobla. Nieobarczeni bagażem lat, jeszcze naiwnie wierzyli w to, w co dawno już przestali wierzyć i o czym już dawno zapomnieli ich starsi koledzy.

Za barem, dzień w dzień, a właściwie noc w noc, od wielu już lat niezmiennie stał Tom. Z postury przypominał Johna Coffeya, bohatera filmu *Zielona mila*. O Tomie powiadali ciekawe rzeczy. Ponoć podczas wojny w Wietnamie tylko on jeden z plutonu przeżył, kiedy wpadli w zasadzkę Wietkongu. Podobno ukrył się w wielkim dole na odchody i cały zanurzony w gównach, oddychając przy pomocy bambusowej rurki, przesiedział tam do odsieczy, która nadeszła dopiero po ośmiu godzinach. Po odejściu z wojska nie wrócił do Ameryki, bo stwierdził, że Ameryka ich zdradziła, i Francję wybrał na swoją nową ojczyznę, choć ponoć przez przypadek. Nie wiadomo, ile w tym było prawdy, ale Tom tematy wojenne starannie omijał, więc coś musiało być na rzeczy.

Lokal wyposażeniem do złudzenia przypominał szkocki pub, ponoć to była pamiątka po pierwszym właścicielu. On sam marnie skończył, bo znaleziono go z nożem w brzuchu w jakimś lionńskim zaułku. Wykrwawił się, nim nadeszła pomoc. Zabójców nigdy nie odnaleziono. Policja twierdziła, że to były gangsterskie porachunki, że ofiara handlowała narkotykami. Tom dbał o reputację lokalu i wystrzegał się nielegalnych interesów. Kilka razy próbowano wpłynąć na niego, żeby zmienił decyzję, ale skończyło się jedynie na groźbach.

Agata ten adres dostała od biskupa. Tu ponoć przychodził jej niby-brat Marek Klusek. Co za debilne nazwisko, ciekawe, czy prawdziwe? Nic by jej nie zdziwiło, bo od dawna wszystko wokół niej było na niby, fałszywe aż do bólu, i coraz ciężiej było jej się w tym skomplikowanym świecie poruszać.

Tego wieczoru było tu sporo gości i stąd było bardzo gwarno, szczególnie przy jednym stoliku. Grupka młodych mężczyzn i kobiet siedziała przy kufiach piwa, kłócąc się o coś zawzięcie. Z głośników słychać było melodyjny, niski głos Garou. Agata, ubrana w długi, ciemny płaszcz z podniesionym kołnierzem, stała w drzwiach i rozglądała się po sali. Miała przy sobie zdjęcie Marka, więc wiedziała, jak on wygląda, ale niestety osoby choć trochę do niego podobnej nie zauważyła.

Nagle jeden z kłócących się wstał od stolika i podszedł do baru.

– Rozmawiamy o tym Polaku, Marku. Tobie udało się wyjść z gówna, ciekawe, jak on skończy? Jak myślisz? – zaczępił barmana.

Tamten spojrzał na niego pytająco.

– Proszę? Jack, o czym ty gadasz?

– Właściwie nic takiego. Jestem tu codziennie i myślałem, że postawisz mi piwo na koszt firmy.

Tom bez słowa sięgnął po kufel, napełnił go i z hukiem postawił na blacie.

– Dzięki, Tom.

Jack chciał chwycić kufel, ale to nie było łatwe, bo miał obandażowaną rękę.

Barman się roześmiał na widok jego nieudolnych prób.

– Co ci się stało? Przytrzasnąłeś ją sobie w kiblu deską klozetową?

– Tak, kiedy dymałem twoją starą.

Tom groźnie zmarszczył brwi i napiął imponujących rozmiarów mięśnie.

– Wiesz, dlaczego w tym momencie nie splaszczę ci tej niewyparzonej gęby?

– Bo jesteś ciotą? Mam rację? – wypalił tamten, ale sądząc po jego minie, sam się przeraził swych słów, bo Tom mógł mu w jednej chwili z łatwością połamać kości.

– Nie jestem ciotą, jestem jedynie samotny, więc ciekawe, czyją starą wyruchałeś? Na twoim miejscu już bym ze strachu srał w gacie. Faceci są cholernie mściwi. Chyba pamiętasz, jak skończył poprzedni właściciel tego baru? On dymał babę mafiosa, a zanim go zabili, obcięli mu fiuta kozikiem, i to tępym i go nim nakarmili.

Lokal wypełnił jego tubalny śmiech.

Jack, mocno speszony, wrócił na swoje miejsce.

Agata słyszała całą rozmowę, padło w niej imię Marek. Musiała ustalić, czy to przypadkowa zbieżność czy też nie. Podeszła do stolika, przy którym siedziało czworo młodych ludzi, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. One z wyglądu Francuzki – szerokie biodra, wąskie ramiona, małe piersi, gęste kręcone włosy. Oni mogli mieć korzenie południowe. Pierwszy wyglądał na Araba. Miał zakrzywiony semicki nos i czarne oczy. Drugiego z nich cechowała bardzo śniada karnacja.

– Szukam Marka Kluska. Ponoć tu bywa?

Przerwali dyskusję, wszystkie oczy skierowały się teraz na nią.

– A czego chcesz od niego? Jeśli jest ci coś winien, to masz pecha, bo on goły jak święty turecki – rzekła jedna z kobiet, swoją wypowiedzią rozbawiając towarzystwo.

– Dziś już go szukał taki jeden. Pod płaszczem za paskiem miał giwerę, więc musisz się spieszyć, bo wyglądał na mocno wkurwionego.

– Gdzie go mogę znaleźć?

– Ostatnio zatrudnił się w zakładzie pogrzebowym jako eksponat – odezwał się ten wyglądający na Araba, do którego barman zwracał się per Jack – ale czy jeszcze tam pracuje, to nie wiem.

– Jak to jako eksponat? Jaja sobie ze mnie robisz?

Agata była zmęczona podróżą i nie miała nastroju do żartów. Podeszła bliżej do mężczyzny. W jednym momencie atmosfera zgęstniała. Jeszcze chwila i dojdzie do rozróby.

– Nie robię sobie z ciebie jaj. W Internecie było ogłoszenie, szukali ochotnika, który by przez osiem godzin dziennie leżał w trumnie wystawionej w witrynie domu pogrzebowego. To była robota jak ułał dla niego, bo on nie lubi się przepracowywać. Od dawna wszędzie rozpowiada, że jego ojciec jest biskupem i jak tamten umrze, to wszystko po nim odziedziczy i będzie bogaty. Dlatego też wątpię, czy przyjmie twoją propozycję.

– Zawsze miał bujną wyobraźnię – wtrącił ze śmiechem drugi z mężczyzn. – Nieraz lubiliśmy posłuchać tych jego opowieści, ale ile można? Teraz tu nie przychodzi, nikt już mu nie chce stawiać, bo on sam nigdy groszem nie śmierdzi.

– Faktycznie, żeby przyjąć taką pracę, to trzeba być nieźle popieprzonym, ale chyba jego ojciec rzeczywiście jest biskupem. Podajcie mi adres tego domu pogrzebowego.

– Róg ulicy Thomasa Blancheta i Bataille. Trudno tam nie trafić. Tu w Lyonie każdy tam na koniec ląduje, tak biedny, jak i bogaty.

– A gdzie mieszka? Chyba ma jakiś adres? Czy nocuje też w trumnie? – spytała z kpinią w głosie.

– To tu, to tam. Jak tu sporo Polaków. Wynajęcie mieszkania kosztuje, a oni albo wszystko wysyłają do rodzin, albo chłają na umór i wszystko przepijają. Dobrze, że tylko obsługi widelca się od nich nauczyliśmy – zadrwił jej rozmówca Jack.

– A co to za facet go szukał? Czego od niego chciał?

– Cholera wie, ale też pytał o ciebie.

– Zaczynasz mnie wkurwiać? Jak mógł pytać o mnie?

– No tak, pytał, czy była już kobieta o twoim rysopisie i szukała Kluska.

– A jak on wyglądał?

– Wysoki, barczysty, krótko przystrzyżony, wyglądał na żołnierza.

Rysopis nieznanego mężczyzny odpowiadał wyglądowi tego, który chciał udusić Renatę i pewnie teraz miał podobne zamiary w stosunku do Kluska. Czemu próbuje tamtych dostać? To było zastanawiające. Agata bez słowa odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Czy mi się nie znamy? – Tom niespodziewanie ją zaczepił. Cały czas, odkąd weszła do lokalu, wpatrywał się w nią nachalnie.

– Wątpię. Jestem tu pierwszy raz – odparła sucho.

– Jakbym cię gdzieś widział, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

– To musiał być ktoś podobny – zbyła go i pospiesznie opuściła knajpę.

Barman kręcił głową nieprzekonany. Nagle sięgnął ręką pod kontuar i wyjął spod niego podniszczone pudełko kartonowe pełne zdjęć. Chwilę przerzucał odbitki.

– To ona – wyszeptał, trzymając w dłoni jakąś starą fotkę.

– Znasz tę cizię?! – krzyknął do niego Jack, mężczyzna, któremu wcześniej postawił piwo.

– Ja nie, ale syn mojego brata był z nią w Afganistanie. Sporo o niej słyszałem. Masz szczęście, że z nią nie zadarłeś. W wojsku miała ksywkę „Świruska”.

– Nie wyglądała na taką.

– Jak widać, pozory często mylą.

Agata zatrzymała taksówkę przejeżdżającą akurat ulicą. Za jej kierownicą siedział Arab. Widziała w lusterku jego wrogi, pełne nienawiści spojrzenie, bo mężczyzna miał teraz wieść kobietę, miał jej usługiwać. Nie rozumiała, czemu tu siedzą, skoro Europejczyków tak nienawidzą. Powinni wypierdalać do siebie, doić kozy i jeździć na wielbłądach. Kazała wieść się do domu pogrzebowego, ale on ni w ząb nie rozumiał po angielsku, więc napisała mu adres na kartce. Znała perfekcyjnie język arabski, ale od czasu ostatnich wydarzeń w Syrii obiecała sobie, że nigdy więcej się w nim nie odezwie. Jechał, jakby pierwszy raz siedział za kierownicą, a na dodatek z radia wciąż dochodziły te ich muzułmańskie biadolenia. Nigdy nie wiedziała, czy to jakieś modły czy może piosenki, tak to było pokręcone. Za kurs zgotił z niej pięćdziesiąt euro, to był rozbój w biały dzień, bo przejechali może z pięć kilometrów. Rzuciła mu pieniądze i na koniec z impetem trzasnęła drzwiami. Podeszła do dużej witryny, stały na niej trzy trumny, ale wszystkie były puste. Cholera, gdzie on może być? Gdzie szukać tego sukinsyna? A może już jest za późno? Weszła do środka. Zapyta. Może tam coś wiedzą na jego temat? Od razu zjawił się przy niej jakiś szczupły młody Francuz w czarnym garniturku i śnieżnobiałej koszuli. Szczerył do niej okropnie krzywe zęby w sztucznym uśmiechu i zarzucił ją słowotokiem. Nic z tego nie rozumiała, bo mówił po francusku. Na szczęście znał angielski.

– Szukam Marka Kluska, ponoć u was pracuje?

– A, Marko, jasne, powinien być na wystawie.

Mężczyzna podszedł do witryny i po kolei nachylał się nad trumnami. Nagle zbladł i pobiegł na tyły budynku. Po chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Z zaplecza wybiegł jakiś starszy mężczyzna, pewnie właściciel, i też zaczął po kolei sprawdzać trumny. Wykrzykiwał przy tym coś w stronę sprzedawcy, z którym wcześniej rozmawiała. Wyjął z kieszeni telefon i gdzieś dzwonił. Był bardzo pobudzony. W końcu wybiegł z budynku, wsiadł do karawanu i dołądził odjechał.

Agata przyglądała się temu, kompletnie zdezorientowana. Coś się musiało wydarzyć, tego była pewna. W pierwszej chwili pomyślała, że Marko, jak go tu nazywali, zwędził jakiegoś nieboszczyka, później, że dorwał go ten nieznamy mężczyzna, który wcześniej napadł Renatę, i go porwał, ale zaraz porzuciła to przypuszczenie. Nie, to musiało być coś innego.

– Co tu się dzieje? – spytała tego młodego Francuza. – Gdzie jest Marko?

– Jest problem, nastąpiła pomyłka. – Mężczyzna zaczął jej tłumaczyć drżącym ze zdenerwowania głosem. – Pomylili trumny i wzięli nie te, co trzeba. Jedna pojechała do spalarni, a druga na cmentarz.

– Zaraz, zaraz. – Zaczęło jej coś świtać. – Chcesz powiedzieć, że zamiast nieboszczyka do krematorium zawieźli Marka?

– W końcu nie wiem, może na cmentarz, bo były dwie trumny.

– Jak to jest w ogóle możliwe? Dał się w tym dobrowolnie zamknąć?

– On pił, sporo pił, i często zasypiał w trumnie. Pewnie nic nie zauważył.

– Kurwa mać! – zaklęła. Już widziała oczyma wyobraźni minę biskupa, kiedy mu wręczy urnę z prochami synusia.

– Szef pojechał do krematorium, ja z pomocnikami zaraz udam się na cmentarz, trzeba za wszelką cenę wydobyć trumnę. Jeśli jest tam, to może się jeszcze nie udusił.

– Czy ktoś jeszcze dziś pytał o niego?

Może to on stoi za jego zniknięciem?, pomyślała.

– Nic o tym nie wiem. Może ten ktoś pytał szefa? Trzeba jego spytać.

– Jadę z tobą – zdecydowała.

– Dobrze.

Agata i czterej mężczyźni zapakowali się do jednego ze stojących przed firmą karawanów i ruszyli. Po drodze kilka razy utknęli w korkach, co im tylko podniosło ciśnienie, bo tu każda minuta mogła być na wagę złota. W końcu dojechali na miejsce, na cmentarz położony na przedmieściach Lyonu. Samochód zatrzymał się na małym parkingu tuż przy jego wejściu, a oni pośpiesznie opuścili pojazd. Mężczyźni wyjęli z auta szpadle i kilofy.

Pogoda zaczęła się raptownie psuć. Wichura szarpała konarami drzew. Zrobił się potworny ziąb. Słońce skryło się za grubą warstwą ciemnych chmur, które dla jego promieni nie miały za grosz litości. Skuleni z zimna, zmagając się z silnymi powiewami wiatru i lodowatym powietrzem, w szybkim tempie, prawie biegiem, gęsiego, jeden za drugim przeszli przez bramę i skręcili od razu w lewo, w pierwszą boczną alejkę. Grupkę prowadził nadzorca nekropolii, wysoki mężczyzna w długim flauszowym płaszczu i grubej czapie na głowie, który wcześniej uprzedzony telefonicznie o ich przyjeździe, czekał już na nich.

– Cholerne zimno – zaklął jeden z grabarzy i splunął za siebie.

– Trzeba było poczekać do jutra – dopowiedział drugi z nich. Dureń, chyba nie zdawał sobie sprawy, że tu każda minuta może być cenna. Przecież chodziło o życie człowieka.

– Nie można czekać! Nie marudźcie! – poganiał ich mężczyzna z domu pogrzebowego, starając się przekrzyczeć wicher.

– Już jest za późno! To bez sensu. Chłop się udusił, i to na amen.

Wciąż przeciskali się między ciasno poustawianymi nagrobkami. Nagle przewodzący grupie mężczyzna, zarządca cmentarza, zatrzymał się przed świeżą mogiłą. Wyglądała inaczej niż pozostałe, nie było na niej betonowego sarkofagu, jedynie skromny ziemny kopczyk.

– To tu! – Wskazał. – Do cholery, spieszcie się! Może jeszcze nie wszystko stracone. Nieraz zdarzają się cuda. Dwa lata temu nieboszczykowi rodzina włożyła do trumny telefon, a on kilka godzin po pogrzebie się rozdzwonił. Lekarz, który stwierdził zgon, do dziś ma kłopoty. O mało nie stracił prawa wykonywania zawodu.

Robotnicy wyminęli go i stanęli przed grobem. Wsparli się na szpadlach. Starszy wyciągnął papierosy, w milczeniu zapalili.

– Szybciej, bierzcie się do roboty. Nie traćcie czasu! – ponaglał ich zarządca, co chwila zerkając nerwowo na zegarek. Dobrze wiedział, że jeśli w tym grobie faktycznie pochowano żywego mężczyznę i on już nie żyje, to będzie afera i na pewno polecą wiele głów, być może i jego, a był dwa lata przed emeryturą. Na razie wiedzieli jedno: właściciel domu pogrzebowego nie zdążył zapobiec spaleni trumny, spóźnił się dosłownie kilka minut. Jeśli był w niej Marko, to został na żywca spopielony.

Starszy z robotników wbił szpadel w ziemię.

– Świeży grób, to pójdzie jak z płatka.

Jego kolega rzucił peta i również zaczął kopać. W chwilę potem zniknął kopczyk i robotnicy zaczęli ryc dziurę w ziemi.

Zarządca i mężczyzna z domu pogrzebowego nerwowo dreptali w miejscu. Agata przyglądała się wszystkiemu nader spokojnie. Sama nie wiedziała, co będzie dla niej lepsze – przywiezienie urny z prochami Marka czy jego żywego. Na pewno to pierwsze rozwiązanie było dużo łatwiejsze. Coraz bardziej czuła, że przyjmując to zlecenie, wdepnęła w niezłe gówno, ale już nie było odwrotu i musiała w to brnąć dalej.

Dziura powiększała się z każdą minutą, ale w dalszym ciągu nie dotarli do trumny. Robiło się coraz bardziej nerwowo. Co chwila któryś z mężczyzn mocniej wbijał szpadla, ale zamiast uderzać w drewno, metal grzązł w mokrym piachu. Nagle usłyszeli głuchy odgłos.

– Jest! – krzyknął jeden z kopających. – Szpadel uderzył w wieko!

Przerwał kopanie i przypalił papierosa. Zaciągnął się.

– Odkopaliście? – dopytywał zarządca, nachylając się nad dziurą i starając się coś tam dojrzeć.

– Już, szefie, zaraz wyciągamy ją na wierzch. Niech pan rzuci liny.

Dwa grube sznury spadły do dołu. Słyszał było postękiwanie i sapanie, a po krótkiej chwili robotnicy wygramolili się na powierzchnię.

– No to jedziemy z tym na górę. – Starszy z nich się zaśmiał.

Chwycili powrozy, zaparli się i zaczęli wyciągać trumnę.

– Szybciej, szybciej!

Wreszcie ją wydobyli.

Czarna trumna ze złoceniami po bokach leżała mocno przechylona na bok na wielkiej przymie rozgrzebanej ziemi.

Jeśli nie żyje, to przynajmniej zszedł z tego świata na bogato, pomyślała Agata.

Robotnicy stali w milczeniu i z bojażnią w oczach się jej przyglądali.

– No, co wy?! Otwierajcie! Na co czekacie? Może jeszcze nie jest za późno?! – krzyknął zarządca, coraz bardziej zdenerwowany.

Robotnicy chwycili łomy i nachylili się nad trumną. Wbili je w szczelinę wzdłuż wieka, w chwilę potem z potwornym zgrzytem puściły zamknięcia i wieko uniosło się majestatycznie. Mężczyźni z lękiem odskoczyli na bok.

Agata zbliżyła się do trumny i od razu w jej lokatorze rozpoznała mężczyznę z fotografii. A zatem nie skremowano go na żywca. Pewnie się udusił. Nachyliła się nad nim i z miejsca poczuła okropny odór alkoholu. Obok niej przyklęknął pracownik domu pogrzebowego.

– Nie żyje? – spytał lękliwie.

– Żyje. Jest tak pijany, że się nie obudził i dzięki temu przeżył – rzekła z niedowierzaniem, kręcąc głową.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak to? Jakim cudem? Nie rozumiem tego.

– Śpiąc, potrzebował dużo mniej powietrza aniżeli normalnie – zaczęła mu tłumaczyć. – Gdyby się obudził, to wpadłby w panikę, a wtedy momentalnie by się udusił. Cholerny szczęściarz z niego.

Słyszała już kiedyś o podobnym zdarzeniu, miało to miejsce w Wietnamie. Kingsley jej o tym opowiadał. Żółtki zamknęły jego kumpla w skrzyni i zakopały, a po jakimś czasie kazały go odkopać. Nie wiadomo, jakim cudem przeżył, ale od drapania w wieko stracił wszystkie paznokcie razem z końcami palców. Tak silną miał chęć przeżycia. Niestety, to był za wielki szok dla jego głowy i mężczyzna zwariował. W końcu żółtki go zastrzeliły, chyba nawet z litości.

Teraz przynajmniej jedno było pewne. Musi przetransportować do Polski dwa ludzkie śmiecie, no bo jak może ich inaczej określić? Wciąż nie rozumiała pomysłu biskupa. Ich powinno się jak najszybciej skierować na odwyk, i to w zakładzie zamkniętym. Oni nie nadawali się nawet do zmiatania ulic, a cóż dopiero mówić o prowadzeniu działalności biznesowej. Była pewna, że nie są jej rodzeństwem, i z niecierpliwością czekała na test DNA, żeby się w tym utwierdzić.

Pracownik domu pogrzebowego zaczął oglądać uszkodzone wieko trumny i głośno lamentować. Było do wymiany, a to już koszt kilkuset euro. Dureń powinien się cieszyć, że to się tylko tak skończyło, bo gdyby ten pijany w trupa delikwent się udusił lub został spopielony, to wtedy byłaby grubsza kryminalna sprawa. W każdym kraju są na to paragrafy, i to nie z kodeksu wykroczeń.

– Co teraz? – spytał jeden z grabarzy, co zaraz przetłumaczono Agacie na angielski.

Spojrzała na niego zdziwiona. Skończony idiota. Co za głupie pytanie?

– Jak to co? Niech pakują go razem z trumną do samochodu. Przecież on jest wciąż nieprzytomny. Chyba że chce się szarpać z pijakiem? To proszę bardzo. – Szeroko się uśmiechnęła.

Wtem rozległ się huk wystrzałów. Ktoś zaczął strzelać zza jakiegoś nagrobka. W powietrzu słychać było świst kul. To było kilka wystrzałów i nim ktokolwiek zareagował, wszystko ucichło. Padli na ziemię, mężczyźni byli śmiertelnie wystraszeni. Nic dziwnego, pewnie nikt nigdy wcześniej do nich nie strzelał, zaś Agata nie próżnowała i co rusz chowając się za grobami, natychmiast ruszyła w kierunku, z którego padły strzały. Kiedy dotarła na miejsce, zamachowca już nie było. Zostały po nim jedynie wydeptana trawa, złamana gałąź krzewu i łuski, kaliber dziewięć milimetrów.

Ktoś chciał ich jedynie nastraszyć. Z tej odległości trudno było nie trafić. O co tu, do cholery, chodzi?, zastanawiała się. Gdyby to byli ci, przed którymi się ukrywała, na pewno byłiby skuteczniejsi. A może w ogóle nie chodziło o nią? Może to ma związek z biskupem i jego dziećmi? Może właśnie dlatego ją wynajął?

Był późny wieczór, kiedy Agata i Marek opuścili dom pogrzebowy. Mężczyzna bujał się na nogach i wciąż nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Początkowo się opierał, nie chciał nigdzie jechać, ale kiedy usłyszał, że udaje się na spotkanie z biskupem, nagle zmienił zdanie. Złapali taksówkę. Znowu kierowcą okazał się Arab. Tym razem Agata widziała jego pełne pogardy spojrzenia skierowane na Kluska, bo oni oficjalnie nie spożywali alkoholu, ale jak było naprawdę, to ona dobrze wiedziała. Nigdy nie zapomni swojego pobytu w Palmyrze, kiedy wyparto z niej dżihadystów. Teren był zasłany pustymi puszkami po piwie i butelkami po mocniejszych trunkach, ale akurat nie to jej wtedy najbardziej utkwiło w pamięci. Była w ciężkim szoku, gdy ujrzała ruiny starożytnej świątyni Szamin-Baala, którą nie wiadomo dlaczego zburzyli ci barbarzyńcy.

I znowu przez całą drogę rozbrzmiewała ich kocia muzyka, i znowu na koniec Arab zdarł z niej mnóstwo euro.

Recepcjonista w hotelu był wyraźnie zniesmaczony widokiem kobiety podpierającej pijanego w sztok mężczyznę. Agatę mało to obchodziło, bo nic mu do tego, z kim ona chadza. Zapłaciła za apartament i może w nim przyjmować, kogo chce, nawet tego zapijającego debila.

Kiedy dotarli do pokoju, uczyniła z Markiem to samo, co wcześniej z jego siostrą – napuściła zimnej wody do wanny i siłą wepchnęła do niej mężczyznę, i to w ubraniu. Opierał się, krzyczał, miotając przekleństwami, ale był za

bardzo pijany, żeby się jej skutecznie przeciwstawić. Agata zostawiła go tam samego sobie, niech wytrzeźwieje, ona zaś wzięła cygaro i wyszła na balkon. Zastanawiała się, co czynić dalej. Kim był niedoszły zamachowiec? Czemu tak fatalnie spudłował i czemu wcześniej nie udusił tej suki, Renaty? Nie wierzyła, że był tak nieudolny. On miał takie rozkazy. Niepokoiło ją to, że wciąż ją uprzedzał, wiedział wcześniej, dokąd się uda, i był tam zawsze tuż przed nią. Zdążyła wypalić cygaro, zanim Marek Klusek, ubrany w biały szlafrok hotelowy, zjawił się w pokoju. Pewnie opuszczając hotel, go ukradnie, pomyślała, przyglądając mu się badawczo. Teraz mężczyzna wyglądał zupełnie inaczej niż w trumnie. Mógł mieć co najwyżej czterdziestkę, włosy ciemne, krótkie, mocno przerzedzone. Twarz puculowata, trudno było nie zauważyć podobieństwa do biskupa. Tak, on był jego synem, to nie ulegało wątpliwości. Spojrzała mu na stopy, miał okropne haluksy. Podobne miał Mahmed. Przez jakiś czas mieszkała w jego domu w Abbottabadzie w 2011 roku. Słyszała, że w 2012 roku wpadł w ręce terrorystów i został zabity. Dobrze wiedziała za co. Nakłaniała go, żeby opuścił Pakistan, że nie jest tam bezpieczny, ale nie chciał nawet o tym słyszeć, no i zapłacił za swój upór bardzo wysoką cenę.

Marek rozglądał się nerwowo po pokoju. Wciąż nie bardzo wiedział, co się dzieje.

– Gdzie ojciec?

– Nie ma go tu. Mam cię do niego zawieźć.

– To znaczy? Jest w innym hotelu? W którym?

– Nie, nie ma go we Francji, jest w Polsce. Tam mam cię dostarczyć.

Roześmiał się, tak jakby usłyszał dobry kawał.

– Chyba sobie jaja ze mnie robisz? Ja się tam nie wybieram. Jak chce mnie ten sukinsyn zobaczyć, to niech tu przyjedzie. Ja do tego polskiego syfu nie wracam, nie ma mowy. Jeszcze na łeb nie upadłem.

– Gównu mnie obchodzi, czy się tam wybierasz, czy nie – odparła spokojnym głosem. – Pojedziesz tam kulturalnie lub mniej kulturalnie, czyli w bagażniku. Wybór należy do ciebie.

– A ty kim jesteś? Jego nową dupą?

– Twój ojciec twierdzi, że jestem twoją siostrą – oznajmiła z wielkim uśmiechem na twarzy.

Jego małe oczka nagle zrobiły się dziwnie duże, jeszcze chwila, a wypadłyby mu z orbit.

– Ki... kim? – wydukał po dłuższej chwili, kiedy tę informację jako tako przetrawił jego mierny mózg. – Co ty mi tu za kit wciskasz? Nie jesteś moją siostrą, ja ciebie w ogóle nie znam. Pierwszy raz widzę cię na oczy. Nigdy o tobie nie słyszałem.

– Wreszcie powiedziałeś coś z sensem. Zgadzam się z tobą najzupełniej, nie mogę być siostrą takiego śmiecia jak ty. Robić za trupa leżącego w trumnie? To już kompletny upadek! Dno! O czymś takim nigdy nie słyszałam. Wszystko zrobisz, byle mieć za co wychłać. Ty nie możesz być moim bratem, bo to zaprzecza prawom genetyki. Jak już wspomniałam, jeśli będziesz wykonywał posłusznie moje polecenia, to podróż do Polski będzie przyjemna. Teraz wszystko zależy od ciebie.

– Po cholere mam tam jechać?

– Biskup ma dla ciebie i Renaty pracę.

– Mam robotę, która mi odpowiada. Co to za Renata?

– Twoja siostra. Ją chyba znasz? A może nie? Może mózg ci się już zupełnie zlasował – drwiła z niego.

– Znam, ale nie widziałem jej chyba z piętnaście lat. Nawet nie wiem, gdzie mieszka i co robi. Zresztą, gównu mnie ona obchodzi.

– Ale ja to wiem i zaraz się z tobą tą wiedzą podzielę. Robi to samo co ty, przepija życie, a na dodatek się kurwi. Siostrzyczka czeka na ciebie w Hiszpanii i stamtąd polecimy lub pojedziemy samochodem na spotkanie ze stęsknionym tatusiem. To na pewno będzie bardzo wzruszające spotkanie rodzinne. Przytulicie się czule do sutanny starego i schorowanego tatusia – kpiła w najlepsze.

Skrzywił się. Oj, propozycja nie wzbudziła jego entuzjazmu.

– Nigdzie nie jadę, a tym bardziej nie lecę. Nie ma mowy, jest mi tu dobrze, a w ogóle boję się latać. A o swojej chorobie to pierdoli od zawsze, ale wciąż żyje. Gdyby to była prawda, to już dawno by nogi wyciągnął.

– I byś odziedziczył fortunę – dodała. – Pewnie musisz jeszcze trochę poczekać, bo nie wygląda na obłożnie chorego. Wracając do naszej podróży. Nie pozostawiasz mi wyboru, pojedziemy samochodem, my z przodu, a ty w bagażniku.

W jednym momencie jego twarz z wściekłości pokryła się purpurą.

– Siłą mnie nie zabierzesz. Wezwę policję. Zamkną cię za kidnaping i zgnijesz w kryminale.

Słyszając to, roześmiała się w głos. Wyraźnie jej nie doceniał. Podeszła do niego bliżej i spojrzała mu głęboko w te małe, zapijaczone oczy.

– Chcesz policji? Proszę bardzo. Ucieszą się na twój widok – szydziła. – Ponoć cię szukają, i to od dłuższego czasu. Chcą cię przyskrzynić za włóczęgostwo i kradzież piwa w supermarkecie, a później deportować do Polski. Wtedy pojedziesz tam w kajdanach, i to bez możliwości powrotu. To będzie taki bilecik w jedną stronę.

Spojrzał na nią niespokojnie, wyraźnie zaskoczony.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Od twojego pryncypała z domu pogrzebowego. Był wyjątkowo gadatliwy. On też się na ciebie szykował, bo przez ciebie ma teraz kłopoty. Zażądał pięćset euro odszkodowania za zniszczone wieko trumny, bo gdybyś był trzeźwy, nigdy by nie doszło do tej pomyłki. Uregulowałam to za ciebie i teraz nie jemu, ale mnie jesteś winien te pieniądze, a zatem jesteś moim dłużnikiem.

– Gównu mnie to obchodzi, nie prosiłem cię o to – warknął.

– Owszem, to prawda, ale chcę bez zbędnych problemów dowiedzieć cię na spotkanie. Taka jest moja rola w tym przedsięwzięciu. Pogadasz z tatusiem, wypłaczesz mu się w rękaw i jak będziesz chciał, to tu wrócisz, choć nie wiem po co. Nikt tu za tobą nie będzie tęsknił, nawet nie zauważą, że zniknąłeś. Zobacz, ile tu osiągnąłeś przez te lata. To jest wielki wynik. Szczerze gratuluję.

Marek zamilkł. Po jego minie widziała, że na szybko analizuje swoją sytuację. Tylko głupi, będąc w jego położeniu, by się nie zgodził na tę propozycję, ale on był głupi, więc wszystko było możliwe.

– Zgadzam się, ale muszę się czegoś napić – odparł po dłuższej chwili.

Tak jest z pijakami. Kiedy była dzieckiem, jej prawny opiekun też co i raz zaglądał do kieliszka. Był na kilku odwykach, ale to nie pomogło, bo po jakimś czasie wracał do nałogu. Trzeba mieć charakter i cholernie silną wolę, żeby to rzucić raz na zawsze.

– Kurwa mać! Mało ci chłania?! – wydarła się na niego. – Pamiętaj, przez całą podróż do Warszawy jedyne trunki to kawa, herbata, ewentualnie soczek. Nawet coca-coli nie dostaniesz, bo zdechniesz mi na cukrzycę, nim cię dowiozę na miejsce. Teraz wykupię bilety na najbliższy lot do Malagi.

– Nie ma mowy! Chyba mówiłem ci, że nie cierpię samolotów.

– To je polubisz. Nie mamy jak inaczej dostać się do Hiszpanii. Tam zostawiłam samochód i twoją ukochaną siostreczkę. Wydam na twój bilet sto pięćdziesiąt euro, więc okaż choć trochę wdzięczności. Idę teraz na miasto kupić ci ubranie i buty, a ty siedź w pokoju i nigdzie się stąd nie ruszaj, a tym bardziej nikomu nie otwieraj. Wiem, że nie pamiętasz zdarzenia na cmentarzu, bo byłeś pijany w trupa, ale strzelano tam do nas. Być może chodziło o ciebie. W końcu po tylu burzliwych latach na pewno narobiłeś sobie tu sporo wrogów. Na szczęście zamachowiec spudłował.

– Niemożliwe – wyszeptał, wyraźnie wstrząśnięty tą informacją.

– Możliwe, możliwe. Jaki nosisz rozmiar buta?

– Czterdzieści dwa.

Zdziwiła się. Wejdą mu na te haluksy? W końcu to nie ją będą buty uwierać.

Wróciła po blisko dwóch godzinach. Już w progu pokoju zorientowała się, że coś tu jest nie tak. Marek od nowa chwiał się na nogach, znów poczuła od niego odór alkoholu, to był świeży zapach. Widocznie sukinsyn zamówił sobie procenty bezpośrednio do pokoju. Zauważyła szyjkę jakiejś butelki wystającą spod kanapy. Schyliła się i wyciągnęła wyborową. Pieprzony patriota, łoi polską wódkę. Wiedziała jedno: podczas podróży nie może ich nawet na chwilę spuścić z oczu. Ciekawe, czy obydwójce zmieszczą się do bagażnika? Już na samą myśl o tym, że ich tam wciśnię, humor jej się poprawił.

Sięgnęła do torebki po telefon i wybrała numer Pedra.

– Co tam u was słychać? Wszystko w porządku? – spytała.

– Niezupełnie. Mam problemy z twoim rottweilerem. Pilnuje Renaty jak oka w głowie. Sebastian, taki Polak, który tu siedzi już kilka lat, zaczął ją podrywać. To był tylko głupi, niewinny żart. Wiem, bo byłem tego świadkiem, ale ten twój Georg najwyraźniej się na nim nie poznał i chwycił chłopca w kroku. Trzymał go tak kilka minut, ledwie go odciągnąłem, inaczej strach pomyśleć, jak nic by go przerobił na babę. Musiałem Polakowi postawić kolację, żeby go jakoś udobruchać, no bo pies nie był w kagańcu. I jeszcze jedno. Dziś kręcił się tu jakiś szemrany typ. Widziałem, że co i raz zerka na Renatę. Wpierw myślałem, że wpadła mu w oko, ale to nie to, napadł na nią w kiblu. Sukinsyn do brze to sobie wykombinował, bo Georg akurat jadł wołowinę. Na szczęście przechodziłem obok i usłyszałem krzyk. Chwyciłem kija bejsbolowego i ruszyłem jej na pomoc. Gdybym go nie zaskoczył, to chyba bym mu nie dał rady, to był zawodowiec, a ja inwalida bez stopy, a prócz tego sukinsyn miał za paskiem giwerę. A poza tym wszystko w porządku.

– Miał? Jak mam to rozumieć?

– No cóż, straciłem już wyczucie w łapach, ale spokojnie, zniknął bez śladu.

– Miał jakieś dokumenty przy sobie?

– Nic, kompletnie nic. Ubranie z sieci handlowej, buty też. Zrobiłem mu zdjęcie i wysłałem je Kingsleyowi, niech go sprawdzi.

– A do mnie strzelano, ale to nie mógł być ten sam człowiek, bo nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Jesteś ranna?

– Nie. Podejrzewam, że strzelał tak, żeby nie trafić. Niestety, uciekł i nie widziałam jego twarzy. A co z Renatą? Mocno oberwała?

– Trochę ją podduśił i nic poza tym. Ponoć już raz na nią napadł, i to w jej mieszkaniu. Wypytywał ją o Agatę Johnson, ale ona chyba nie zna tego twojego nazwiska, więc nie zajarzyła, o kogo mu chodzi. Teraz pilnuję jej jeszcze bardziej, ale nie zawsze, bo muszę co i raz zaglądać do baru. Wiem, że coś po kryjomu lyknęła, ale niedużo. A tobie jak poszło? Kiedy wracasz?

– Wszystko w porządku, choć z małymi problemami, ale mam już tego dupka przytroczonego do siodła. Jutro rano mamy samolot. Będziemy przed południem i na noc wyruszamy do Polski. A zatem do zobaczenia.

Nie odważyła się zejść do restauracji na kolację, bo bała się, że Marek znów coś wywinie, więc zamówiła jedzenie do pokoju. Była podenerwowana sytuacją. Wciąż się zastanawiała, kim są mężczyźni podążający za nią i czego od niej chcą. Tym bardziej że ich działania na pierwszy rzut oka były pozbawione jakiegokolwiek sensu. To nie byli islamscy terroryści, oni by się z nią tak nie cackali.

Kelner przyniósł posiłek. Ryba z frytkami i jakiś obrzydliwy napój bezalkoholowy. Jedli w milczeniu. Widziała, że Marek ma problem z gryzieniem. Nic dziwnego, bo miał w uzębieniu spore ubytki.

– Co się takiego wydarzyło, że wylądowałaś w firmie pogrzebowej? Nie mogłeś wrócić do Polski i zacząć wszystko od nowa? – spytała nagle.

Przerwał konsumpcję i spojrzał na nią z nieskrywaną nienawiścią. Trudno było się w jego spojrzeniu doszukać choć przebłysku wdzięczności, a przecież, gdyby nie ona, już by nie żył.

– Nigdy nie wrócę do tego syfu i basta. Nawet jeśli teraz pojedę tam z tobą, to i tak zaraz wrócę. Tu jest mój dom.

– Tak? Gdzie? Podaj mi adres tego domu. – Parsknęła śmiechem. – Która to ławka w parku? Teraz to nawet w biznesie cmentarnym jesteś skończony. Pozostało ci tylko zebranie pod kościołem, ale tutaj to kiepski biznes, bo Francuzi sporadycznie tam chadzają.

– To nie twój zasrany interes – odparł i znów wziął się do jedzenia. Na tym ich konwersacje się zakończyły.

Wieczorem, kiedy Marek zasnął, wreszcie mogła go na dłużej spuścić z oczu. Zamknęła się w łazience, żeby ogarnąć swoje rany. Dziś blizny bardzo jej dokuczały, mimo że zażyła podwójną dawkę vicodinu. Wszystko przez to, że rano zapomniiała nasmarować je maścią. Lekarz, ile razy z nim rozmawiała, wciąż jej powtarzał, że musi choć dwa razy dziennie wsmarowywać lekarstwo w blizny, że to jest nieodzowne co najmniej przez następnych kilka miesięcy. Niestety, zdarzało się, że o tym zapominała. Tym razem nie pożałowała maści, a po usunięciu makijażu posmarowała też bliznę na policzku. Nim to uczyniła, długo przyglądała się jej w lustrze.

To była Syria. Skąd terroryści wiedzieli o trasie ich przejazdu? Tego nigdy nie ustalono. Zasadzili się na nich w jednym z zaułków Al-Tanf, oni zaś nie zachowali należytej czujności, bo powinno ich zastanowić, czemu nagle z ulicy zniknęli wszyscy przechodnie. W chwilę potem ich toyota wjechała na minę. Eksplozja była tak silna, że uniosła samochód na wysokość kilku metrów, a kiedy na powrót opadł na ziemię, to już w niczym nie przypominał toyoty, mało tego, nie przypominał jakiegokolwiek samochodu. Zginął kierowca, jeden z miejscowych i sierżant Bayle. Jakimś cudem jej i Kingsleyowi prawie nic się nie stało. On był jedynie zamroczony, ona miała mniej szczęścia, bo kawałek blachy z nadwozia okropnie rozharatał jej policzki. Poza tym obydwójce ogłuchli, ale w końcu słuch im powrócił, choć szumy w uszach pozostały już na stałe, taka następna upierdliwa pamiątka wojenna.

Kiedy opuściła łazienkę, usłyszała głośnie chrapanie Marka. Aż mu pozazdrościła, bo ona od lat źle sypiała. Wspomnienia z misji, a było ich mnóstwo, wciąż nie dawały jej spokoju. Czemu jej myśli wracały głównie do okropności, a przecież były i miłe zdarzenia, jak choćby jej urodziny w bazie Bagram? Wtedy koledzy zupełnie ją zaskoczyli. Ba, ona sama zupełnie o urodzinach zapomniiała, a tu bum, wielka impreza. Nawet dowódca zaszczycił ją swoją obecnością. Niestety, dwa dni później w zasadzce zginął John Evans, główny organizator i jej serdeczny kolega. Został przeżyty serią z kałasznikowa.

Agata wstała wcześniej rano i obudziła Kluska. Po godzinie wymeldowali się z hotelu i pojechali na lotnisko. Marek przez całą drogę trzymał w dłoni wypchaną czymś reklamówkę. Agata się domyśliła, że wcisnął tam hotelowy szla-

frok. Kiedy pogranicznicy oglądali jego dowód tożsamości, na chwilę zrobiło się nerwowo. Na szczęście nikt się nie zorientował, że od kilku lat dokument jest nieważny, dowiedziała się o tym dopiero kilka minut wcześniej.

Jak tylko wystartowali, Agata poczuła charakterystyczne drżenie rąk. Znów musiała pilnie zażyć lekarstwo. Z torebką w dłoni wyszła do toalety. Sięgnęła po buteleczkę z naklejką „paracetamol”. To był najlepszy kamuflaż, bo pastylki vicodinu wyglądały podobnie i tylko wprawne oko farmaceuty mogło wychwycić te subtelne różnice w ich kształcie. Wzięła dwie i po pewnym czasie problem zniknął. Wróciła na swoje miejsce w odpowiednim momencie, bo nakryła Marka na kupowaniu wódki u stewardesy. Natychmiast zareagowała, konfiskując trunek. Był wściekły, ale na szczęście pohamował się i nie wywołał awantury. Być może zreflektował się, widząc jej minę lub w końcu dotarło do niego, że z nieważnym paszportem może mieć poważne kłopoty.

HISZPANIA

W Maladze wylądowali o czasie i punkt dwunasta dotarli do Tarify, a konkretnie do pubu Tabarakana. Renata siedziała przy jednym ze stolików nad szklanką jakiejś zielonej cieczy, a jej cierpiąca mina mówiła wszystko: w tej substancji nie było ani krzty alkoholu. Obok niej na posadzce warował Georg. Siedział nieruchomo jak posąg, wpatrzonej w kobietę, ale próżno było w jego oczach szukać choć szczypty sympatii. Był niczym cerber. Na widok właścicielki przybiegł do niej i się zaczął łaścić. Poklepała go pieszczotliwie po grzbiecie, było nie było, ale swoją postawą zasłużył na jej uznanie. Marek przywitał się z siostrą dość chłodno, jak z kimś zupełnie obcym, co z racji tego, że się od dawna nie widzieli, było co najmniej dziwne. Tak w każdym razie pomyślała Agata, ale prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiedziała, jak powinny wyglądać relacje w rodzinie, bo jej nigdy nie miała. Pedro też to od razu zauważył i odciągnął ją na bok.

– Miłości braterskiej tu nie widać. Nie zazdrościsz ci tej podróży – szepnął jej, mocno zatroskany, do ucha.

Roześmiała się beztrąsko.

– Dam sobie radę. Wierz mi, miewałam większe problemy. W najgorszym razie skuję ich kajdankami.

Poklepała go po ramieniu i sięgnęła do torebki po cygaro.

– Wciąż je palisz i wciąż ta sama marka? – zdziwił się.

– Zgadza się, od zawsze jestem wierna tylko Cohiba Piramides. Na szczęście jeszcze mnie stać na nie i środki przeciwbólowe. Reszta się nie liczy.

– Napij się czegoś? Wiem, że lubiłaś ruską wódkę. Chyba mam coś jeszcze ze starych zapasów, bo nowych dośtać brak.

– Owszem, lubiłam do dwudziestego czwartego lutego dwudziestego drugiego roku, do dnia agresji na Ukrainę. Od tego momentu jej nie tknęłam, brzydzę się Ruskimi i ich gorzałą. Teraz jedynie sporadycznie sięgam po alkohol, cały czas muszę być czujna, bo nie wiem, co tym dwojgu może jeszcze przyjść do głowy, tym bardziej że przez swoje uzależnienia są kompletnie nieobliczalni.

– Ach, ci Polacy. – Pedro ostentacyjnie machnął ręką. – Jak ci już chyba mówiłem, tu przy plaży w przyczepach mieszka ich kilkunastu, wciąż się za lby biorą, i to o byle co. Natomiast jak ten wasz Lewandowski czy Świątek grają, to zbierają się i oglądają to razem. Wtedy jest sztama i wspólne pijaństwo. Koniec meczu i koniec przyjaźni. Nie rozumiem ich zupełnie. To jest jakiś absurd.

– Ja też, choć jestem Polką, tą dwójką indywiduów się zbyt nie przejmuję, bo jak będą podskakiwać, to właduję ich do kufra. Po kilku godzinach jazdy i po kilkunastu ostrych hamowaniach pójdą po rozum do głowy i będą grzeczni. Bardziej martwi mnie to, co będzie później. Zupełnie nie rozumiem pomysłu biskupa, bo oni się do niczego nie nadają prócz chlania i ćpania. Lepiej by ich umieścił na jakimś odwyku. Przynajmniej zachowałby się jak odpowiedzialny rodzic.

– Może liczy na to, że się wezmą w garść? Perspektywa zarobienia sporych pieniędzy zmienia ludzi. Wiem coś na ten temat.

– Nie tych. Oni się nie podniosą, bo nie mają charakteru. Przekonasz się, że mam rację.

– Znów dzwonił do mnie Kingsley, martwi się o ciebie. Chciał, żebym cię namówił do zmiany decyzji. Obiecał, że pomoże ci się urządzić w innym kraju. Uważa, że ktoś cię chce w coś zrobić. Popytał tu i ówdzie o tego biskupa, to nieciekawy facet z dziwnymi powiązaniem.

Agata parsknęła śmiechem. Major zawsze miał do niej wielką słabość, starał się jej matkować, czego ona nie akceptowała. Niemniej czasem ta troska była jej sercu miła.

– Jak wszyscy w Watykanie. Będę miała na nich oko. Wiesz co? Dawno nie jadłam paelli. Może mnie ją uruczysz? Najlepiej paella de marisco.

– A nie chcesz rabo de toro? Ponoć przyrządzam je jak rodowity Hiszpan, tak twierdzą miejscowi. Tylko palce liźać.

Agata się wzdrygnęła.

– Obrzydlistwo. Jak można jeść coś takiego?

– A wiesz, co głosi legenda? Jak młodemu Hiszpanowi uda się zabić byka, to powinien zjeść jego ogon. Dopiero wtedy staje się mężczyzną.

– Nie ma mowy. I tak nie zostanę mężczyzną, nawet gdybym zabiła stado byków i zjadła ich ogony. Nie chcę ani ogona byka, ani jego klejnotów. Zrób mi tę paellę i będę *happy*.

Skrzywił się z niesmakiem.

– Nie wiesz, co dobre, ale niech będzie, zaraz ci ją upitraszę.

– Ale najpierw daj mi coś do picia, coś bezalkoholowego.

Podał jej szklankę wody. Łyknęła dwie pastylki i popiła.

– Co bierzesz? – spytał, wnikliwie jej się przypatrując.

– To co zawsze, vicodin.

– To mocne dziadostwo i uzależnia. Ma to związek z wydarzeniami w Syrii? Mam rację?

– I co z tego, że masz rację? – odparła, rozdrażniona jego pytaniami. – Błagam, tylko nie praw mi morałów. Powiem ci tylko jedno: gdyby nie on, tobym z bólu nie przespała nawet jednej nocy. Próbowałam żyć bez pastylek, ale po tygodniu nieludzkiej męki musiałam znów po niego sięgnąć. Odrzuciłam go po operacji, ale jak na razie mnie na nią nie stać.

– Spokojnie, ja ciebie nie oceniam. Skoro go bierzesz, to musisz i koniec.

– I to mnie cieszy.

Zadzwoił telefon Agaty. Spojrzała na wyświetlacz, to Kingsley. A on czego chce? Nie miała nastroju do pogawędki.

– Co tam się urodziło? – szorstko zaczęła rozmowę.

– Oj, widzę, że nie jesteś w sosie. – Usłyszała jego rozbawiony głos. – Mam dla ciebie informację odnośnie do tego gościa, co go Pedro, no wiesz pot...

– Wiem, wszystko wiem – weszła mu słowo. – Mów!

– John Samson, kombatant z Afganistanu. Świrował na misji i został zwolniony ze służby. Później wszelki ślad po nim zaginął.

– A zatem najemnik. Przynajmniej wiem, że to nie muzułmanie, oni sami załatwiają swoje sprawy. Plecaczek z trotylem i bum, a jak trzeba, to razem z tobą idą do Allacha, gdzie czeka na nich siedemnaście dziewic. Nieraz się zastanawiam, skąd on ich tyle dla nich bierze.

– Widzę, że nastrój ci się poprawił. To dobrze.

– Po prostu vicodin zadziałał.

Lokal zaczął się powoli zapełniać, słychać było język niemiecki, angielski, francuski, no i polski. Zrobiło się gwarno, z głośników leciały latynoskie rytmy. Pedro uwijał się jak w ukropie między stolikami, żeby obsłużyć gości. Pomagała mu w tym niebrzydka Hiszpanka. Twierdził, że nic go z nią nie łączy, ale ich zachowanie temu przeczyło.

– Ty naprawdę pracowałeś w zakładzie pogrzebowym jako nieboszczyk? – Renata patrzyła na brata z niedowierzaniem.

– Skąd o tym wiesz?

– Podśluchałam tę sukę, kiedy rozmawiała z barmanem. Szkoda, że z niego kuternoga, bo to kawał przystojniaka.

– No i co z tego? Robota jak każda inna. Przynajmniej się nie kurwiłem. – Zarechotał.

– Pijesz do mnie, braciszku? – warknęła.

– Nie, daj spokój – rzekł pojednawczo. – Lepiej mi powiedz, kim ona jest. Pieprzyła coś, że jest naszą siostrą. Myślisz, że to prawda? Ja w to wątpię.

– A skąd mam to wiedzieć? Ten chuj tatusiek był do wszystkiego zdolny. A w ogóle to wiesz, czego on od nas chce? Jest już stary. Może będzie dzielić majątek?

Marek, słysząc to, parsknął śmiechem.

– Prędeż cię oskubie, niż ci coś da. Chyba go już na tyle poznałaś?

– Ale nie ma nas z czego oskubać. Ja nic nie mam, ty pewnie też.

– Może chce nerkę albo wątrobę. Nie słyszałaś nic o handlarzach organami? Tatusiek ma swoje lata i pewnie zdrowy nie jest. Lepiej nawiewajmy stąd, póki można, bo mam złe przeczucia.

– Chcesz uciec od tej suki? A niby dokąd, nie mając pieniędzy? Ja w każdym razie nie zamierzam ryzykować. Ona ma broń, prędeż cię zastrzeli, niż pozwoli ci uciec. Ten barman trochę mi o niej opowiedział. Ponoć ma nierówno pod sufitem.

– Straszyl cię, żebyś się bała i była posłuszna. Tyle ci powiem.

– A ty się jej nie boisz? Mój ty bohaterze. – Zarechotała.

– Odpierdol się ode mnie – warknął.

Zamiast wieczorem, tak jak wcześniej było ustalone, do mercedesa zapakowali się dopiero rano. Georg rozsiadł się na siedzeniu obok Agaty, a z tyłu ulokowały się bękarty, tak Agata od jakiegoś czasu nazywała Marka i Renatę. Zanim ruszyli z miejsca, Agata sprawdziła jeszcze maile, ale ten, na który od kilku dni z niecierpliwością czekała, wciąż nie nadchodził, a zatem teoretycznie wciąż była ich siostrą.

Był weekend, ruch na autostradzie umiarkowany. Jechali w milczeniu, bo rozmowa się nie kleiła. Agata, prowadząc samochód, co i raz zerkła w lusterko. Bękarty trzymały telefony w dłoniach i w nich szperały. Smartfony to był prezent od Pakulskiego, przekazała im je tuż przed wyjazdem, żeby mieli się czym zająć w podróży.

– Kiedy się dowiedzieliście, że biskup jest waszym ojcem? – Nagle do nich zagadała.

Jak na komendę oderwali wzrok od wyświetlaczy. Spojrzeli po sobie.

– Pod koniec liceum – odezwał się Marek. – Wtedy jeszcze nie był biskupem. Przyjechał do nas do domu i jak gdyby nigdy nic oświadczył facetowi, który mnie wychowywał, że to on jest moim ojcem. Tamten najpierw zaniemówił, tak go to zaskoczyło, a potem dostał szału. Doszło do bijatyki. W efekcie obaj wyjechali i zostaliśmy sami z matką, a później wszystko chuj strzelił. Matka zaczęła pić, ja zaś opuściłem się w nauce. W końcu miałem dość i wyniosłem się z chaty.

– Ze mną było podobnie – wtrąciła się Renata. – Pojawił się, rozpierdolił naszą rodzinę i wyjechał. Coś pieprzył o raku, ale to było tyle lat temu, że gdyby to była prawda, to już dawno by piach gryzł.

Następne kłamstwo, na którym złapała biskupa – Renata i Marek byli jedynie rodzeństwem przyrodnim.

– A jak wy się ze sobą poznaliście?

– Dostałam kiedyś od jakiejś firmy zaproszenie na wczasy w Toskanii. Wszystko było opłacone, porządny hotel, jedzenie i drinki. Głupia bym była, gdybym z tego nie skorzystała. Marek dostał identyczne. Tam się poznaliśmy. Później się okazało, że to tatuśka robota. On sam się tam nie pojawił, jedynie kilka razy zadzwonił, sukinyśn pewnie się nas bał. I słusznie, bo szykowaliśmy się na niego.

Agata pokręciła głową.

– Masz rację, on na odważnego to nie wygląda. Pewnie stchórzył.

– A ty jak się o tym dowiedziałaś?

– Ja tydzień temu, ale to mało ważne. U mnie niczego nie rozpierdolił, a prócz tego nie dałam się nabrać, że jest moim ojcem.

– Nie łudź się, jest. – Marek się zaśmiał i wrócił do przeglądania Internetu.

Rozmowa się urwała i więcej nie wracali do tego tematu.

DWA DNI PÓŹNIEJ

POLSKA

Warszawa

To był poniedziałek, późny wieczór. Mercedes na hiszpańskich blachach zatrzymał się przy willi na rogu Wernyhory i Niedźwiedziej na warszawskim Mokotowie. Agata wyłączyła silnik, po czym dwa razy sprawdziła w Google Maps adres, żeby się upewnić, że to jest to miejsce, bo w oknach było zupełnie ciemno.

– Zostańcie w samochodzie. Georg, pilnuj ich! – poleciła głosem nieznośnym sprzeciwu i opuściła pojazd. Od ostatniego postoju była na nich wściekła, bo podczas tankowania auta na chwilę spuściła ich z oczu, a oni to bez skrpułów wykorzystali i również zatankowali, ale sobie w gardła.

Wcisnęła glocka za pasek dzinsów, po czym obeszła posesję, uważnie się jej przyglądając. To był dom w starym stylu, z płaskim dachem, ogrodzenie solidne, dość trudne do sforsowania. To akurat stanowiło duży plus. Na ścianach ujrzała kamery, następny plus.

Podeszła do furtki i szarpnęła za klamkę, otwarte. Weszła na teren. Podeszła do drzwi wejściowych, te już jednak nie poddały się naciskowi klamki. Spojrzała pod nogi, wycieraczka. Czyżby i tu był ten zwyczaj? Schyliła się i ją odchyliła, pod nią leżał klucz. Biskup mógł się wykazać ciut lepszym pomysłem, stwierdziła. W chwilę potem była w budynku. Włącznik światła znajdował się na ścianie z prawej strony drzwi, pstryknęła nim i zapalił się żyrandol, trzy kulki wykonane z przydymionego szkła przymocowane do metalowego pręta.

– Starodawny, niemodny – mruknęła pod nosem i poszła sprawdzić po kolei wszystkie pomieszczenia.

Poza dwoma pokojami na parterze reszta była kompletnie pusta. Te dwa zaś były bardzo skromnie umeblowane. Trzy pojedyncze łóżka, dwie proste szafy, stół z czterema krzesłami, w większym pomieszczeniu na ścianie wisiał duży telewizor jakiejś koreańskiej marki. Nie zauważyła posłania dla Georga, to duży błąd, bo on musi mieć swoje legowisko. Zajrzała do kuchni, a tam mikrofalówka, obdrapana lodówka, kuchnia elektryczna, kilka wiszących szafek i blat roboczy. Surowo, tak jak w pokojach. Jej to akurat nie przeszkadzało, ale widziała już oczyma wyobraźni niezadowolone miny bękartów. Markowi we Francji do spania wystarczała trumna, Renacie w Hiszpanii rozpadający się barłóg, ale tu będą kręcić nosami, tego była pewna. Już ich na tyle poznała. Zajrzała do lodówki, była zapełniona, od razu rzuciły jej się w oczy butelki z piwem. Wyjęła je i ich zawartość powierzyła warszawskiej kanalizacji. Teraz mogła wrócić do samochodu po towarzystwo i jednocześnie zwolnić Georga ze służby. Podczas ich podróży, zawsze kiedy musiała opuścić samochód, pilnował pasażerów. Na każdy ich ruch w kierunku drzwi reagował warczeniem i szczerzeniem zębów, i to był wystarczający argument, żeby poniechali swoich zamiarów. Wtedy siedzieli jak trusie, wpatrzeni w psa jak w święty obraz, choć na pewno się do niego nie modlili, raczej mu zlorzeczyli. Z rottweilerem się nie dyskutuje, tylko się go wystrzega – to jest święta zasada, żeby przeżyć. Kto tego nie przestrzega, ma bardzo przechłapane.

Miała rację, już w swych pierwszych słowach bękarty skrytykowały warunki mieszkaniowe. Marek od razu udał się do kuchni, jeśli w poszukiwaniu alkoholu, to na pewno bardzo się rozczarował.

Zadzwoił biskup. Obiecał zjawić się następnego dnia rano. Miał przywieźć ze sobą sprzęt komputerowy i jakieś specjalistyczne urządzenia, tak się w każdym razie wyraził. Ciekawe, co miał na myśli, zastanawiała się Agata. Pewnie wodę święconą i pralkę do prania mózgow, no bo cóż innego, skoro firma miała działać pod egidą Kościoła?

Bękarty włączyły telewizor, ale zaraz się pokłócili, który kanał wybrać. Na koniec obrzuciły się niewybrednymi epitetami i poszły spać. Agata przysłuchiwała się temu ze zdziwieniem. Już w podróży między Markiem i Renatą mocno iskrzyło. Najpierw poszło o politykę. Chyba byli zwolennikami skrajnie różnych opcji politycznych. Nie myślała, że z powodu poglądów ktokolwiek, a już tym bardziej rodzeństwo, może tak sobie skakać do oczu.

Kiedy tamci zasnęli, udała się do łazienki, żeby zrobić wieczorną toaletę. Ciepła woda natychmiast zaogniła błony, więc niezwłocznie po kąpieli sięgnęła po masę, a na koniec łyknęła lekarstwo. Oparła się rękoma o umywalkę i czekała, aż ból osłabnie. Trwało to różnie, nieraz do pół godziny. Dopiero wtedy mogła się położyć spać. Tak było każdego wieczoru, rytuał, którego całym sercem nienawidziła.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

WŁOCHY WENECJA

Był środek nocy. Po korytarzach weneckiego szpitala Casa di Cura San Marco zaspane pielęgniarki snuły się niczym nocne ćmy. W separacie na drugim piętrze, na samym szczycie budynku, leżał starszy mężczyzna. Przy jego łóżku prócz stojaka z kroplówką stała aparatura medyczna z kolorowymi monitorami, na których co chwila przeskakiwały wykresy i liczby. Patrząc na twarz pacjenta, można było z niej czytać jak z otwartej księgi. Cierpiał, bardzo cierpiał. Zapadłe policzki, brutalnie przeorane głębokimi bruzdami, przygaszone spojrzenie, charczący oddech i wystająca spod kołdry plastikowa torebka na mocz. Chory nie spał, a jego spojrzenie bezmyślnie błędziło gdzieś po suficie.

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Ktoś w lekarskim fartuchu zbliżył się do łóżka.

– Witaj, pułkowniku! Kopę lat się nie widzieliśmy.

Chory przekręcił głowę i spojrzał na przybysza. Nagle jego oczy wyraźnie się ożywiły, nabrały blasku.

– Cholera – zaklął. – Czy ja już jestem pod drugiej stronie? Bo widzę umarlaka.

Agata się roześmiała.

– Nie, Frank, zmartwię cię, nadal jesteś po tej kiepskiej stronie. Chyba wiesz, że złego diabli szybko nie biorą, trzeba się jeszcze trochę pomęczyć.

Starszy mężczyzna jednak nie wyglądał na przekonanego. Z niedowierzaniem kręcił głową, najwyraźniej wciąż powątpiewał w to, co widział.

– To nie możesz być ty. Przecież ty nie żyjesz, słyszałem o twojej śmierci. To musi być jakaś mistyfikacja. Czemu oszukujecie umierającego starca? Kurwa mać, tak się nie robi!

– Co mam uczynić, żebyś mi uwierzył?

Pułkownik chwilę się zastanawiał.

– W szafce jest cygaro. Chcę je zapalić. Jeśli poczuję jego aromat, to uwierzę, że jeszcze mnie szlag nie trafił, że dalej stoję w długiej zakręconej kolejce do piekła, a ty to ty.

Agata się uśmiechnęła.

– Jesteś kompletnym wariatem. Nawet w takiej chwili dobry humor cię nie opuszcza.

Schyliła się i sięgnęła ręką do szafki. Głęboko pod bielizną znalazła ukryte podłużne pudełko. To musiało być to. Zajrzała do środka. Było w nim tylko jedno cygaro. Zbliżyła nos do niego, ale nie wyczuła charakterystycznego zapachu cygar Bolivar, bo dobrze pamiętała, co palił pułkownik. To śmierdziało jak krowie łajno albo jeszcze gorzej.

– Co ty za świniństwo palisz? – Nie kryła irytacji. – Z czego to? Z kapusty? Gdzie twoje bolivary? Jeśli ich nie masz, to zapal moje.

Wyjęła z kieszeni płaszcza jedną sztukę marki Cohiba Piramides i podała ją pułkownikowi. Tamten chwycił cygaro kurczowo w rękę i podetknął je pod nos. Jego twarz zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Teraz tyle było w niej rozanielenia, radości.

– Dawno już nie paliłem dobrych cygar, a właściwie żadnych. Nie wolno mi nic wdychać w płuca poza zwykłym powietrzem. Konowały nie potrafią zrozumieć, że już mi nic nie zaszkodzi. Wciąż żałuję, że zgodziłem się na to, żeby mnie przykuli do łóżka. Głupiec ze mnie, że dałem się im omamić, bo powinienem był zostać w domu. Przynajmniej odszedłbym godnie, a tu jest zwykła wykańczalnia, prawdziwa rzeźnia. Wjeżdżasz drzwiami z napisem „Wejście”, a wyjeżdżasz tymi z napisem „Prosektorium”.

– A skąd miałeś to cygaro, a raczej zwitek kapuścianych liści? Pewnie to jakieś chińskie gównno. Wciąż nas te pieprzone żółtki tym szajsem zalewają.

– Córka mi przyniosła, ona jedna wykazała trochę zrozumienia dla starca stojącego już na krawędzi życia. Dziewczyna nie zna się na cygarach, ale miała dobre chęci, więc nie można mieć do niej pretensji.

– Nie wiedziałam, że masz córkę. Pierwsze słyszę – zdziwiła się. – Nigdy o niej nie wspominałeś.

– Ja też nie. – Zaśmiał się. – Obwieściła mi to, i to całkiem niedawno, kobieta, z którą kiedyś przez jakiś czas mieszkałem. Nie jestem do końca przekonany, czy faktycznie jest moją córką, ale nie dochodzę prawdy, już nie

warto.

Odgryzł końcówkę cygara i wypluł ją na podłogę. Agata podała mu ogień. Miły nozdrzom zapach tytoniu wypełnił szpitalną salę, delikatny biały dymek uniół się nad posłaniem. Wykresy na monitorach przyspieszyły, liczby pokazywały większe wartości niż wcześniej, ale tym akurat żadne z nich się nie przejęło.

– Wreszcie poczułem znowu, że żyję. Było nie było, ale palę cygaro za ponad sto euro. Teraz wiem, że to ty. Cieszę się, że żyjesz. Słyszałem, że zginęłaś w Syrii, że zanim zginęłaś, to cię torturowali. Niektórzy mówili, że cię na żywo obdarli ze skóry. Po co w ogóle gadali te głupoty? Tego nie rozumiem.

– Oficjalnie nie żyję i niech tak zostanie – ucięła krótko. Nie chciała rozmawiać na ten temat, mimo upływu lat wciąż było to dla niej za bolesne, żeby o tym opowiadać.

– Skąd się tu wzięłaś? Szukałaś mnie czy to przypadkowe spotkanie?

– Zamówiłeś usługę. Firma nazywa się „Pomocna dłoń”, choć ja ją nazywam zupełnie inaczej. „Kościelny kant” bardziej mi tu pasuje. Czy wiesz, że nikt tej projekcji jeszcze nie przeżył? Ponoć to tak silne doznanie, że wszyscy oddają ducha.

– Ale najpierw oddają pieniądze, i to wcale nie małe. – Pułkownik zaśmiał się pod nosem. – Może tym razem zdarzy się cud. Trzeba wierzyć.

– Pieprzysz! Nie wierz w to. Czy warto wchodzić w coś takiego? To zwykle oszustwo, nic więcej.

– A co mi zostało? Powiedz. Mam zżarte przez raka płuca, mam przerzuty do wątroby i trzustki. Ponoć pracują już na oparach. W każdej chwili mogę wykopyrtnąć, a tak na sam koniec będę mieć trochę frajdy! – wyrzucił z siebie resztkę sił. Zmęczył się. Ciężko dyszał, starał się złapać powietrze. Cygaro mu o mało nie wypadło z drżącej dłoni.

– Bredzisz! Posłuchaj mnie! – Za wszelką cenę starała się go od tego odwieść. – Nie wierz w to, że ci się uda. Nie przetrwasz tej projekcji. Nie ma mowy.

Z pułkownikiem poznali się w Afryce. Za pomocą dronów robiła rekonesanse dla sił ONZ. Toczyła się tam wojna domowa. Była krwawa i okrutna. Zresztą wszystkie wojny takie są, bo wyzwalają w ludziach najstraszniejsze instynkty, które w czasach pokoju są skrywane w najciemniejszych zakamarkach dusz. Obie strony konfliktu pławiły się w krwi przeciwników. ONZ wysłała tam siły, ale te, zamiast chronić ludność cywilną, jedynie bezradnie przyglądały się rzezi. Pułkownik dowodził jedną z tych baz. Byli silnie ufortyfikowani, a za płotem szalały zdegenerowane bandy rebeliantów. Pewnego dnia do ich bazy chciał się dostać mały chłopczyk, miał góra osiem lat. Biegł środkiem traktu w stronę bramy. Wszyscy za murem mu kibicowali, ale nikt nie ruszył mu z pomocą, bo mieli zakaz. Pułkownik jako jedyny ani chwili się nie zastanawiał. Wybiegł przed bramę, ale niestety, nie udało mu się chłopczyka uratować. Kule z kałasznikowa były od niego dużo szybsze, a przy okazji i jego trafiły. Ten postrzał był dla pułkownika brzemienny w skutkach, bo po opuszczeniu szpitala już nie odzyskał pełnej sprawności fizycznej i musiał opuścić armię, przejść w stan spoczynku.

– Nie powiedziałas mi, co ty tu robisz. Pracujesz dla tych sukinsynów?

– Wynajęto mnie do sprawowania pieczy nad pracownikami. Jestem ich bodyguardem, ale nie tylko. Sprawdzam wcześniej teren i płatności dokonywane przez klientów. Na tym moja rola się kończy. Gówniane zajęcie, ale dobrze płatne, a ja potrzebuję pieniędzy jak ryba wody. Inaczej pewnie bym się nie zgodziła. Proszę, przemyśl swoją decyzję jeszcze raz. Jest dwudziesty pierwszy wiek, może nie wszystko stracone, może konowały jednak wyciągną cię z tego bagna? Ponoć nigdy nie należy porzucać nadziei. Tak mi kiedyś mówiłeś.

– Nie pieprz mi tu takich farmazonów. To było kiedyś. Jestem w pełni świadomy swojego stanu zdrowia. Widzisz ten worek zwisający z łóżka? Sikam do niego. Sprawdziłaś już, czy zapłaciłem? Jak wykituję, to nie wygzekwujesz ode mnie nawet centa, pomimo że cię lubię.

– Proszę cię – zachnęła się Agata. – Nie zamierzam tego robić. Zawsze sobie ufaliśmy, na misjach to podstawa, żeby przeżyć. – Usiadła na krześle tuż przy łóżku. – Wciąż mnie nurtuje jedna sprawa, Wiesz, o czym myślę?

– Tak, wiem. Też nieraz myślę o tym dzieciaku, ale jako dowódca miałem związane ręce. Nie mogłem postępować wbrew rozkazom i narażać żołnierzy. To było moje życie, więc mogłem je zaryzykować, nic poza tym.

– Gdyby wtedy choć kilkunastu żołnierzy wyszło razem z tobą, on by miał szansę i ty byś nie oberwał. Rozkaz wydany przez jakiegoś dupka ze sztabu oddalonego o kilka tysięcy kilometrów zaważył na losie tego malca.

– Nie tylko na jego, ale i na moim. Jak wyszedłem z armii, w jednej chwili cały mój świat legł w gruzach. Teraz po latach uważam, że dobrze się stało, bo życie w cywilu ma swoje plusy, nawet ma ich sporo, a najważniejszym jest to, że poznałem swoją córkę, a to jest warte wszystkich pieniędzy.

Agata znacząco pokiwała głową.

– Masz rację. Mądre słowa.

Podniosła się z krzesła, odstawiała je z powrotem na miejsce, ucisnęła dłoń Hendersonowi i skierowała się do wyjścia.

– Poczekaj! – wyszeptał.

Zatrzymała się w progu i spojrzała w stronę pułkownika. Mężczyzna odłożył dopalające się cygaro na stolik, po czym z wielkim wysiłkiem dźwignął się do góry i usiadł.

– Miło było cię znów zobaczyć. To było dla mnie spore przeżycie, a cygaro wspaniałe. Do zobaczenia po drugiej stronie.

Przez twarz Agaty przemknął delikatny grymas uśmiechu.

– Trzymaj się, stary draniu, ale nie licz na to, że prędko mnie tam zobaczysz – rzuciła mu na odchodne i opuściła salę, starannie zamykając drzwi za sobą.

Wyszła na korytarz. Natychmiast u jej boku pojawiła się Renata.

– To twój znajomy? – spytała, nachalnie się jej przypatrując.

– Owszem. Znamy się od wielu lat. Chciałam go namówić, żeby zrezygnował, żeby nie szedł w wasze łapy, ale się uparł. Za dobrze go znam, żeby próbować go na siłę przekonać. To stary uparty kozioł.

Nadszedł Marek, niósł walizkę z oprzyrządowaniem.

– To co? Działamy? – spytał.

Agata wzruszyła ramionami w geście bezradności.

– Róbcie swoje, skoro taka jest jego wola.

Łyknęła vicodin, po czym z torebki wyjęła cygaro i wymknęła się na zewnętrzny taras. Wiedziała, że spokojnie zdąży je wypalić. Stąd był widok na inne skrzydła szpitala, przez oświetlone okna widziała sale, pacjentów poruszających się o kulach czy pchających chodziki, skupiska pielęgniarek, pewnie obgadujących lekarzy, sprzątaczkę tańczącą z mopami, odwiedzających zaczynających czy kończących swoje wizyty. Mnóstwo ludzi, z których każdy miał co innego w głowie. Tu byli razem, a za jakiś czas rozejdą się, czy też rozjadą, po mieście. Zostaną tylko ci, co muszą, pracownicy na dyżurach i chorzy, ale wśród nich już nie będzie pułkownika. Jego wywozą tymi drugimi drzwiami, tymi z napisem „Prosektorium”.

Cygaro dawno już zgasło, Agata jak urzeczona patrzyła w drzwi od sali, w której leżał pułkownik. W końcu się otwarły. Zobaczyła bękarty, a zatem nie było go już wśród żywych. Renata podeszła do niej.

– Chcesz go zobaczyć? – spytała. To było z jej strony dziwne zachowanie, bo ich wzajemne stosunki były wciąż mocno chłodne, a można wręcz powiedzieć, że lodowate. Właściwie odzywały się do siebie tylko w służbowych sprawach, bo tamta wciąż rozpamiętywała podróż z Malagi do Tarify w bagażniku mercedesa.

– Nie. Wolę go pamiętać żywego. To był porządny facet, w dzisiejszych czasach takich się często nie spotyka.

Przeszli holem do wyjścia, a w chwilę potem byli już poza budynkiem. Owiało ich rześkie nadmorskie powietrze.

– Dokąd teraz? – spytał Marek, pakując urządzenie do kufra taksówki.

– Do hotelu, a rano na lotnisko i wracamy do Polski. Tym razem to jest zlecenie na miejscu. Co puściliście pułkownikowi? W jakiej historii chciał uczestniczyć w swoich ostatnich chwilach?

Bękarty wymieniły znaczące spojrzenia.

– Znasz zasady. To jest tajemnica, nie wolno nam tego zdradzać, nawet tobie.

– Przestań mi tu pierdolić takie głupoty, tylko mów, i to szybko. – Agata się zdenerwowała. Dotąd nigdy nie pytała o takie rzeczy, ale to był jej kumpel z wojny i chciała to koniecznie wiedzieć. Jeśli uzna, że ta wiedza w jakiś sposób podbuduje jego rodzinę w tej trudnej chwili, to im to powie.

– Chciał umrzeć w burdelu – wydukała Renata, bacznie ją obserwując.

Agata parsknęła śmiechem. No tak, tego powinna się była po nim spodziewać. Tak czy owak tą wiedzą na pewno nie podzieli się z jego bliskimi. Nie ma mowy, ale kłamać też nie będzie. Po prostu przemilczy to.

Widziała, że znów spojrzeli po sobie. Nie rozumieli jej reakcji i pewnie nigdy nie zrozumieją.

Agata zawiozła ich na nocleg do hotelu Primavera. Nędzny, tani przybytek, ale te lepsze o tej porze roku miały pełne obłożenie. W pokojach na szafkach nocnych ze zdziwieniem zobaczyła Biblie.

– Literatura w sam raz dla was. Gorąco polecam – zadrwiła.

– Czemu wciąż nam dogryzasz? Czemu z nas kpisz? Traktujesz nas, jakbyśmy byli nikim. – Marek nagle ją zaatakował.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie. Czyżby miał aż tak zakłóconą samoocenę?

– Mam swoje powody, ale zgoda. Resetujemy wszystko. Dziś mnie nie będzie, wróć jutro rano, a Georga zamknę w moim pokoju. Na dole jest restauracja, zjedzcie coś i idźcie wcześniej spać, bo jutro lecimy dalej. Pamiętajcie, nie pijcie alkoholu. Nie zawiedźcie mnie.

Wyjęła z walizki glocka i włożyła go do torebki.

– Nie malujesz paznokci? – spytała nagle Renata. – Mam czerwony żelowy lakier, mogę ci go pożyczyć.

Nigdy ich nie malowała, bo w wojsku krzywo na to patrzono. Później po opuszczeniu armii raz to zrobiła, ale źle się z tym czuła. Może dlatego, że wybrała brzydki kolor? Sama nie wiedziała.

– Dzięki, nie lubię – odparła opryskliwie i wyszła.

Udała się na plac Świętego Marka, gdzie miała na nią czekać motorówka. Miała, ale nie czekała. Dopiero po kwadransie podплыnęła, a kiedy do marynarza dotarło, dokąd wybiera się jego klientka, nie chciał nawet o tym słyszeć. Dopiero szelest banknotów o dużym nominale skruszył jego upór i mężczyzna zgodził się płynąć na Poveglię. Agata z uwagą mu się przyglądała. Twarz i szyję miał pokryte dziwnymi tatuażami, swoim wyglądem nie wzbudzał zaufania, a kiedy zobaczył, jak klientka odlicza pieniądze z dużego pliku banknotów, to oczy mu dziwnie rozbleły. Zauważyła to mimo półmroku i natychmiast zapaliło jej się światelko ostrzegawcze.

– Ponoć na wyspie mieszka jakiś wariat – zagadał do niej, kiedy już odbili od nabrzeża.

– Ponoć – odburknęła. Nie miała ochoty na kontynuację rozmowy, bo wciąż jej myśli zaprzętała śmierć pułkownika.

– Ponoć kiedyś odwiedził go hierarcha kościelny, a on chciał mu głowę odstrzelić.

– Ponoć mu ją odstrzelił – rzekła.

– Poważnie? Nie wiedziałem. Nie boi się pani tam płynąć tak po nocy? A jak on panią napadnie? Może lepiej wrócić?

– Nie lepiej. Proszę się martwić o siebie i pilnować kursu, bo jest spora mgła.

– Nie ma obawy. Jestem starym wilkiem morskim. Nie w taką pogodę pływałem.

Rozmowa się urwała, w pewnym momencie Agata zorientowała się, że łódź zmierza w zupełnie innym kierunku, niż powinna. Trzeba było działać. Z torebki wyjęła broń.

– Kurwa mać! – ryknęła na marynarza, przeladując pistolet i mierząc mu prosto w głowę. – W co ty pogrywasz? Wracaj, sukinsynu, na kurs, i to zaraz, bo ci łeb odstrzelę! Radzę, pospiesz się, bo jestem z natury cholernie niecierpliwa.

Zaskoczyła go.

– To przez mgłę, już wracam – wydukał wystraszony, nie mogąc nawet na chwilę oderwać wzroku od glocka. – To tylko pomyłka. Naprawdę, to przez tę mgłę.

– Oby – warknęła i powoli schowała broń.

Już do końca podróży płynęli w kompletnej ciszy, słychać było jedynie plusk wody uderzającej w burtę łodzi i cichy warkot silnika.

Dobili do rozwalającego się pomostu, tego samego, do którego wcześniej dopłynął biskup. Jak tylko Agata postawiła na nim nogi, łódka odbiła, a kiedy odpłynęła na bezpieczną odległość, mężczyzna odzyskał rezon i odwagę, i zaczął jej głośno złorzeczyć. Nawet tego nie słuchała, dla takiego gada nie było warto sobie języka strzępić. Ruszyła w głąb wyspy.

– Cholera, mógłby wykarzcować te chwasty – zaklęła, kiedy zaplątała się w gałęzie jakichś krzaków. Odniosła wrażenie, że chaszczki są jeszcze gęstsze, niż kiedy była tu ostatnio. Jak tak dalej pójdzie, to za rok trzeba będzie się przedzierać z maczetą w dłoni lub zrobić przecinkę za pomocą dynamitu.

Szła pewnie pomimo ciemności, bo pamiętała drogę. Nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi Georg senior. Od czasu kiedy się ostatnio widzieli, chyba jeszcze bardziej zmężniał. Nim zdążyła się zasłonić, skoczył jej na piersi i polizał ją po twarzy. Poglaskała go piśszczotliwie po głowie.

– Daj spokój, sukinsynu, wystarczy tego, prowadź mnie do twojego pana.

W mieszkaniu majora prócz rozradowanego gospodarza czekał na nią stół uginający się od wszelakiego jedzenia. Kingsley od zawsze się odchudzał, a każde jej odwiedziny były dla jego sumienia świetną wymówką, że ze względu na gościnność musi złamać swoje święte zasady. Ona sama nie jadła dużo, za to w czeluściach jego żołądka zniknęło niemal całe wystawione jadlo.

Uściskali się serdecznie na powitanie, po czym zasiedli do stołu.

– Homary i lasagne, brawo – pochwaliła majora Agata. Pamiętał, co lubi najbardziej. Zerknęła na wino, Fontanafredda Barolo Riserva z 2015 roku.

– Widzę, że emerytowanego majora stać na porządny trunek. Mnie renta porucznika starcza na Nebbiolo Langhe Doc, i to tylko od święta.

– Wiem, że potraktowali cię po chamsku. To wszystko wina Lenza. Widziałem jego raporty i je oprotestowałem, ale na nic to się zdało. On ma większe chody niż ja. Opowiadaj, opowiadaj co u ciebie – zachęcał ją. – Przez telefon jesteś skąpa w słowach, ale ja to rozumiem. Teraz to wszyscy wszystkich podsłuchują, a ten wymyślony przez Izraelczyków Pegasus przekroczył kolejną barierę inwigilacji.

– Jak wiesz, przyjąłem zlecenie od tego biskupa i jak na razie on się wywiązuje z umowy. Spłaciłam już swoje podstawowe zobowiązania i zaczynam oszczędzać.

– Masz już wyniki DNA?

– No właśnie – rzekła, nie kryjąc irytacji – wciąż na nie czekam. Nie mam pojęcia, czemu to tak długo trwa. Choć może i lepiej, że to się przeciąga, bo dzięki temu jest mi łatwiej wykonywać swoją robotę. Nieraz hamuję się właśnie z tego względu, że a nuż faktycznie są moim rodzeństwem i pewnych rzeczy mi nie wypada.

– Nie są. Nie wierz w te bajki, tak jak i w tę, że ten pieprzony biskup jest twoim ojcem. To jest niezły cwaniak. Dobił się fortuny na ciemnych interesach z włoską mafią. Przez kilka lat był w Palermo i tam nawiązał różne dziwne kontakty.

– W Polsce też ma układy. Wyobraź sobie, że jak tylko się tam zjawiliśmy, to czekały na nas paszporty dyplomatyczne. Nie ukrywam, że bardzo nam ułatwiają życie, bo dzięki temu w bagażu dyplomatycznym mogę przewozić broń, tym bardziej że sporo podróżujemy, a jak wiesz, z glockiem nie lubię się rozstawać.

– Podróżując, dużo ryzykujesz. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Islamiści mogą cię gdzieś przypadkowo rozpoznać. Wiesz dobrze, że oni nie odpuszczają, będą cię tropić do upadłego.

– Wszystko to wiem, ale muszę jakoś zarabiać na utrzymanie. Wykorzystano mnie, zrujnowano mi życie i zostawiono samej sobie. Gównu ich obchodzi, że mogę zginąć. Są na tyle bezczelni, że proponują mi nową robotę, ale tak naprawdę to nie wiem, czego dokładnie chcą. Może mam im wystawić Putina, może jakiegoś jego generała, a może przywódcę Hamasu. Nie dopytywałam o szczegóły. Gdybym się zgodziła znów pracować dla Lenza, to wtedy pewnie już cały świat by chciał mnie dostać, a tak to tylko Arabowie.

– Tylko? Widzę, że dobry humor cię nie opuszcza. Mnie wciąż nie daje spokoju to, jak biskup wpadł na twój trop, kiedy innym się to nie udało.

– On wpadł na twój trop, nie mój. Ty mu dałeś moje namiary.

– Bo się zgodziłaś.

– Owszem, ale gdybym nie wyraziła zgody, to twój telefon do mnie mógł mnie zdemaskować.

Kingsley podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

– Fakt, wtedy o tym nie pomyślałam. Zaskoczył mnie tą wizytą. No cóż, starzej się. Chyba wiesz, ile mam lat? Mam prawo popełniać błędy. Sprawdziłem tego Araba, którego fotkę mi przesłałaś miesiąc temu z Hiszpanii. To jest Abdul Karim, terrorysta poszukiwany przez Interpol. Jest współodpowiedzialny za zamach na redakcję „Charlie Hebdo” z siódmego stycznia piętnastego roku w Paryżu. Jest jedynym z zamachowców, któremu udało się uciec. Niestety, trochę to trwało. Myślę, że nie chodziło o ciebie, a wasze spotkanie to był zwykły przypadek.

– Też tak uważam, bo był bardziej zainteresowany pewną kobietą o arabskich rysach niż mną. Dlatego napisałam ci, żebyś odpuścił.

– Ale nie odpuściłem i dałem znać, gdzie trzeba. Mieli to sprawdzić.

– I jak zwykle później odgwizdać swój sukces.

– Tak to już jest. Wczoraj dzwonił do mnie Smith.

– Smith? – Zaśmiała się. – Ja znam tylko jednego Smitha, Smith and Wesson kaliber dziewięć milimetrów. Pewnie to nie on.

– Poznałaś go w Pakistanie. To ten, co cię tam przerzucił.

– Tak? O ile dobrze pamiętam, to wtedy przedstawił mi się jako Petersen. No dobra i co z tym całym Smithem?

– W Paryżu na lotnisku pochwycono terrorystę, niejakiego Mahmeda Al-Haszimiego. Przyleciał z Ankary.

– I co z tego? Nie znam go – rzuciła, tęsknie zerkając na stół.

– Miał przy sobie fotografię, twoją fotografię. To znaczy jedno: wiedzą, że jesteś w Europie i próbują cię wytropić.

– Sądząc po tym, co ostatnio się dzieje wokół mnie, to nie tylko oni. Europa jest duża, spore wyzwanie przed nimi – zakpiła.

– Nie przejmujesz się tym? Naprawdę?

Nie krył zdziwienia, bo obydwójce dobrze znali metody działania islamistów.

– Przejmuję, ale jakiej reakcji ode mnie oczekujesz? Nie zamierzam z rozpaczrywać sobie włosów z głowy. Będę ostrożna i tyle.

- Dobra, jedz, bo wystygnie, a wtedy trzeba będzie to dać Georgowi. A jak junior? – Major zmienił temat.
- Jest w hotelu razem z tą dwójką popaprańców. Wciąż muszę ich wyciągać z baru hotelowego albo z jakiejś szemranej speluny. Kilka razy musiałam dać jakimś łajzom po mordzie, bo zaczepiali Renatę, i to w chamski sposób. Nie pozwolę, żeby biznes skończył się akurat w tym momencie, bo cholernie potrzebuję tych pieniędzy na operację.
- Dużo ci jeszcze brakuje? Może cię wspomóc? Wiesz, że mam oszczędności.
- Nie, dziękuję. Każda pożyczka ma tę wadę, że trzeba ją oddać. Wolę wydawać swoje pieniądze. Tym bardziej że mam mnóstwo wrogów, a więc istnieje duże ryzyko, że ich nigdy nie oddam.
- Na czym konkretnie polega ta wasza usługa? Mimo że mi to tłumaczyłaś przez telefon, wciąż tego nie rozumiem.
- Wiesz, co to takiego gogle Oculus?
- Nie za bardzo, a właściwie nic nie wiem na ten temat – przyznał z rozbrajającą szczerością.
- Zakładasz na oczy specjalne okulary i uruchamiasz program. To jest projekcja trzy D, wszystko jest tak naturalne, że zupełnie oszukuje twój mózg. W pewnym momencie odrywasz się od rzeczywistości i lądujesz w wirtualnym świecie. Śmiertelnie chory klient za grubą forszę wykupuje taką projekcję. To jest program pisany specjalnie pod niego, bardzo skomplikowana aplikacja wymyślona przez jakiegoś informatycznego geniusza. Wiem, że to Rusek lub Ukrainiec. Nigdy go nie widziałam na oczy, bo wszystko jest załatwiane zdalnie. Pod koniec takiego seansu klient umiera i ponoć w momencie agonii przenosi się do tego wirtualnego świata, i to na amen. Tak w każdym razie twierdzi biskup, ale ja w to nie wierzę. Według mnie to zwykły przekręt, oszustwo, ale patrząc na to z drugiej strony, czemu żałować tym ludziom odrobiny radochy w momencie śmierci? Dziś w Wenecji właśnie w ten sposób odszedł mój stary znajomy.
- Masz na myśli Franka Hendersona? Myślałem, że jeszcze trochę pociągnie. Był twardy, nie poddawał się.
- Rak w końcu zmoże każdego, nawet największego twardziela.
- Owszem, ale tydzień temu rozmawiałem z jego lekarzem i dawał mu jeszcze kilka miesięcy życia.
- To nazywasz życiem? On nie chciał tego gówna. Zawsze szukał mocnych wrażeń i dostał to. Projekcja jest tak mocna, że nikt jej nie wytrzymuje.
- Tym bardziej dziwne był odporny psychicznie jak mało kto. Co to była za projekcja? Choć poczekaj, postaram się odgadnąć.
- Agata wbiła w niego zaciekawione spojrzenie. Ciekawe, czy trafi? W ogóle nie myślała, że tak dobrze się znają. Major nigdy jej nie wspominał o Hendersonie.
- Pewnie wybrał się do burdelu, mam rację? – wypalił nagle, czym ją kompletnie zaskoczył.
- Skąd ty to wiesz? Mówił ci o takich rzeczach? Może tam razem chadzaliście?
- Niezupełnie, ale przez trzy lata służyliśmy razem w Somalii. Nieraz rozmawiało się o różnych pierdołach, niejedną butelkę whisky się przy tym obalilo – rzekł z rozrzewnieniem.
- Trafiłeś w dziesiątkę. Odszedł, będąc w burdelu.
- Przynajmniej nie żał wydanych pieniędzy. – Kingsley zarechotał, wyraźnie rozbawiony. – Wypijmy za jego pokręconą duszę. Niech się dobrze bawi w piekle.
- Wypijmy!

Rano, skoro świt, Kingsley odstawił Agatę do Wenecji. W jednej z zatoczek miał przycumowany ścigacz. To była prawdziwa bestia uzbrojona w dwa potężne silniki Yamaha. Kiedy je odpalił, rozległ się ryk niczym z silnika myśliwca F-16 podczas startu, po czym major zafundował jej przejażdżkę podnoszącą na maksa poziom adrenaliny.

Kiedy tylko Agata zjawiła się w swoim hotelowym pokoju, z łazienki wyskoczyła Renata w jej szlafroku i papilotach na głowie. Była wściekła.

- Jakim prawem terroryzujesz nas tym cholernym psem?! Ta bestia nie dała mi się z pokoju ruszyć. Agata parsknęła śmiechem.
- O ile wiem, to jest mój pokój. Co w nim robiłaś? Tak sobie dałaś w szyję, że nie zauważyłaś, gdzie wchodzisz, a może przegrzebywałaś moje rzeczy? To jak było?
- Pomyliłam się, kiedy wracałam z kolacji.
- To dokąd chciałaś później iść? Na kurewstwo czy na pijaństwo? Może strzykaweczkę w żyłkę? – zakpiła. – A gdzie jest twój braciszek?
- Pewnie śpi.

– Na pewno?

Agata podeszła bliżej do Renaty i od razu poczuła od niej alkohol.

– Miałam rację, znów piłaś. Mieliście tego nie robić. Taka była między nami umowa. Znów wszystko spierdoliłicie.

– Tylko kieliszek wina. Daję słowo.

Agata jedynie westchnęła i poszła do pokoju obok sprawdzić, czy Marek śpi. Renata ruszyła za nią.

Owszem, spał, a obok łóżka leżała pusta butelka po brandy. Był tak pijany, że nawet zapomniał ją ukryć. Agata spojrziała na zegarek, późno. Kiedyś to wszystko z dnia na dzień pierdolnie, spakuje swoją walizkę i wyjedzie.

– Za trzy godziny mamy samolot. Jeśli w godzinę nie ogarniesz braciszka na tyle, żeby mógł do niego wsiąść, zostawiam was i lecę sama. Mam już serdecznie dość ciągłego wam matkowania. Trudno, stracę kasę, ale wy, o ile wiem, straciecie dużo więcej i ekspressem wróćcie do waszego posranego życia. Wasz wybór – oznajmiła sucho, po czym wyszła z pokoju, na koniec trzaskając drzwiami.

Była wściekła. Znów dała im szansę i znów zawiedli. Spakowała swoje rzeczy, co zajęło jej chwilę, poszła do łazienki i usiadła przed lustrem. Czowała, jak znów drżą jej ręce, cała się w środku trzęsła. Sięgnęła po vicodin, zwiększyła dawkę o jedną pastylkę. Tym razem zadziałał szybko. Zza ściany dochodziły odgłosy dzikiej awantury. Renata szarpała się z Markiem. Słychać było jego pijacki bełkot i jej skrzekliwy głos. Ile czasu jeszcze z nimi wytrzyma?, zastanawiała się. Chwilami miała ochotę wejść do ich pokoju i po prostu ich zastrzelić. Mała by to była strata dla świata, a dla niej żadna.

Po godzinie, ciągnąc walizkę za sobą, zajrzała do ich pokoju. Byli gotowi, a zatem tym razem groźby poskutkowały.

– Wkurwiasz nas. Mamy ciebie i tego twojego Georga dość – zakomunikował jej Marek.

To nie było nic odkrywczego.

– Nie bardziej niż wy mnie, ale musicie jeszcze trochę czasu ze mną wytrzymać. Mamy robotę i dopiero wtedy, kiedy biskup zamknie interes, będziecie mogli robić to, co wam się żywnie podoba, ale teraz nie pozwolę spierdolić tego biznesu, bo za to mi płaci. A więc z pretensjami idźcie do tatuśka, nie do mnie. Teraz zbierajcie dupska, bo lećmy do Rzymu, a stamtąd do Warszawy.

– Nigdzie z tobą nie jadę. – Renata niespodziewanie się zbuntowała.

– Jeśli nie pojedziesz, to zaraz zadzwonię do klechy, a on co zrobi? Nie wiesz? Zablokuje ci twoje konto bankowe. Wiesz, co to dla ciebie będzie znaczyć? Od razu na powrót wylądujesz w rynsztoku, i to tu w Wenecji, bo nie będzie cię nawet stać na bilet do Malagi. A zatem, moja droga, decyzja należy do ciebie.

Chciała dopowiedzieć „szmato”, ale ugryzła się w język. Nie było sensu dodatkowo podgrzewać atmosfery, skoro i tak już kipiało. Sama się sobie nieraz dziwiła, że wszystko to udaje jej się jakoś ogarnąć przy takiej obopólnej niewiści. Gdyby nie Georg i jego pomoc, pewnie by się poddała, mimo że bardzo potrzebowała tych pieniędzy.

Jej przemowa najwyraźniej ostudziła Renatę, która chwyciła walizkę. Agata zaś znów poczuła delikatne drżenie dłoni. Musiała ponownie zażyć swoje lekarstwo. Dyskretnie, tak, żeby nikt tego nie widział, łyknęła vicodin.

Kiedy opuszczali hotel, jej uwagę przykuła nienaturalnie wypchana torba podróżna Marka. Pewnie znów ukradł ręcznik hotelowy, a być może jeszcze coś. W Budapeszcie, gdzie tydzień temu mieli zlecenie, prócz szlafroka wyniósł z hotelu mydelniczkę i szklanki na napoje. Gdyby telewizor zmieścił się do walizki, to pewnie i on by razem z nim pożegnał hotel. Czy wszyscy Polacy to robią? Czy to ich jakiś sport narodowy?, zastanawiała się, ciągnąc Georga na smyczy.

Podróżowanie z nim było bardzo kłopotliwe, bo zawsze, kiedy oddawała go do luku bagażowego, w jego oczach widziała pretensję. Nie potrafiła mu wytłumaczyć, że w kabinie nie może lecieć, że nie pozwalają na to przepisy.

POLSKA

POZNAŃ

Pociąg z Warszawy dotarł do Poznania tuż przed godziną dwudziestą. Z impetem wjechał na stację, po czym prężnie zapiszczały hamulce, ale rozpedzone wagony mknęły i wydawało się, że nigdy nie zdołają się zatrzymać. W pewnej chwili skład znieruchomiał. Natychmiast rozległ się łoskot raptownie otwieranych drzwi i gromada podróżnych wysypała się na pusty peron. Wśród nich byli Agata z bękartami, no i oczywiście Georg. Z dworcowych głośników słychać było jakieś rytmy splecione z piskliwym głosem wokalisty.

Przez twe oczy, twe oczy zielone oszalałem
Gwiazdy chyba twym oczom oddały cały blask
A ja serce miłości spragnione ci oddałem
Tak zakochać...

Agata poczuła nagle silny ból w uszach, dosłownie je rozdzierający. W tym momencie miała wielką ochotę wyjąć glocka, wygarnąć z niego do głośników i skończyć tę męczarnię.

Wyszli przed budynek dworca i wsiedli do pierwszej z brzegu taksówki, starego mercedesa okularnika w kolorze piaskowym. Kierowca umieścił ich bagaż w kufrze auta i pojechali do hotelu. Podczas jazdy przez miasto czuć było zapach smażonego oleju słonecznikowego. Agata wiedziała, w czym rzecz, taksówkarz zamiast drogiej, trującej ropy używał oleju jadalnego, chyba tylko mercedes był w stanie wytrzymać ten ekologiczny eksperyment. Od razu przypomniało jej się Maroko z tysiącami identycznych mercedesów. Czego to ich właściciele z nimi nie wyczyniali? Poczawszy od wrywania siedzeń i zastępowania ich ławkami, tylko po to, żeby się więcej pasażerów zmieściło, po różne karkołomne modyfikacje nadwozia. Ich wyobraźnia nie znała w tym żadnych granic. W Unii Europejskiej coś takiego by nie przeszło.

Mieli rezerwację w hotelu na obrzeżach starówki. Nocleg na trzy gwiazdki, a więc powinno być w miarę przyzwoicie. Podczas meldunku doszło do małego zgrzytu. Recepcjonistka długo nie mogła zrozumieć, że Georg to nie jest zwykły pies, tylko Georg, ale w końcu zgodziła się na jego obecność w pokoju.

Następnego dnia rano byli umówieni u pewnego biskupa. To on był ich następnym klientem. Hierarcha kościelny był już jedną nogą na tamtym świecie, ale będąc jeszcze w pełni świadomy, zdążył zamówić sobie luksusowy seans. Jakim cudem było go na to stać? To przecież bardzo droga usługa, właściwie tylko dla bogaczy. Pewnie parafianie się złożyli. Pytanie, czy wiedzieli, na co poszły ich pieniądze? Agata podejrzewała, że nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Tym razem bękartki poszły spać zaskakująco wcześniej, najwyraźniej zmogła ich podróż, a być może brak alkoholu, i to aż od dwudziestu czterech godzin, dodatkowo osłabił ich organizmy. Agata postanowiła to wykorzystać. Była ciekawa, co sobie na moment śmierci zażyczył dostojnik kościelny, i po kryjomu zajrzała do czarnej skórzanej teczki, gdzie znajdowała się szczegółowa dokumentacja zlecenia. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale od czasu śmierci Hendersona postanowiła się wszystkim bliżej przyglądać. Po zaznajomieniu się ze wszystkim zdumiała się ogromnie. Czegoś takiego wcale się nie spodziewała. Biskup chciał być kobietą, młodą, piękną kobietą, za którą szaleliby mężczyźni. Miała ona prowadzić spokojne, ustabilizowane życie pozbawione wszelkich trosk.

Schowała wszystko na powrót, złożywszy papiery dokładnie tak samo, jak były poprzednio. Zajrzała także do walizki z aparaturą, ale nic podejrzanego w niej nie odkryła. Spojrzała na zegarek, była dopiero godzina dziewiąta, więc wymknęła się z pokoju i zeszła do restauracji. Georga zostawiła w pokoju na straży, tak na wszelki wypadek, gdyby się ktoś obudził i zapalał chęcią przepłukania gardła czymś mocniejszym. Za dobrze jeszcze pamiętała wydarzenia w Wenecji, by pozwolić sobie na chwilę nieuwagi.

Lokal był ładny, wystrój w tonacji beżu i brązu, okna z widokiem na starówkę i poznański ratusz. Siadając przy jednym ze stolików, zdziwiła się, bo mimo późnej pory większość z nich była zajęta. Natychmiast zjawiał się kelner, młody pucułowaty chłopczek w czarnych spodniach i śnieżnobiałej koszuli, przynosząc listę dań. Nawet na nią nie spojrzała, bo wiedziała, że nie wyczyta z niej, co jest specjalnością restauracji, a co należy omijać szerokim łukiem. Cena też nie zawsze była gwarantem jakości.

– Co mi pan proponuje, bo jestem bardzo głodna?

– Oczywiście polędwiczki z ziemniaczkami purée, karmelizowanymi gruszczkami i sosem, nie będzie pani rozczarowana, to gwarantuję – odparł z szerokim uśmiechem na twarzy. To było szczere, a zatem przekonujące. Nie było się nad czym zastanawiać.

– Dwie porcje proszę, ale jedna na wynos.

Musiła zadbać i o Georga.

– Na wynos? – zdziwił się.

– No tak, druga dla mojego psa.

Kelner nisko się uklonił, coś mruknął do siebie pod nosem, pokręcił głową i się oddalił.

Faktycznie, polędwiczki były wspaniałe. Migiem się z nimi rozprawiła, uregulowała rachunek, zabrała jedzenie dla psa i wróciła do pokoju. Wszyscy spali, nawet Georg, więc i ona się położyła, choć najpierw, tak jak codziennie, posmarowała maścią blizny. Kiedy sięgnęła po vicodin, odkryła z przerażeniem, że nie wiadomo kiedy buteleczka się otworzyła i część jej zawartości gdzieś bezpowrotnie przepadła. Trzeba będzie zorganizować sobie coś zastępczego. Nie pierwszy raz miała ten problem i wtedy zawsze sięgała po tramal, ostatnią deskę ratunku.

Nazajutrz już przed ósmą rano byli na nogach. Zjedli śniadanie i opuścili hotel. Do pałacu biskupa mieli kawał drogi, więc wzięli taksówkę. Georg tym razem został w pokoju hotelowym, takie było życzenie duchownych. Oby tylko w tym czasie nic nie spsoił, bo kiedy długo nie widział Agaty, bywało, że popadał w swoistą depresję i darł zębami na strzępy tapicerkę mebli, a te nie należały tu do najtańszych.

Minęli kilka hoteli, jakąś szkołę, pomnik jakiegoś mężczyzny, przejechali mostem, tym samym przeprawiając się na drugi brzeg Warty, i w końcu po kwadransie jazdy dotarli na miejsce, przed potężny budynek koloru kanarkowego, z zielonym dachem. Po opuszczeniu taksówki skierowali się do wejścia, by zatrzymać się przed potężnymi drewnianymi drzwiami. Idąc do klienta, zawsze trzymali się ustalonego porządku, tak było i tym razem. Bękarty stanęły trzy kroki za Agatą. Wcisnęła przycisk dzwonkowy, zazgrzytał elektryczny zaczep i wejście do pałacu biskupa stało przed nimi otworem. Weszli do środka.

W pałacu zastali surowy wystrój z elementami luksusu, jak choćby piękne kryształowe żyrandole zwisające z sufitu. Na pewno były warte krocie. Na ścianach wisiały portrety jakichś dostojników kościelnych. Nie zdążyli się wszystkiemu dobrze przyjrzeć, kiedy jak spod ziemi wyrósł przed nimi chudy jak szczapa bardzo młody ksiądz, a może jeszcze kleryk, gołowąs o krótkich ryżawych włosach wystrzyżonych na języka i śmiesznych dużych, odstających uszach. Chłopak patrzył na nich płochliwym wzrokiem. Agata zerknęła na jego dłonie, którymi wciąż pocierał, tak jakby mu było w nie zimno. To typowy nerwowy odruch, a zatem wiedział, co ich tu sprowadza, choć może nie do końca.

– Jego Ekscelencja czeka na państwa – oznajmił cichym, drżącym głosem i poprowadził ich długim korytarzem, którego podłogę wyłożono dębową klepką. Weszli na schody, wykonane z pięknego kamienia, ich balustrady były kute, z motywami roślinnymi, liście, grona winogron, stara porządna rzemieślnicza robota, w dzisiejszych czasach próżno szukać takich fachowców. Na piętrze zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Duchowny zapukał, uchylił je i gestem ręki zaprosił Agatę do środka. Sam zaś razem z bękartami został na korytarzu. Na razie wszystko odbywało się zgodnie z wcześniej ustalonymi procedurami.

Agata rozejrzała się ciekawie po komnacie, bo inaczej się nie dało nazwać tego wysokiego pomieszczenia wypełnionego starymi, ciężkimi meblami wykonanymi ze szlachetnych odmian drewna. Wismukłe okna otulone były grubymi welurowymi zasłonami, z sufitu zwisał piękny kryształowy żyrandol, a pod staroświeckim baldachimem stało szerokie łóżko.

W łóżku leżał biskup, przykryty grubym, gęsto haftowanym pledem, a tuż obok stał stojak z kroplówką. Agata podszła bliżej. Hierarcha chyba usłyszał jej kroki, gdyż się poruszył. Zauważył ją, uśmiechnął się zapewne grzecznościowo, bo trudno było się spodziewać, że z czystej sympatii. Agata za dobrze wiedziała, jak Kościół katolicki widzi rolę kobiety we współczesnym świecie, choć i tak było z tym ciut lepiej niż w islamie, bo tam kobieta była nikim. Miała tyle praw, co wielbłąd u Araba, a może nawet mniej.

Biskupa trawiła śmiertelna choroba. Brutalnie pastwiła się nad jego organizmem, nawet twarzy nie oszczędziła, bo pokrywały ją wielkie, wrzodzące rany.

– Nie mogłem się pani doczekać – wyszeptał z wyraźnym trudem. – Bałem się, że będzie za późno, że już pójdę do Pana.

– Niepotrzebnie. My zawsze jesteśmy na czas, mamy pakt ze śmiercią – rzuciła żartobliwie i usiadła na rancie łóżka, po czym położyła sobie na kolanach mały notebook.

Duchowny poruszył się niespokojnie, zdziwiony jej ekwipunkiem. Pewnie się zastanawiał, na co jej ten komputer, a powód był banalnie prozaiczny.

– Czy Wasza Eksceleńcja wpłacił umówioną kwotę? – spytała.

– Tak, zgodnie z umową. Moje słowo to słowo dostojnika Kościoła.

– Tym bardziej muszę to sprawdzić – odparła z nieskrywaną drwiną w głosie.

Weszła na stronę banku i skontrolowała wpływy. Faktycznie, był przelew z poznańskiej kurii. Kwota się zgadzała, tylko opis wzbudził jej zdziwienie. „Opłata za pomoc w usługach duszpasterskich”. Kurwa mać, co to jest? Nigdy by tak tego nie nazwała.

– Pani wie, jakie miałem życzenie?

– Owszem. Co nieco wiem – odburknęła, wyłączając komputer. Nie chciała wchodzić z duchownym w żadne dysputy.

Chyba był zawiedziony jej obojętnością. Pewnie spodziewał się jakichś pytań, próśb o wyjaśnienia, ale nic z tego, bo on jej zupełnie nie obchodził. Dla niej był kolejnym zwykłym bogatym klientem, który za grube miliony zafundował sobie komfortowe zejście z tego świata, nikim więcej.

– Nie zaskoczyło to pani?

Zaśmiała się w głos.

– Nic mnie już nie może zaskoczyć. Przez ostatnie lata widziałam już chyba wszystko.

Biskup robiący sobie dobrze za pieniądze parafian to nic nowego. Dzieje się tak od setek lat. Wiodą luksusowe życie, zupełnie oderwani od rzeczywistości.

Ich spojrzenia się spotkały. W jego oczach Agata ujrzała strach. Dobrze, niech się boi. Za ten milion euro mógłby nakarmić setki biednych ludzi.

– Będzie bolało?

Wzruszyła ramionami. Co za pytanie? A skąd mogła to wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, Wasza Eksceleńcja powinien jako duchowny o tym wiedzieć lepiej ode mnie. Czyż nie towarzyszył swoim parafianom w ich ostatniej drodze? Czy nie był świadkiem oddawania ostatniego tchnienia?

– To było dawno temu – wyszeptał.

– Może zbyt dawno. – Nie omieszkała natychmiast wbić mu kolejnej szpili.

– Może. – Biskup ze smutkiem pokiwał głową. – Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. Nie powinienem być zostać księdzem, to nie było moje powołanie.

Spojrzała na niego ciekawie. To ją zainteresowało.

– To czemu tak się stało? Chyba nie pod przymusem?

– Może trochę? Rodzina, nacisk mamy, ona była bardzo religijna i zaszczerpiła we mnie miłość do Boga. Wychowałem się w tuż powojennej rzeczywistości. Musiałem coś ze sobą zrobić. Nie dość, że nie akceptowałem siebie w skórze mężczyzny, to jeszcze musiałem odnaleźć swoją drogę wśród gruzów powojennego świata. To były ciężkie czasy, prześladowania polityczne, bandytyzm. Za byle co ładowałem w więzieniu. Byłem tym wszystkim przerażony i chciałem na zawsze zniknąć za murami zakonu, ale mnie tam nie chcieli, wydalili mnie po miesiącu. Poszedłem więc do seminarium. Skończyłem je, a że byłem ambitny, to awansowałem. Później były studia w Lublinie, Watykanie, a na koniec zostałem biskupem. Muszę powiedzieć, że w erze skandali w Kościele mogłem chodzić z podniesionym czołem, bo przez całe życie trzymałem wszystkie swoje skłonności na krótkiej smyczy.

– Czemu mi Wasza Eksceleńcja to wszystko mówi? Nie jestem jego spowiednikiem. Jestem niewierząca, a zatem i na rozgrzeszenie ode mnie nie można liczyć.

– Muszę się przed kimś otworzyć, potrzebuję tego w tym szczególnym momencie.

– Trzeba było poprosić kogoś z księży. Oni na pewno z chęcią wszystkiego wysłuchają i jeszcze chętniej udziela rozgrzeszenia – rzekła z przekąsem.

– Nie mogę, to tylko moi podwładni. Zrobią, co każę, a tu tak nie powinno być.

– Proszę się uspokoić, w takim stanie emocjonalnym nie można przekroczyć...

– Styksu?

– Biskup nie mówi o raj, tylko o pogańskiej rzece oddzielającej świat żywych od świata umarłych. Tak nie wypada, tym bardziej w obecnej sytuacji.

– Mnie już wszystko wypada. Zawsze lubiłem historię, a szczególnie mitologię. Jakże barwna była religia Greków. Im więcej o tym wszystkim myślę, tym bardziej zaczynam powątpiewać w istnienie raju, a wasza działalność rodzi w tej materii jeszcze więcej pytań, zaś odpowiedzi wciąż brak.

– To jest tylko projekcja, nic więcej. Nie ma nic wspólnego z życiem po śmierci i kończy się w momencie zgonu. Proszę nie wierzyć broszurom. To, co tam jest napisane, to stek bzdur. Papier wszystko wytrzyma.

– Sam już nie wiem, w co wierzyć. Różnie się o tym mówi. Biskup Pakulski jest zaufanym człowiekiem papieża, a ten przecież ma dostęp do najskrytszych tajemnic Watykanu.

Agata jedynie pokiwała głową. Biskup najwyraźniej, tak jak poprzedni klienci, usilnie chciał w to uwierzyć i nie zamierzała go od tego odwozić. Niech wierzy, w co chce, nawet w złotego cielca. To nie jest jej sprawa.

Schowała notebook do torby i wyszła. Teraz przyszła kolei na bękarty. Weszli do apartamentu, zamykając starannie drzwi za sobą. Marek ze srebrnej walizki, z którą przyszedł, wyjął kilka kabli zakończonych przyssawkami i specjalne okulary, które nakładało się klientowi na oczy. Przyssawki przyczepiano mu do głowy, dwie do czoła i dwie do skroni.

Biskup w napięciu obserwował jego poczynania.

– Będę młodą, piękną kobietą? Tak? – spytał drżącym głosem.

Jeszcze się upewniał co do wykupionego przez siebie programu.

Renata posłała mu szeroki uśmiech.

– Oczywiście. Wszystko odbędzie się zgodnie z planem. Proszę się nie niepokoić.

Kiedy Marek w końcu uporał się z podłączaniem aparatury, jego siostra wprowadziła jakiś kod do urządzenia z wyglądu przypominającego nieduży komputer. Biskup chwilę leżał bez ruchu, ale zaraz coś dziwnego zaczęło się dziać z jego ciałem. Przechodziły przezeń drgawki, szarpał się. Jeszcze chwila i zwał się z łoża na podłogę.

– Przytrzymaj go! – krzyknęła przerażona Renata. – Za żadne skarby nie można tego przerwać! Do cholery, co się z nim dzieje? Nigdy tak nie było.

– Nie wiesz? – Marek się zaśmiał. – Ojciec ci nie mówił? To zmodyfikowany program, specjalnie dla niego. Tatusiek odgrywa się na nim za jakieś stare sprawy. Ponoć kiedyś mu bardzo zaszkodził. Teraz jest piękną Żydówką i przeniesiono go na początek lat czterdziestych w sam środek Generalnej Guberni. Ciekawe, jak sobie poradzi w tamtych czasach.

– Przecież to tylko wirtualna rzeczywistość, nic więcej. Taka forma zabawy.

– Ojciec mi powiedział, że wirtualna rzeczywistość niczym się nie różni od prawdziwej. Droga, którą biskup przejdzie od warszawskiej ulicy przez Treblinkę aż do wejścia do komory gazowej, niczym nie będzie się różnić od przeżyć tysięcy Żydów zagazowanych przez faszystów. Pewnie teraz się już nieźle bawi, może jest właśnie w transporcie do obozu, ale nic nam do tego. To sprawa między nimi.

Z obskurnego podwórza otoczonego zrzuconymi kamienicami wyszła na ulicę młoda kobieta. Bujała się na nogach, co chwila przytrzymywała się ścian okolicznych domów. Płochliwie rozglądała się wokoło.

– Gdzie ja jestem? – szeptała sama do siebie. Oglądała swoje ręce, patrzyła na ubranie. Podeszła do wystawy pobliskiego sklepu i zobaczyła swoje odbicie w szybie. Mimo zniekształceń widziała w niej ładną młodą kobietę z burzą czarnych kręconych włosów.

– A jednak. Jestem kobietą, wreszcie.

Nagle jej wzrok przykuł pewien emblemat, gorąco uderzyło jej do głowy. To niemożliwe! Spojrzała w bok na swój rękaw, na widniejącą na nim opaskę. Charakterystyczna gwiazda Dawida kłuła ją w oczy, jakby ktoś lał jej w nie kwas.

– Tylko nie to, tylko nie Żydowa. Oszukali mnie! Przeklęty Pakulski. A ja mu zaufałem!

– *Halt! Halt!* – usłyszała zza pleców. Odwróciła się, zdezorientowana. Przed nią stał mężczyzna w czarnym mundurze.

Gdzie ja jestem? Przecież to jakaś paranoja! Wojna się skończyła osiemdziesiąt lat temu, co tu robi ten esesman?

– *Jude! Jude!* – krzyczał żołdak. Podbiegł do kobiety i zaczął ją okładać szpicrutą po twarzy. Zasłoniła się ręką, wtedy ją pchnął, zatoczyła się, aż w końcu się przewróciła. Skuliła ze strachu. Zaczął ją kopać, czuła jego ciężkie wojskowe buty na całym ciele. Bolało, bardzo bolało. Esesman zawołał przechodzących w pobliżu żołnierzy, podbiegł dwóch z nich. Chwycili ją i zaciągnęli w pobliską bramę. Śmiali się, coś wykrzykiwali po niemiecku, ale tego nie rozumiała, obrzydliwy zapach czosnku z ust jednego z nich był nie do zniesienia. Rzucili ją na ziemię i brutalnie zerwali z niej ubranie, jeden z nich nachylił się nad nią, broniła się z całych sił, ale to było za mało, przygniótł ją swoim ciałem, a po chwili poczuła silny ból w kroczu.

Agata zbliżyła się do okna, oparła o parapet i sięgnęła po cygaro. Akurat przechodziła zakonnica. Rzuciła jej surowe, zgorzone spojrzenie, ale Agata się tym wcale nie przejęła, a kiedy zobaczyła, jak tamta się przeżegnała, z trudem pohamowała się, żeby nie parsknąć śmiechem. Witaj, zaścianku Europy. Wyjrzała przez okno na ulicę i zobaczyła zbiegowisko, tłum ludzi odświętnie ubranych, składano wiązanki przy murze pobliskiej świątyni. Widziała żołnierzy wyprostowanych jak na paradzie. Trzymali w dłoniach karabiny. Kiedyś na misji spotkała pewnego Polaka. Dużo jej opowiadał o jej rodakach. Mnóstwo dziwnych rzeczy, jak choćby to, że często głównie tragedie narodowe, że nie potrafią się cieszyć z sukcesów. Ciekawe, jaką porażkę dziś świętują?

Czas biegł bardzo wolno. Agata co chwila zerknęła na zegarek. Ze strachem myślała o Georgu, czy przypadkiem podczas jej nieobecności nic nie nawywił. Bękarty w końcu opuściły apartament biskupa. Oboje byli w wyśmienitych humorach. Co mogło ich w nie wprawić? Śmierć klienta? Byli głupi, prymitywni, ale jak dotąd nie przechodzili obojętnie obok czyjejś śmierci. Co się tym razem zmieniło? Poczula od nich odór alkoholu i od razu wszystko stało się jasne. Dobrali się do barku biskupa. Procenty rozwiązały im języki i wracając, opowiedzieli Agacie o dowcipie Pałkowskiego, jak zemścił się na umierającym.

Po wysłuchaniu ich opowieści, krew się w niej zagotowała. To było obrzydliwe draństwo! Już od początku całe to przedsięwzięcie budziło w niej mnóstwo wątpliwości, szczególnie etycznych. Według niej taka usługa nie powinna być świadczona, a tym bardziej przez duchownego. Umierający byli bezczelnie oszukiwani, mamieni jakimś trudnym do zidentyfikowania życiem po śmierci, wirtualnym rajem czy czymś w tym rodzaju. Trudno tu było znaleźć inną, trafniejszą nazwę aniżeli przekręt, i to za duże pieniądze. Najgorsze w tym było to, że siedziała w samym środku tego gówna i nie bardzo wiedziała, jak z niego się wydostać, bo bardzo potrzebowała pieniędzy. Jeden z profesorów, u którego była rok temu na konsultacji, powiedział jej między wierszami, że musi się spieszyć z operacją. Że im później zostanie przeprowadzona, tym większe jest ryzyko, że się nie uda.

Od niedawna nie dawała jej spokoju jeszcze jedna myśl: dlaczego ci ludzie umierali akurat w trakcie projekcji? Znała się na nowoczesnych elektronicznych zabawkach dla dorosłych, sama nieraz bawiła się symulatorami, które potrafią perfekcyjnie oszukać ludzki umysł, ale one same w sobie nie były niebezpieczne. Owszem, w tej konkretnej sytuacji używali ich ludzie ciężko chorzy i być może to był czynnik decydujący. Wcześniej nie miała dużo czasu na zastanawianie się nad tym, bo miała inne problemy, co chwila musiała bękarty przestawiać na odpowiednie tory, co i raz wyciągać ich ze sklepów z alkoholem, tropić po barach, restauracjach, a Renatę jeszcze w Tarifie wygoniła z łóżka jakiegoś surfera o egzotycznym nazwisku i zakazanej gębie. Jak się później okazało, tamta złapała od kochania pewną chorobę, raczej mało egzotyczną. Skończyło się to serią drogich zastrzyków, na które Agata musiała ją wozić blisko pięć kilometrów. Teraz chciała porozmawiać z bękartami o tych dziwnych zejściach.

– Musimy pogadać, jeździmy razem od pewnego czasu, więc powinniśmy być wobec siebie szczerzy – zaczęła. – Powiedzcie mi, dlaczego ci ludzie umierają akurat podczas projekcji? Tego wciąż nie rozumiem. To jest dla mnie jakaś dziwna sprawa. Czy wiecie na ten temat coś więcej niż ja?

– Są umierający, to umierają. To chyba normalne? Jak będziesz umierać, to ci po znajomości podłączę to urządzenie w gratisie – zakpił Marek i rzucił krótkie, niespokojne spojrzenie Renacie. Nie uszło ono uwadze Agaty.

– A ty co powiesz? – zwróciła się do tamtej.

– To samo, co Marek – wydukała. – Oni są na wykończeniu, więc niedużo im potrzeba.

– Nic więcej? To wszystko?

– A co mamy powiedzieć? Chyba nie myślisz, że ich wykańczamy? – Marek nagle podniósł głos.

– Pytam, bo może robicie coś, czego nie jesteście do końca świadomi? Wasz ojciec to kawał sukinsyna i nic mnie nie zdziwi.

– Uważasz nas za kretynów!?

– Dobra, nie chcę awantury, pakujcie się, ja muszę jeszcze coś załatwić.

Wyszła przed hotel i zadzwoniła do Kingsleya.

– Co tam u ciebie? – Rozmowę z nią zaczął od standardowego pytania.

– W porządku, ale...

– Ale masz kłopoty? – wszedł jej w słowo. – Wycofaj się, mówiłem ci, że to śmierdzi. A co z wynikami twoich testów DNA?

– No właśnie, dostałam maila, że próbki nie dotarły, że zaginęły po drodze i proszą o nowe.

– Zmień laboratorium, przysyłę ci adres tego, z którego nieraz korzystałem podczas identyfikacji zwłok. Powołaj się na mnie, to dostaniesz spory opust. Oni są pewni i, co ważne, szybcy.

– Tak też zrobię. Muszę ci wyznać, że myślę o wycofaniu się z tego zadania. Spłaciłam wszystkie długi i mogę dać sobie nową szansę. Może innym razem zarobię na tę operację.

– Propozycja pożyczki jest wciąż aktualna. Co zamierzasz zrobić? Tylko mi nie mów, że znów będziesz prywatnym detektywem? Mało się psów i kotów naszukałaś? Wiesz, że powinnaś zmienić miejsce zamieszkania, bo już za dużo osób zna twój aktualny adres? Pamiętaj, oni cię wciąż szukają i łatwo nie odpuszczą. To pojebusy jakich mało. Gdybym mógł, tobym ich wszystkich wytłukł.

– Cholerny Pakistan. Codziennie klnę, że tam pojechałam, ale mimo to nie żałuję, bo dorwaliśmy tego skurwysyna. Tak czy owak nie mogę wciąż uciekać, zresztą muszę to wszystko jeszcze na spokojnie przemyśleć.

– Koniecznie to przemyśl. Znalazłem dla ciebie spokojną przystań, ale na innym kontynencie. W każdej chwili możesz przy niej zacumować, wszystko zależy od ciebie. Tam ciebie nie znajdą. To ci gwarantuję.

– Czy masz na myśli księżyc? – zakpiła. – Dziękuję za troskę, ale jestem realistką. Wszędzie mogą mnie znaleźć. Przecież w kosmos mnie nie wystrzelisz. Muszę liczyć na szczęście i nic więcej. Mam do ciebie prośbę. Wiem dobrze, że masz w Wenecji jeszcze kilku kolesi na stanowiskach. Potrzebuję wyniku sekcji zwłok Franka Hendersona. Możesz mi je załatwić?

– Ale on zmarł na raka. Na cholerę ci one? – zdziwił się.

– Chcę się z nimi zapoznać.

– Nie rozumiem. Mów, co ci leży na wątrobie. Masz jakieś wątpliwości?

– I tak, i nie. Załatw mi to.

– Zobaczę, co da się zrobić.

WŁOCHY

SYCYLIA

W Palermo, jak to w Palermo w sierpniu, upał był nie do zniesienia. Słońce wiszące prawie pionowo nad głowami zalewało żarem swoich promieni białe kamieniczki starego miasta i wijące się między nimi wąskie uliczki wyłożone kamiennym brukiem. Agata zatrzymała samochód przed jednym z budynków przy Piazza Principe di Camporeale. Nawigacja wskazywała, że to ten adres, że to cel ich podróży. Dom ich następnego klienta na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniał wśród innych stojących dokoła. Może tynk był ładniejszy, okna nowsze, świeżo pomalowane zielone okiennice, gęste pnącza wijące się do pierwszego piętra, może solidniejsze drzwi wejściowe, duże, dwuskrzydłowe, których pilnowali dwaj postawni mężczyźni w białych koszulach i luźnych jasnoszarych marynarkach, co przy tym upale było dla ich organizmów sporym wyzwaniem.

Wysiedli z samochodu. Marek wskazał ręką jakąś budkę przy ulicy.

– Może najpierw zjemy po lodzie? – zaproponował.

– Świetny pomysł – podchwyciła Renata.

– Dobrze, kupcie sobie lody, ja zapalę cygaro. – Agata, choć niechętnie, przystała na propozycję. Nie mogła im bez przerwy wszystkiego zabraniać czy ich strofować. To źle wpływało na atmosferę w zespole, która i tak wciąż była kiepska.

Patrzyła na nich, jak szli ulicą. Chód mieli identyczny, ale i z twarzy byli podobni. Tu nie trzeba było żadnych badań DNA, to był pomiot biskupa. Zastanawiała się, czy uda im się wyjść na prostą. Sporo nad nimi pracowała, żeby nie pili, a Renata strzykawki nie widziała od kilku miesięcy. Pewnie nie była jeszcze silnie uzależniona od heroiny, bo inaczej nie poszłoby tak łatwo. W Afganistanie w oddziale kilku kolegów brało, i to sporo. Najgorzej było, kiedy się naćpali i szli na akcję. Wtedy trudno było nad nimi zapanować. Dwóch z nich zginęło, a pozostali skończyli na odwyku w Ameryce w zakładach zamkniętych. Jaki był ich dalszy los? Tego Agata nie wiedziała.

Bękarty zjadły lody, ona w tym czasie wypaliła cygaro. Teraz mogli iść i zrealizować zlecenie.

– Macie zachowywać się poprawnie. Nawet nie ważcie się zaglądać do barku klienta. To może być mafioso. Chyba każde z was oglądało Ojca chrzestnego? Z nimi nie ma żartów. Oni takich jak wy łykają na śniadanie. Robimy, co trzeba, i spierdalamy stąd. Zrozumieliście? – Patrzyła na nich w oczekiwaniu na jakąś reakcję z ich strony. Tylko wzruszyli ramionami. Chyba nie oglądali tego filmu, szkoda.

Wzięła Georga na smycz i poszła przodem. Podeszła do drzwi kamienicy. Jeden ze strażników zagroził im drogę. Nie musiał się odzywać, jego postawa mówiła wszystko. „Spadaj! Tu nie ma wstępu. Chyba nie chcesz kłopotów?”.

Na Agacie nie zrobiło to bynajmniej żadnego wrażenia, na Georgu tym bardziej, co zademonstrował, pokazując kły i groźnie warcząc. Bękarty tak na wszelki wypadek cofnęły się za nią i czekały na rozwój wypadków.

– Don Batista oczekuje nas. Nazywam się Agata Reck. Jesteśmy z „Pomocnej dłoni” – rzekła beznamiętnym głosem, rzucając goryłom zaczepne spojrzenie.

Mężczyzna, choć z ociąganiem, odsunął się na bok. Na chwilę rozsunęły mu się poły marynarki i Agata kątem oka zauważyła rękojeść pistoletu wystającą zza paska spodni. To była beretta APX, ulubiona broń włoskiej policji. Właściciel pistoletu na funkcjonariusza jednak nie wyglądał. Miał za tępą gębę nawet jak na policjanta.

– Bez psa – burknął.

– To jest członek zespołu – odparła i weszła do kamienicy. Mijając goryla, poczuła od niego zapach tanich męskich perfum. Skrzywiła się z niesmakiem. Czy nie stać go na lepsze?

W środku piękna posadzka wykonana ze szlachetnych odmian marmuru, co tu nie było czymś wyjątkowym, bo jak niektórzy powiadają – Włochy winem i marmurem stoją. Ściany zdobiły obrazy w ciężkich złoconych ramach, pewnie oryginały znanych malarzy. Głównie były to portrety. Kogo przedstawiały? Agata nie miała zielonego pojęcia. Meble ciężkie, stylowe, a za szybami regałów książki w złoconych obwolotach. Ciekawe, czy właściciel kupił je ze względu na wygląd czy zawartość? Nie trzeba było być znawcą, żeby się zorientować, jak bogate jest to wnętrze. Wszystko to, cały ten przepych, traciło znaczenie czy wartość w obliczu tego, co spotyka każdego w chwili śmierci, bo wszystko tu zostaje, w zaświaty idziesz tak, jak się urodziłeś – goły.

Nie wiadomo skąd zjawiała się przysadzista starsza kobieta z siwymi włosami zaczesanymi w kok, skromnie ubrana, w śnieżnobiałym fartuszku opinającym jej sporych rozmiarów talię.

– Proszę za mną – rzuciła głosem, w którym Agata, świetnie znająca włoski, w mig wychwyliła obcy akcent.

Ruszyli długim holem. Stukot ich butów odbijał się od ścian i sufitu, po czym spotęgowany wracał i dudnił im w uszach. Doszli do jakichś drzwi. Były zamknięte. Bękarty tu zostały, a Agata z Georgiem udali się dalej. Weszli do pokoju ze ścianami pokrytymi bardzo kolorowymi, wzorzystymi tapetami przedstawiającymi bohaterów popularnych bajek. Byłumeblowany meblami dziecięcymi, z półek spoglądały na nich pluszowe zabawki, było ich całe mnóstwo. Czyżby tym razem projekcja miała dotyczyć małego dziecka? Dziwne, bo w papierach widniał starzec. Znów pomyłka czy ktoś coś tu kombinował?

Służąca zauważyła jej konsternację.

– To pokój dziecinny pana, tu się wychowywał i teraz chce tu odejść – wyjaśniła szeptem i przetarła oczy chusteczką. Wyraźnie się wzruszyła, musiała być bardzo przywiązana do swojego pryncypała.

Przy oknie częściowo zasłoniętym grubą kotarą stało nieduże łóżko, na nim spoczywał mężczyzna. Był bardzo stary i bardzo wychudzony. Agata zwróciła uwagę na jego głowę, a właściwie czaszkę obciążoną skórą. Była pozbawiona włosów i sinoszara, jedynie ruchliwe gałki oczu świadczyły o tym, że ten człowiek jeszcze się nie pożegnał z tym światem, że jeszcze tliło się w nim życie. Marny to widok, na dodatek potęgowany siecią rurek i kabli, do których był ów mężczyzna podłączony. Kim był Don Batista? W dokumentach, którymi dysponowała, odnotowano, że przedsiębiorcą, dobrze pamiętała plotki, że Pakulski miał powiązania z włoską mafią, a mówią, że w każdej plotce jest część prawdy. Czyżby to był jego znajomy? Jeśli tak i jeśli stoi tu teraz przed umierającym mafiosem, to przez lata od jednego gestu jego starczej słabowitej, drżącej ręki zależało życie niejednego młodego, sprawnego człowieka, a być może i jego rodziny. Umierający delikatnym gestem dłoni kazał służącej, żeby zostawiła ich samych. Po chwili drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie.

– Czekałem na was z niecierpliwością – wyszeptał starzec. Mówienie sprawiało mu wielką trudność. Zapewne nowotwór zaatakował mu krtań lub przełyk, a być może po prostu brakowało mu już sił. Tu każda opcja była możliwa. – Kardynał Fellusconi polecił mi waszą organizację. Znam też osobiście biskupa Pakulskiego, ale to stare dzieje – kontynuował. – Umieram, a nie mam żadnej alternatywy dla waszej oferty. Wprawdzie niezbyt wierzę w to wszystko, co mi o was opowiadano, ale co mi innego pozostało? – Zaśmiał się cicho.

– Może pan z tego nie skorzysta. Zwrócimy przelew i po sprawie. Temat zamknięty.

– Jeśli z tego nie skorzystam, to na pewno będę się smażył w piekle, dobrze o tym wiem. Wasza propozycja to w moim parszywym stanie jest jak ręka podana przez samego Boga i nie mogę przejść koło niej obojętnie.

Do cholery, pewnie i jemu Pakulski wmówił, że urządzenie przeniesie go w inny, piękny świat. Sukinsyn ostro przegina, a chwilami dosłownie jedzie po bandzie. To przecież boss mafii, jeśli przeżyje seans, to natychmiast odkryje oszustwo, a wtedy lepiej nie myśleć, co się może wydarzyć.

– To tylko wymysł człowieka, nic więcej. Proszę tego nie brać na poważnie. To jedynie projekcja trzy D.

– No tak, zagalopowałem się. Bóg nie chciałby za to półtora miliona euro. On w ogóle nie potrzebuje pieniędzy.

Półtora miliona? Zaraz, zaraz, o czym on mówi? Ona ma w papierach milion. Tak jej się w każdym razie wydawało. Musiała to zaraz na gorąco sprawdzić.

Sięgnęła do teczki i na szybko przejrzała dokumenty. Było jak wół napisane – jeden milion. Ciekawe, ile faktycznie zapłacili poprzedni klienci? Czyżby te pół miliona to była jakaś specjalna prowizja dla biskupa, o której nikt nie wiedział?

Wyjęła notebook i go uruchomiła.

– Czy już zaczynamy? – spytał.

– Najpierw sprawdzę, czy dokonano wpłaty, bo po projekcji nie będzie już od kogo wyegzekwować należności.

– Harda jesteś. Czy wiesz, kim jestem?

– Nie mam pojęcia. Powiem więcej: nie chcę tego wiedzieć. Wykonuję jedynie swoją robotę. Bez potwierdzenia dokonania wpłaty usługa nie będzie zrealizowana. Płacą mi za przestrzeganie tej zasady.

Sprawdziła dwa razy. W zleceniu był milion. Pewnie reszta powinna pójść na prywatne konto biskupa, tym razem klient się pomylił i dlatego to wyszło na jaw.

– Nie widzę żadnych pieniędzy na koncie.

– To niemożliwe. Kazałem je przelać.

– Ale ich nie ma. Proszę to teraz uczynić i będzie po sprawie.

Agata pierwszy raz zderzyła się z taką sytuacją, a na dodatek w fatalnych okolicznościach, bo w budynku było kilku uzbrojonych bandziorów. Ilu dokładnie? Tego nie wiedziała. Tak czy owak było ich za dużo, bo na bękarty na

pewno nie mogła liczyć, a Georg i Glock w kieszeni też mogli nie wystarczyć.

Co ten cholerny starzec uknuł na sam koniec?

– Żeby uruchomić program, potrzeba kodów, które dostajemy od naszego szefa. On tak jak i ja sprawdza, czy pieniądze dotarły. To dodatkowe zabezpieczenie w razie komplikacji – zablokowała. – Dlatego proszę o pilne dokonanie wpłaty.

Widziała po jego minie, że i on analizuje sytuację, ale sądząc ze stolika przy łóżku zapełnionego dwoma rzędami kolorowych buteleczek z medycznymi specyfikami, nie miał już dużego pola manewru. Czas go gonił, i to bardzo. Czemu nie przelał tych przeklętych pieniędzy? Nie wierzyła, że ich nie ma. Czyżby duma mu na to nie pozwalała? W tym momencie sytuacja była patowa.

Minęło kilka minut. Wielki wentylator umieszczony przy suficie miał gorące powietrze, ale mimo to nie było tu czym oddychać. Agata wyjęła chustkę i przetarła nią czoło. Georg położył się u jej nóg i ciężko dyszał. Starzec leżał nieruchomo. Zaintrygowana, nachyliła się nad nim. Uważniej mu się przyjrzała, może wykitował? Przynajmniej byłoby po problemie. Miał oczy zamknięte, ale oddychał, choć ciężko. Nagle je raptownie otworzył.

– Nie! Nigdy! – wykrzyknął. – Angelo!

Drzwi pokoju uchyliły się i do pokoju wbiegł jeden z jego goryli, ten z beretką za paskiem spodni. Przywołany gestem dłoni, nachylił się nad łóżkiem, żeby lepiej słyszeć słowa pryncypała.

– Zabić ich wszystkich! I przynieść mi tu tę przeklętą walizkę – wyszeptał starzec resztką sił, nim głowa opadła mu bezwładnie na poduszkę.

Agata natychmiast się zorientowała, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Musiała niezwłocznie działać.

– Bez nas i kodów nic nie zrobicie! – wykrzyknęła, po czym z torebki wyciągnęła pistolet, błyskawicznie go przela-dowała, wprowadzając nabój do lufy, i wymierzyła z niego prosto w głowę Don Batisty.

– Nawet się nie rusz! – warknęła w stronę ochroniarza. – Kula momentalnie rozłupie głowę twojemu szefowi – czym dorodnego arbuza. Wpłaćcie pieniądze zgodnie z umową, a my wykonamy swoją pracę i znikniemy.

Angelo stał bezradnie w miejscu, najwyraźniej nie wiedząc, co czynić. Spoglądał na starca, oczekując jego decyzji. Tamten jedynie kiwnął głową, co chyba oznaczało przyjęcie warunków.

– Szefie, co mam robić? – Ochroniarz wciąż był zdeorientowany i oczekiwał wyraźnego potwierdzenia decyzji.

– Zadzwoń do Felicia i każ mu przelać pieniądze. On będzie wiedział ile i gdzie – wyszeptał Don Batista. – Zrób to natychmiast.

Angelo wyszedł.

Don Batista spojrział na Agatę. W jego oczach nie zauważyła złości.

– Wygrałaś. Czy ty aby na pewno nie masz sycylijskich korzeni? – spytał niespodziewanie. – Jesteś twarda. To mi się podoba. Szkoda, że nie jesteś moją córką. Mało jest takich kobiet jak ty. Zaraz dostaniesz swoje pieniądze. To jest smutno-gorzka historia, bo strzelając mi w głowę, skróciłabyś mi moje męki o kwadrans, może o dwa. Płacę teraz kupę forsy za ich przedłużenie. To się chyba nazywa masochizm. Sprawdź konto, pieniądze powinny już dojść.

Wrócił Angelo. Podszedł do łóża i szepnął coś szefowi do ucha.

Ten zerknął na Agatę, później na niego.

– Nie, Angelo. Zostawcie ich w spokoju. Oni tylko wykonują swoją robotę. Idź i powiedz to chłopakom.

Ochroniarz wyszedł, Agata zerknęła w komputer. Pieniądze wreszcie dotarły, równy milion, pewnie reszta znalazła się na innym koncie. Teraz przyszła kolej na Marka i Renatę.

– Wszystko już jest w należyтым porządku, zaczynamy – rzekła do Don Batisty i wyszła. Mijając bękarty w proggu pokoju, przypomniała im:

– Tylko wara od jego barku, bo nie ręczę za siebie. Z tym facetem naprawdę nie ma żartów.

– Spokojnie, siostra, nic nie tkniemy, a on to zaraz będzie zimny trup – zakpił Marek

– Nie nazywaj mnie siostrą – warknęła i pociągnęła Georga za sobą.

Usiadła na parapecie w holu i wyjrzała na ulicę. Przed kamienicę zajęchały dwa czarne mercedesy. Pewnie będą dzielić schedę po szefie, pomyślała. Zaraz po robocie należy szybko się stąd wynosić, bo cholera wie, co komu przyjdzie do głowy, kiedy stary wyzionie ducha.

Czas biegł bardzo wolno, właściwie się włókł, przyjeżdżały kolejne limuzyny, a ona była coraz bardziej zdenerwowana. Łyknęła dwa vicodiny, to ją ciut uspokoiło. Wreszcie Marek z Renatą opuścili pokój. Od razu się zorientowała, że jej nie posłuchali, bo zachowywali się dziwnie, znów poczuła od nich alkohol. Co za kretyni, aż się proszą o grube kłopoty. Później z nimi o tym pogada, teraz należało bezpiecznie opuścić ten przeklęty dom. Ruszyła przodem tuż za służącą, cały czas czujnie się rozglądając. Prawą dłoń trzymała w torebce. Zeszli na dół. Tam w holu stało kilkunastu mężczyzn, wszyscy w czarnych garniturach. Jak na komendę zamilkli i spojrzeli na nich. Trudno było dojrzeć

choć cień sympatii w ich oczach. Niedobrze. Agata zrozumiała, że wiedzą o ich misji. Nigdy wcześniej nie myślała, że przejście kilkunastu metrów do drzwi może trwać tak długo. Dopiero kiedy znaleźli się na ulicy, odetchnęła głębokoboko z ulgą. Udało się, ale niedużo brakowało, a byłoby to ich ostatnie zadanie.

Pizzeria Frida przy Piazza Sant'Onofrio serwowała chyba najlepszą pizzę w Palermo. Mieściła się nieopodal Teatro Massimo. Wchodziło się do niej przez szerokie zielone drzwi, a w środku były sale w dziwnych kolorach. Pierwsza w rzędzie połączonym z czerwonym winem, następna żółta. Właściciel ponoć zainspirował się Fridą Kahlo, tak w każdym razie wszystkim opowiadał. O tej godzinie pizzeria świeciła pustkami. Jedynie przy stoliku nieopodal wejścia siedziała trójka gości. Na szerokich podkładkach przedstawiających dzieła Fridy stały porcelanowe filiżanki z kawą, jej wspaniały aromat unosił się w powietrzu, delikatnie pieszcząc nozdrza przybyłych.

– Może zamówimy jakieś wino? – spytał Marek, zerkając nerwowo w stronę baru i stojących tam rzędów butelek.

– Nawet o tym nie myśl – warknęła na niego Agata. – Jemy pizzę i spadamy stąd. To nie jest przyjazna nam miejscowość i nie zamierzam skończyć pół metra pod ziemią albo w morzu z kawałkiem betonu przymocowanym do nóg. Na szczęście niebawem mamy samolot do Walencji.

– Może chociaż po kieliszku? – wtrąciła się Renata.

– Ty się w ogóle nie odzywaj! Czuję od was alkohol, znów włamaliście się do barku klienta. Kurwa mać, ile razy mam wam mówić, żeby tego nie robić. Wasz ojciec płaci mi za to, byście byli cały czas trzeźwi.

– Nasz ojciec, siostrzyczko – poprawił ją Marek z drwiącym uśmiechem.

Agata się zaśmiała.

– Wierzysz w to, co mówisz? Patrząc na wasze pijackie gęby, śmiało można odrzucić tę hipotezę i nie potrzeba tu żadnych specjalistycznych badań, żeby to wykluczyć.

– Wiem, że ci ciężko, ale niestety musisz się z tym pogodzić. – Puścił do niej oko.

Nie chciała awantury. Udała, że tego nie usłyszała, poklepała Georga po głowie. Siedział nieruchomo przy jej krześle, wpatrzony w nią jak w obraz. Kelner przyniósł pizzę neapolitańską, pizzę z pomidorami San Marzano i serem mozzarella. Do tego w wysokich szklankach sok z pomarańczy, naturalnie wyciskany.

Podczas jedzenia Agata co i raz zerkała nerwowo przez witrynę, obawiając się zemsty ludzi Don Batisty. Co chwila ulicą przemykał skuter lub motocykl. Było ich tu zatrzęsienie. Z każdego z nich mogły paść strzały, ale nie padły. Być może następcą Don Batisty tak się zachłysnął władzą, że o nich zapomniał. Był sobie nie odświeżył pamięci.

– Co tym razem zaserwowaliście klientowi? – spytała nagle Agata.

Marek uniósł wzrok znad talerza.

– Wiesz, że to nie twoja sprawa. Chyba znasz zasady?

– Wy też znacie zasady i wciąż je łamiecie. A zatem?

– Pobył w więzieniu. Pobicia, sytuacje pod prysznicem i takie tam rzeczy – rzekła Renata.

– Czemu jej to mówisz? – warknęła na siostrę Marek.

Agacie aż ciarki przeszły przez kręgosłup, to było szalone.

– Za to zapłacili tyle szmalu? Nie wierzę. Następny oszukany klient. Czemu to robicie? Czyj to był pomysł? Wy na to jesteście za głupi, więc to pewnie robota Pakulskiego. Wiecie, co by się stało, gdyby Don Batista to przeżył? Pocięliby nas na kawałki, ale nie to byłoby najgorsze. Najgorsze byłoby to, co zrobiliby z nami wcześniej. Jesteście skończonymi idiotami. Nie pogrywa się z mafią, a tym bardziej z sycylijską. Wszyscy o tym wiedzą, tylko nie wy.

– Nie rozumiem cię. Przecież to był bandyta. Sama to powiedziałaś – zdziwiła się Renata. – Czemu go żałujesz?

– Ja go nie żałuję, ale umowa jest umową. Czy wy nie widzicie, że wasz tatuś pcha was w kłopoty? Nie on ryzykuje, tylko wy. On siedzi w Watykanie za Spiżową Bramą i ma was w dupie. Do cholery, w końcu otwórzcie oczy.

– Nie ma żadnego ryzyka. Klient umiera i po sprawie – wtrącił Marek.

– A jeśli przeżyje? Pomyślałeś o tym?

Nic na to nie odparł, jedynie spojrzął znacząco na Renatę, co nie uszło uwadze Agaty. Oni muszą coś więcej wiedzieć. Tylko co? Zerknęła na zegarek, należało się pospieszyć, bo samolot na nich nie poczeka.

HISZPANIA 2024

WALENCJA

Walencja przywitała ich ciut chłodniejszą pogodą niż Palermo, bo na termometrach było jedynie... trzydzieści pięć stopni w cieniu. Prosto z lotniska pojechali do hotelu Primus w centrum miasta. Agata zostawiła tam bękarty i Georga, ale jego tym razem w swoim pokoju, żeby znów nie mieli pretensji, że ich źle traktuje. Dostali następną szansę, której i tak jak zawsze nie wykorzystają. Sama zaś udała się na Carrer de Colón 86. Tu mieszkał ich następny klient, pisarz Alejandro González, takie nazwisko było w papierach. Pisarze to z reguły ludzie niezbyt majątni, no chyba że piszą same bestsellery. Nazwisko González nic jej nie mówiło, wyszukiwarce Google też, a kto jak kto, ale ona wszystko wiedziała. Może chodziło o kogoś innego? Już raz o mało nie doszło do pomyłki. Wtedy na szczęście w ostatniej chwili się zorientowała, że coś tu się nie zgadza. Nazwisko, imię, nazwa ulicy były identyczne, jedynie numer różnił się o jedną cyfrę. Dlatego postanowiła tego Gonzáleza dokładnie sprawdzić, a nauczona sprawą Don Batisty, wolała zrobić to sama.

Kamienica okazała, na parterze mieścił się bank, już z daleka jego potężne, grube na co najmniej dziesięć cali, kute kraty przyciągały wzrok nie tylko włamywaczy, ale i turystów. Wejście do części lokatorskiej budynku było z boku, tuż przy rosnącym tam wielkim fikusie. Na przyciskach dzwonkowych Agata zauważyła listę lokatorów. Odetchnęła z ulgą, bo numeru mieszkania nie było w papierach. Nazwisko González znalazła bez trudu, wcisnęła przycisk. Po chwili usłyszała zgrzyt uwalnianego elektrozaczepu, pchnęła drzwi i weszła do budynku. Od razu poczuła silny aromat lawendy. Była tu dosłownie wszędzie. Rosła w barwnych ceramicznych doniczkach, które stały na parapetach okien. Oprócz lawendy rosło tu dużo innych roślin. Czuć było woń rozmarynu i mięty. Jedne donice wisiały na ścianach, inne stały na posadzce i większość z nich była bogato obwieszona różnokolorowym kwieciami. Wielu gatunków nie знаła, ale dominowała jej ulubiona czerwona mandewilla. Na posadzce zobaczyła wylegującego się czarnego kocura. Na jej widok jedynie leniwie się przeciągnął i położył na drugim boku.

Jej klient mieszkał na trzecim piętrze. Przeszła korytarzem do windy. Była czysta, prawie sterylna, przeciwieństwo windy w jednym z warszawskich bloków, całej pokrytej wulgarnymi napisami i cuchnącej moczem. Pamiętała, że i we Francji w dużych miastach bywało podobnie jak w Polsce, a szczególnie tam, gdzie mieszkała społeczność kolorowa, imigranci.

Nim zdążyła zapukać do mieszkania Gonzáleza, drzwi się otworzyły. W progu stał starszy mężczyzna. Długie siwe włosy opadały mu na ramiona. Twarz o surowych rysach, pięknie opalona, spojrzenie pogodne, jednym słowem, biło od niego życie. Nie wyglądał na takiego, co za chwilę zamierza powiedzieć życiu goodbye. Czyżby znów zaszła pomyłka?

– ¡Buenos días! – rzekła.

– ¡Buenos días! – odparł i szeroko się uśmiechnął. – Czekałem na panią i zapraszam do środka.

– Czy aby na pewno? – Uniosła lewą brew w grymasie zdziwienia.

– Pani jest z organizacji „Pomocna dłoń”. Zgadza się?

– Owszem, ale pana zastałam w zaskakująco dobrej formie. Naszych usług nie świadczymy ludziom zdrowym. W umowie, którą pan z nami zawarł, jest punkt mówiący o tym, że jeśli stan zdrowia klienta uniemożliwi świadczenie usługi, wtedy pobieramy opłatę karną w wysokości dziesięciu procent i zrywamy kontrakt.

González wciąż się uśmiechał. Czyżby nie zrozumiał tego, co mu przed chwilą oświadczyła?

– Proszę wejść, lepiej nie rozmawiajmy na korytarzu. Moja sąsiadka z przeciwka, señora Martínez, jest bardzo wścibska, a na dodatek ma wyjątkowo dobry słuch.

Agata podświadomie wyczuła, że coś tu nie gra. Jej prawa dłoń powędrowała do torebki i spoczęła na kolbie glocka. Dopiero teraz ośmieliła się przekroczyć próg mieszkania, choć wciąż czujnie się rozglądała. Przeszli przez przedpokój i weszli do salonu, a tam skórzany komplet wypoczynkowy, wielki telewizor wiszący na ścianie i stół z krzesłami. Żadnej zasadzki. Wnętrze za grosz nie przypominało typowego mieszkania pisarza. Nie zauważyła stert książek, brudnopisów, porzucanych kartek, czy choćby oldskulowej maszyny do pisania. Tak w każdym razie zawsze wyobrażała sobie ostoję literata. W jednym momencie runęło jej wyobrażenie o tym kliencie.

– Proszę usiąść. – Ręką wskazał jej fotel. – Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję.

- Może chociaż wody?
- Nie – odmówiła stanowczo.

Należało zachować ostrożność. W Afganistanie talibowie wykończyli trzech jej kolegów, podając im zatrutą wodę. Do dziś dobrze o tym pamiętała. Zawsze lepiej uczyć się na błędach cudzych niż swoich, tak jest bezpieczniej. Mężczyzna usiadł naprzeciw niej, wciąż się uśmiechał. Do cholery, co go tak śmieszyło? Że ją oszukał? I tak musi zapłacić karę, nie ma innej opcji.

Wbiła w niego nachalne spojrzenie.

- Pan nie jest pisarzem. Pan nie jest umierający. W takim razie kim pan jest i o co tu naprawdę chodzi? – spytała prosto z mostu.

- Jestem dziennikarzem. Pracuję dla „El Mundo”. To jest madrycka niezależna gazeta.
- Słyszałam o niej. Jak właściwie się pan nazywa?
- González to moje prawdziwe nazwisko.

- OK, a zatem, panie González, chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie? Czemu się pan do nas zgłosił? Umowa jest umową i nie wywinie się pan od uiszczenia kary. Tu nie ma zlituj się. Rachunki muszą się zgadzać.

Gospodarz z kieszeni koszuli wyjął fajkę i sięgnął do ławy po torebkę z tytoniem. Agata poznała po kolorze opakowania, że to Amphora, kompozycja subtelnych aromatów, doskonały tytoń z odmiany Virginia. Mężczyzna zaczął w skupieniu nabijać fajkę, jakby o wszystkim innym zapomniał.

- Spokojnie, zapłacę – odezwał się po dłuższej chwili. – Od jakiegoś czasu przyglądam się poczynaniom pewnego watykańskiego biskupa. Domyśla się pani, o kim mówię?

Przerwał ubijanie tytoniu i zerknął na nią pytająco.

- Być może. Proszę kontynuować.

- Wszystko zaczęło się od dnia, kiedy w Palermo zginął wysadzony w powietrze sędzia Paolo Borsellino. To miało miejsce dwiętnastego lipca dziewięćdziesiątego drugiego roku, czyli bardzo dawno temu. Pół tony dynamitu posłało porządnego faceta prosto do nieba. Tak w każdym razie sądzę, bo był bardzo wierzący, a niebo jest zarezerwowane właśnie dla takich jak on – powiedział z uśmiechem. – Po tym zamachu przeprowadzono bardzo wnikliwe dochodzenie, widziałem akta sprawy i, co ciekawe, co jakiś czas w papierach przewija się nazwisko pewnego młodego księdza. Fakt, to były tylko poszlaki, ale śledczych zainteresowała dziwna zażyłość między nim a ówczesnym szefem cosa nostry. Tak czy owak nigdy nie udowodniono, że maczał w tym palce. Później jeszcze wielokrotnie nazwisko tego księdza pojawia się w trakcie różnych dochodzeń, jak choćby w sprawie Banco Ambrosiano. Ten watykański bank obsługiwał sycylijskie klany, na przykład klan Corleone, prał ich brudne pieniądze. Kiedy papież Jan Paweł Pierwszy postanowił zrobić z tym porządek, nagle zmarł, po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu.

Za rządów Jana Pawła Drugiego wszystko w banku wróciło do normy. Wtedy doszło do tajemniczej śmierci jego dyrektora Roberto Calviego, którego znaleziono powieszzonego pod londyńskim mostem Blackfriars. Ponoć chciał powierzyć kontrolę nad bankiem Opus Dei, ale ktoś mu w tym przeszkodził. W końcu smród wokół banku poczuł nawet sam papież i przeprowadził jego reformę. Czy była ona dogłębna? Tego nie wiemy, bo za Spizową Bramą wciąż jest mnóstwo tajemnic. Wracając do naszego znajomego, a obecnie pani pryncypała, to był on również bardzo zaangażowany w akcje charytatywne na rzecz głodującej Afryki. Problem w tym, że część pomocy nigdy tam nie dotarła, a w kilku transportach znaleziono broń. Niedawno usłyszałem o „Pomocnej dłoni”. W różnych miejscach zasięgnąłem opinii, mam swoje lata i przez to sporo kontaktów. Głównym udziałowcem tego projektu jest Banco Ambroveneto, spadkobierca Banco Ambrosiano. Ciekawe, czy to tylko przypadek? Jak pani myśli?

Agata wiedziała, że ten biznes śmierdzi, ale nie myślała, że aż tak cuchnie. Kiedy ci z Watykanu się dowiedzą, a to było tylko kwestią czasu, że Pakulski ich oszukuje na kasę, to nie będzie zmiłuj, ale skończy jak Roberto Calvi lub arcybiskup Wesołowski umoczony w aferze pedofilskiej w Dominikanie, który zmarł w Watykanie w bardzo tajemniczych okolicznościach. Pakulskiego akurat nie żal, ale może pociągnąć za sobą swoich współpracowników, a to już brzmiało źle.

- Nic o tym nie wiedziałam. Ja tylko wykonuję swoją pracę. Nie łamię prawa. Czemu mi pan to wszystko mówi? Jeśli liczy pan na to, że czegoś się ode mnie dowie, to od razu mówię, że nic z tego. Wywiadu nie będzie.

- Pani mnie ciekawi. Prześwietliłem wszystkich, którzy biorą w tym udział, i tylko pani wciąż jest dla mnie tajemnicą. Nic o pani nie wiem i to mnie zaskoczyło. Właściwie pani nie istnieje, a w dzisiejszych czasach to jest praktycznie niemożliwe. Ktoś się dobrze postarał, żeby panią wymazać z papierów. Zastanawiam się kto i dlaczego. Nie jest pani terrorystką, to udało mi się sprawdzić. Ma pani przeszkolenie wojskowe, to widać już na pierwszy rzut oka.

- Tak? – zdziwiła się. – Po czym pan to poznał?

- Kiedy mnie pani ujrzała, to od razu się zorientowała, że coś tu nie gra. Widziałem to w pani oczach i widziałem też, jak pani dłoń zniknęła w torebce. Pewnie ma tam pani pistolet. Mam rację?

– A nawet jeśli? To co z tego? – rzekła, rozdrażniona. – Nie zamierzam się panu spowiadać ze swojego życia. To nie jest pańska sprawa. Proszę teraz uregulować należności na rzecz mojej firmy i na tym zakończmy sprawę.

– Czy uważa pani, że to jest w porządku, że za grubą forszę oszukuje się ludzi będących na ostatniej prostej?

– Nie nazwałabym tego prostą, a czy to oszustwo? – odparła z ironią. – Swoją drogą, wiedzą, za co płacą. Ja bym za to nie dała nawet euro, ale to ja. Każdy ma prawo do swojego indywidualnego osądu. Są ludzie, którzy w szponach hazardu tracą nie takie pieniądze.

Mężczyzna pokręcił głową, wyraźnie nieprzekonany. Przypalił fajkę.

– Mam dla pani propozycję – oznajmił jej niespodziewanie.

Zdumiała się. Co mógł jej zaproponować ten pismak? Od dawna czuła niechęć do dziennikarzy. Przez jednego z nich zginął sierżant Frank Davis. Osierocił trójkę dzieciaków, bo zginął podczas nieudanej próby odbicia dziennikarza, któremu zachciało się zrobić wywiad z samym Ajmanem az-Zawahirim. Na co ten kretyń liczył? Sam poszedł w łapy Al-Kaidy, a oni się z Amerykanami nigdy nie cackali i obcieli mu głowę, ale zanim to zrobili, długo się nad nim pastwili. Widziała zdjęcie jego ciała. Mogło niejednym wstrząsnąć.

– Nie spyta pani, jaka to propozycja?

– Nie jestem zainteresowana. Proszę niezwłocznie dokonać przelewu, bo mam inne zlecenia.

– Moja gazeta zapłaci pani, i to sporo, za informacje o biskupie Pakulskim. Po Watykanie krążą plotki, że ma dzieci. Czy pani coś wie na ten temat?

Agata roześmiała się w głos, a jednak nie wiedział wszystkiego. A w ogóle ten dziennikarz chyba zwariował. Jeśli liczył, że czegoś się od niej dowie, to się bardzo zdziwi.

Nagle zadzwoniła jej komórka. Agata spojrzała na wyświetlacz, to Ramírez, Hiszpan, od którego wynajmowała lokal na biuro detektywistyczne. Czemu dzwoni, przecież uregulowała mu wszystkie zaległości, mało tego, zapłaciła za miesiąc do przodu?

– Słucham.

– Señorita, stało się nieszczęście. – Usłyszała jego zdenerwowany głos.

– Co się stało? Proszę mówić!

– Pani samochód zrobił bum.

– Jakie bum? O czym pan, do cholery, mówi?

– Wyleciał w powietrze. Policja twierdzi, że to bomba. Pamięta pani tego muzyka, co grał na promenadzie na gitarze?

Co za pytanie? Świetnie pamiętała José i jego niezapomniane wykonanie *Señority*.

– Oczywiście, a co z nim?

– Akurat przechodził koło pani samochodu, kiedy to się stało, odrzuciło go na kilka metrów, ale żyje. Jest w szpitalu w Alicante.

– Cholera. – Przeraziła się, słysząc te słowa. – Jak tylko będę mogła, to się tam zjawię. Dziękuję za wiadomość.

Wyłączyła telefon i schowała go do torebki, przy okazji wyjęła notebook.

– Czy coś się stało? – spytał González, czujnie się jej przypatrując.

Agacie żaden nerw twarzy nawet nie drgnął. Kontrola nad emocjami. Trenowała to przez wiele lat i doszła w tym do mistrzostwa, bez tej umiejętności nie mogłaby wykonywać swojego zawodu. Sterowanie dronem wymaga perfekcyjnej samokontroli. Ręka nigdy nie może zdrzeć, bo konsekwencje tego mogą być katastrofalne.

– Ależ skądże. Czemu pan tak sądzi? – odparła z uśmiechem. – Proszę teraz wykonać przelew, żebym mogła zakończyć sprawę.

– Uczyniłem to, zanim pani tu przyszła. Proszę sprawdzić.

Włączyła komputer i spojrzała na ekran. Kątem oka widziała, że gospodarz wciąż jej się nachalnie przypatruje. Dziwne, zapłacił sto tysięcy euro tylko za to, żeby ją poznać. Coś innego musiało się za tym kryć. Panie González, skoro pan szukał informacji o mnie, to ja poszukam o panu. Ciekawe, co znajdzie?

Faktycznie, pieniądze były na koncie. Agata mogła zakończyć zlecenie. Schowała notebook do torby i podniosła się z fotela.

– Wszystko się zgadza. Proszę więcej takich zleceń nie dawać, szkoda pieniędzy, bo i tak nic panu nie powiem.

González położył fajkę na popielniczce i sięgnął do kieszeni koszuli. Wyjął z niej mały podłużny kartonik.

– Proszę, to moja wizytówka, w razie gdyby zmieniła pani zdanie. Jeszcze raz powtarzam, że moja gazeta dobrze pani za to zapłaci.

Udała, że tego nie słyszy, i opuściła mieszkanie. Informacje od Ramíreza wstrząsnęły nią do głębi, teraz drżała o życie i zdrowie Bogu ducha winnego José. Oby się z tego wylizał.

Ledwie wyszła na ulicę, od razu uruchomiła wyszukiwarkę Google, żeby znaleźć wypożyczalnię samochodów. Pierwszą, która jej wpadła w oko, była Sixt przy Carrer de Sant Vicent Màrtir. Złapała taksówkę i kazała się tam wieźć. Wynajęcie samochodu w dzisiejszych czasach to sprawa tak prosta jak konstrukcja cepa. Zajęło jej to niecały kwadrans. Zanim wyjechała z Walencji, zadzwoniła do hotelu. Trudno, dziś bękarty poczują się jak psy spuszczone z łańcucha. Zapewne kiedy wróci, będzie musiała ich siłą wyciągać z hotelowej restauracji. Kazała im tylko nakarmić Georga. Rzuciła telefon na siedzenie obok. Położyła ręce na kierownicy, czuła, jak jej drżą. Zażyla vicodin i dopiero teraz mogła wyruszyć w drogę.

Upał był coraz bardziej dokuczliwy, słońce świeciło jej prosto w oczy. Wciąż myślała o wybuchu, bo to nie wyglądało na profesjonalną robotę. Samochody wylatują w powietrze tylko wtedy, kiedy siedzi w nich obiekt, a tym obiektem zapewne miała być ona, no bo któż inny? Musi zmienić miejsce zamieszkania, bo tu już jest spalona. Raz, drugi może jej się udać, ale w końcu ją dopadną. Tak było z jej kolegą. Maksem.

Jako pierwszy z jej grupy poszedł do cywila. Stres pourazowy uniemożliwił mu dalsze pełnienie służby, pił, miał ataki depresji. Uciekł przed tym wszystkim i ukrył się w Indiach. Czemu akurat tam? Nie miała zielonego pojęcia. Może lubił thali, jedną ze znanych hinduskich potraw, a może masalę dosę? A może chciał zostać fakirem? Tego już się nie dowie, bo on nie żyje. Tak jak jej, tak i jego dane osobowe dostały się w niepowołane ręce. Tyle że on nie miał tyle szczęścia co ona.

Dowiedzieli się o przygotowywanym na niego zamachu dzień wcześniej, ale nie mieli jak go ostrzec, bo jakiś czas wcześniej Maks przestał używać telefonu. Zbuntował się przeciwko cywilizacji. Miał dość elektroniki. Idiota, myślał, że w dzisiejszych czasach jest to możliwe. Nie było innego wyjścia, trzeba było go ostrzec osobiście, więc Agata poleciała do Indii z nadzieją, że zdąży przed zamachowcami, że ich ubiegnie. Dobrze zapamiętała ten wyjazd.

INDIE

BOMBAJ KILKA LAT WCZEŚNIEJ

Na lotnisku w Bombaju wynajęła taksówkę. Kazała się wieźć jak najszybciej w dzielnice biedoty, choć jak zerknęła przez okno auta, to nędza była tu wszędzie widoczna. Żeby uniknąć nieporozumień i przez to nie tracić jakże bezcennego czasu, wcisnęła taksówkarzowi w dłoń kartkę z adresem. Kierowca z wyglądu przypominający kapłana krwawej bogini Kali natychmiast zorientował się, w czym rzecz i z piskiem opon ruszył z miejsca. Słońce było w zenicie, samochód nagrzał się do granic możliwości, bo o klimatyzacji można było jedynie pomarzyć, zaś otwarte na przestrzał okna nie były w stanie nawet ciut schłodzić taksówki, która, ugrzązłszy w gigantycznym korku, poruszała się w iście ślimaczym tempie. Z Agaty i z kierowcy lały się strugi potu. Z radia dochodziły dźwięki bardziej przypominające cięcie blachy za pomocą piły kątovej niż muzykę, zaś wisząca pod lusterkiem podobizna hinduskiego boga, jednego z tutejszego bardzo licznych ich panteonu, śmiesznie skakała na sznurku w rytm podskoków auta na dziurawej drodze. Agata z ciekawością zerknęła na szalasy, tekturowe budy, w lepszym przypadku pokolonialne rudery, z których dachów wyrastały lasy talerzy satelitarnych. Co i raz o auto ocierała się krowa. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, dało się widzieć gromady dzieci, bo tu przyrost naturalny przybrał jakiś monstrualny wymiar. Armie żebraków czepiały się klamek pojazdów, a uliczni sprzedawcy próbowali wcisnąć swój towar nawet przez ledwo uchylone okna. Taksówka musiała jeszcze bardziej zwolnić, żeby nikogo nie przejechać. Kierowca klaksonem, głośnym przeklinaniem i gestami dłoni starał się odganiać intruzów, ale wszystko to z mizernym skutkiem.

W końcu dotarli na miejsce, tak w każdym razie twierdził taksówkarz.

Agata kazała mu poczekać, a sama zapuściła się w pobliski zaułek. Stojący na ulicy mężczyźni wrogo spoglądali na kobietę ubraną po europejsku i niechętnie się rozstępowali. Tym się nie przejmowała, wiedziała, że w środku dnia nic jej nie grozi, ale już wieczorem mogło być różnie, bo w Indiach prawdziwą plagą były napady i gwałty. Mijała małe warsztaty, z których dochodziły odgłosy pracy jakichś maszyn. Domyślała się, że tu odbywa się recykling komputerów wykonywany metodami chałupniczymi, że tu za marne grosze wypływają płuca hinduscy robotnicy. Ci ludzie za kilka nędznych dolarów sprzedawali swoje zdrowie i życie, bo o leczeniu mogli zapomnieć. Zewsząd śmierdziało, w powietrzu unosił się zapach krowich odchodów, z rynsztoków dochodził smród pomyj. Mijała słynne hinduskie latryny, koło których trudno było przejść obojętnie. Na dodatek wszędzie dookoła fruwały roje natrętnych much.

Dom, w którym mieszkał Maks, musiał gdzieś tu być. Rozglądała się wokoło i nagle pomiędzy mijanymi akurat pokolonialnymi rudarami ujrziała wielką dziurę w ziemi. Od razu się domyśliła, że przybyła za późno. Stała na krawędzi dziury. Tu w tym miejscu jeszcze niedawno był budynek, widać było jego ślady, wszędzie poniewierały się resztki wypalanych na słońcu glinianych cegieł i kawałki osmolonych drewnianych belek. To nie była planowa rozbiórka i ten dom sam się nie zawałił.

– Wyleciał w powietrze.

Obok niej stał stary Hindus z pogiętym papierosem wcisniętym między poźółkle, przerzedzone zęby.

– Tak pan sądzi? Widział pan to?

– Jedynie słyszałem, wszyscy słyszeli. Właściciel podpadł komuś i podłożyli mu bombę. Tak w każdym razie mówiła policja.

– Kim był właściciel? Jak się nazywał? Znał go pan? – dopytywała.

Hindus nachylił się w jej kierunku, cały czas niespokojnie zerkał na boki.

– Był Europejczykiem, tak jak pani. Nie wiem, jak się nazywał, ale wszyscy go lubili i nazywali doktorem.

– Doktorem? – zdziwiła się. Może to nie Maks. Nadzieja natychmiast powróciła.

– Nie wiem, czy miał na to papier, ale wielu z nas postawił na nogi, i to za darmo. Szkoda go, bo to był swój człowiek. On nas traktował jak członków rodziny, grałem z nim nieraz w piłkę, nieźle dryblował.

Jeszcze raz uważnie przyjrzała się swojemu rozmówcy. Hindus mógł mieć dobrze ponad siedemdziesiąt lat i raczej już w żaden sposób nie pasował na boisko piłkarskie.

– Czyżby?

– Czuję się młodo, niedawno urodził mi się następny syn. Doktor grał także z moim najstarszym synem, a jeszcze niedawno biegał za piłką razem z moim wnukiem. – Widząc coraz większe zdumienie na twarzy Agaty, zaraz dodał: – Moja rodzina jest długowieczna, ojciec żył sto dwadzieścia lat.

– A imię Maks coś panu mówi? Czy tak miał na imię? – spytała i wbiła w mężczyźnę natarczywe spojrzenie. Wciąż się ludziła, że to nie on.

– O tak! – Kiwnął głową. – Słyszałem wielokrotnie, jak ktoś tak go nazwał.

Niestety, ostatnia nadzieja przysła. Należało teraz sprawdzić, czego użyli do dokonania zamachu, bo pochodzenie bomby często dużo mówi o zamachowcu. Ponownie spojrzała w dół, żeby ocenić sytuację. Nie było tak stromo, jak jej się w pierwszej chwili wydawało. Przykucnęła, po czym ostrożnie zaczęła się zsuwać w głąb dziury. Starła się przy tym nie zniszczyć sobie ubrania, o co było łatwo, bo wszędzie z ziemi wystawały pogięte w fantazyjne kształty kawałki drutów pomieszane z ziemią i gruzem. Zeszła na samo dno wyrwy i przyklekła. Tu mimo bardzo słonecznego dnia panował półmrok, więc posłużyła się latarką z telefonu. Kawałkiem pręta znalezionej pod butem zaczęła ryc w ziemi, która nad wyraz łatwo poddawała się naporowi stali. Kwadrans tak ryła i nic, w końcu na coś trafiła, a po chwili na coś następnego. Trzymała w ręku dwa nieduże fragmenty jakiegoś urządzenia. Miała szczęście, bo nie zawsze po wybuchu zostają jakiegokolwiek ślady bomby. Na powrót wdrapała się na górę. Słońce, zawieszony dosłownie nad głową, ułatwiało jej przyjrzenie się znalezisku. To były części zapalnika, ale ona nie знаła się aż tak na tym, żeby określić, kto był tego producentem. Dokładnie to sfotografowała, po czym zdjęcia wysłała do Kingsleya. On lub jeden z jego kolegów na pewno to rozszyfrują. Stary Hindus wciąż stał w tym samym miejscu, co poprzednio, i jej się przyglądał. Podeszła do niego.

– Czy znaleźli zwłoki?

– To była jedna kula ognia. Policja mówiła, że „doktor” wyparował.

– A może nie było go w domu? Może poszedł na zakupy?

– To by wrócił. Nikt go więcej nie widział, więc nie żyje. Niech Śiwa ma go w swojej opiece.

– Zapewne.

Nic tu po niej. Wcisnęła znalezione kawałki do kieszeni i udała się w stronę taksówki.

Wtem jakaś chuda krowa bezczelnie zagroziła jej drogę. Zmierzyła ją znudzonym spojrzeniem, po czym uwalila wielkiego cuchnącego placka na samym środku jezdni. Agata skrzywiła się z niesmakiem. Ominęła ją szerokim łukiem i poszła dalej. Minęła wiele warsztatów wyrabiających nie wiadomo co i nie wiadomo z czego. Zatrzymała się na chwilę przy ulicznym zaklinaczu węży. Ślinił się do fletu, usiłując w ten sposób wybudzić z głębokiego snu starą kobrę leżącą w wiklinowym koszu i zapewne już za młodu pozbawioną żębów jadowych. Szło mu kiepsko, bo wąż nawet nie drgnął, a może po prostu już zdechł z nudów.

Kierowca stał obok samochodu i wrzeszczał na dzieciaki próbujące wdrapać się na maskę pojazdu. Nawet jego fizjonomia, wygląd kapłana Kali, nie był ich w stanie odstraszyć. Odetchnął z ulgą na widok wracającej klientki.

– Jedziemy na lotnisko – rzuciła, wsiadając do auta.

Jeszcze nim weszła na pokład samolotu, dostała wiadomość od majora. To był zapalnik produkcji irańskiej i wszystko stało się jasne. Zabili pierwszą osobę z jej grupy, a ona była druga na liście terrorystów.

HISZPANIA 2024

Agata, jadąc do szpitala w Alicante, po drodze skręciła do siebie. Musiała zerknąć na mazdę, a właściwie na to, co z niej zostało. Na parkingu przed apartamentowcem w cieniu na wpół spalonej palmy daktylowej zauważyła metalową konstrukcję powyginaną w jakieś fantazyjne kształty. Gdyby nie wiedziała, czego ma się spodziewać, nigdy by w tej kupce złomu nie rozpoznała swojego auta. Z przodu pojazdu zostały pojedyncze kawałki blachy z przytwierdzonym do nich amortyzatorem, tył wyglądał ciut lepiej, nawet ocalało jedno koło, a właściwie sama felga, bo opona uwędziła się w pożarze. Kabina nie istniała. Na kostce brukowej leżał kawał pogiętej blachy, który wcześniej chyba był podłogą, ale tego do końca Agata nie była pewna. Ogromniszyszczeń był przerażający. Gdyby w momencie eksplozji siedziała w jej wnętrzu, to nie miałaby żadnej szansy na przeżycie. Zdziwiło ją, że wraku nie ściągnięto na policyjny parking, że tak go pozostawiono. Widocznie hiszpańska policja tak działa. Podeszła do mazdy i zaczęła ją z uwagą oglądać. Szukała tego samego, co w Bombaju przed killkoma laty, i jednocześnie odpowiedzi na pytanie, czemu bomba eksplodowała przedwcześnie. Jej uwagę zwróciły skrawki sierści jakiegoś zwierzęcia, było ich tu zastanawiająco dużo. Być może to była ta odpowiedź. Hiszpańskie wiewiórki potrafiły czynić spore szkody. Może jedna z nich pomyliła bombę z jedzeniem i przegryzając kable, jakimś sposobem doprowadziła do eksplozji? Taki scenariusz tłumaczyłby wszystko. Niestety, jakichkolwiek pozostałości po zapalniku Agata nie odnalazła, mimo że przeszukała, i to na kolanach, teren w promieniu kilkunastu metrów.

– ¡Buenos días!

Marcel, szef ogrodników, pojawił się nie wiadomo kiedy. Ledwie go poznała. To przez nową fryzurę: wygolone boki, a na środku nastroszony jeź. Wyglądał śmiesznie, ale jej do śmiechu nie było, kiedy patrzyła na swój ukochany kabriolet.

– *Señorita*, twój samochód kiepsko wygląda, już nim nigdzie nie pojedziesz.

– Trudno się z tobą nie zgodzić. Właśnie to widzę – przytaknęła mu.

– *Señorita*, mój szwagier z Polski to łebski chłop i za nieduże pieniądze może ci pomóc.

Spojrzała na niego zdumiona. Na czym ma polegać ta pomoc? Chyba go nie naprawi? Tu by trzeba prawdziwego cudu.

– To znaczy? Co masz na myśli, bo nie bardzo rozumiem?

– Mój kuzyn przyprowadzi ci taką samą mazdę, nawet jeszcze ładniejszą, za nieduże pieniądze. Zabierzemy tę i je zamienimy. Wszystko się będzie dla policji zgadzać, numery, tablice, wszystko będzie cacy. Szwagier jest specjalistą wysokiej klasy.

– To znaczy, że chcecie buchnąć komuś mazdę? Popieprzyło was? Nie zamierzam skończyć w więzieniu.

– Oj! – Machnął ręką. – Pani to od razu z grubej rury. Szwagier od wielu lat robi w tym biznesie i nigdy nie zadarł z władzą. Proszę się zastanowić.

– Już się zastanowiłam i dziękuję, ale nie skorzystam. Czy mógłbyś mi za to pomóc pozbyć się tego złomu? Pojadę na posterunek policji i zorientuję się, czy mogę już go zabrać. Przy okazji zrób coś z tą palmą. Usuń z niej spalone liście. Czubek wygląda zdrowo, więc pewnie przeżyje.

– Załatwione. Proszę dać znać, jak otrzyma pani zgodę. Idę teraz puścić podlewanie trawnika i zawołam chłopaków do palmy, to ją zaraz migiem obrobiam.

Marcel się oddalił, a Agata ruszyła w stronę apartamentowca. Zanim weszła do mieszkania, uważnie sprawdziła drzwi wejściowe, ale nie nosiły znaków czyichś manipulacji. Dopiero teraz odważyła się je otworzyć, choć zachowując wielką ostrożność. W środku zastała idealny porządek. Szybko zgarnęła do walizki rzeczy osobiste i wyszła. Wiedziała, że już tu nie wróci. Zanim wsiadła do samochodu, sięgnęła po telefon i wybrała numer do agencji nieruchomości, tej samej, przez którą kupiła to lokum. Rozmowa była krótka i treściwa. Od tej chwili mieszkanie jest na sprzedaż. Teraz mogła pojechać odwiedzić José, ale zanim udała się do szpitala, kupiła czekoladki, bo wiedziała, że za słodczye dałby się pokroić, zresztą tak jak większość znanych jej mężczyzn.

Hospital Vithas mieścił się przy Plaza Dr. Gómez Ulla w nowoczesnym niewysokim, bo dwupiętrowym budynku otoczonym bujną śródziemnomorską zielenią. Agata zaparkowała samochód na przyszpitalnym parkingu, tuż przy dorodnym drzewku pomarańczowym i wielkiej palmie daktylowej, po czym weszła do środka. Jadąc tu, obawiała się trudności w dostępie do pacjenta, ale na szczęście jej obawy okazały się płonne. José niezbyt ucierpiał w wyniku wybuchu, położono go tu na wszelki wypadek, gdyby coś wynikło później. Na widok Agaty zdumiał się i jednocześnie bardzo się ucieszył.

– *Señorita* Johnson, miło mi panią widzieć. Niepotrzebna fatyga. Nic mi nie jest. Właściwie to jedynie najadłem się strachu. Jutro opuszczam szpital.

– Potrzebna – zaprotestowała stanowczo. – Czuję się po trosze winna tej sytuacji. Bądź co bądź to mój samochód wyleciał w powietrze. Gdyby nie to, to dziś na promenadzie rozbrzmiewałaby *Señorita* w pańskim cudownym wykończeniu.

Spojrzał na nią z niepokojem.

– Ktoś chce panią zabić?

– Nie mam pojęcia. To pewnie pomyłka – skłamała.

– A co mówi policja? Już mnie przesłuchiwali, ale nic im nie powiedziałem, bo nic nie widziałem.

– Nie wiem, jeszcze u nich nie byłam. Muszę już iść, cieszę się, widząc pana w zdrowiu.

Szpital opuściła w dobrym nastroju. Niestety, zaraz prysł, kiedy zobaczyła swój samochód cały w ptasich odchodach i jakichś roślinnych odpadach. To była robota papug, które gnieździły się na pobliskiej palmie. Już wiedziała, dlaczego to miejsce parkingowe było omijane przez lokalsów.

Wsiadła do samochodu i pojechała do komendy policji.

Jak tylko usłyszano jej nazwisko, rozdzwoniły się telefony wewnętrzne. Potem zaproszono ją do niedużego pomieszczenia ze stolikiem ustawionym pośrodku i dwoma krzesłami po jego przeciwnych stronach. Na ścianie wisiało wielkie lustro. Domyśliła się, że weneckie. Pewnie teraz stoi za nim kilku funkcjonariuszy i ją podgląda, pomyślała, siadając. Źle zaczęli, bo potraktowali ją tak, jakby to ona podłożyła tę bombę. Po chwili zjawił się policjant. Młody, przystojny, z czarnymi kręconymi włosami i z gęstą brodą. Co to za moda na te brody? Ona ich nie cierpiała, ale może dlatego, że się ich przez ostatnie lata naoglądała za dużo i prawie zawsze skrywały twarze bardzo złych ludzi. Policjant trzymał w dłoni białą tekturową teczkę. Położył ją na stoliku i otworzył, po czym usiadł naprzeciwko Agaty.

– Pani się nazywa Agata Johnson? Zgadza się?

– Co do joty – odparła z kpinią w głosie, bo przecież wcześniej wylegitymowała się paszportem.

– Co pani robi w Hiszpanii?

– Jak to co robię? No tak, tego nie ma w paszporcie. Jestem prywatnym detektywem, mam na to wszystkie wymagane pozwolenia.

– Jakie dochodzenia prowadziła pani ostatnio? Pytam, bo chcę ustalić, kto i dlaczego podłożył bombę pod pani samochód. Nie wie pani, kto chciałby panią zabić?

Cały czas coś skrętnie notował. O tyle dziwne, że ona prawie nic nie mówiła, bo jedynie zdawkowo odpowiadała na pytania. Może to był jakiś jego sposób na zmiękczenie delikwentów. Jeśli tak, to tu nie poskutkuje.

Zrobiła bardzo zdziwioną minę i ostentacyjnie wzruszyła ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. Zapewne to pomyłka, nie znajduję tu innego wytłumaczenia. Odnosnie do prowadzonych spraw, to obecnie na jakiś czas zawiesiłam działalność. Chciałam wypocząć.

– A co pani prowadziła przed zamknięciem biura?

– Niestety nic spektakularnego, głównie szukałam zaginionych psów i kotów. Nie wiem, czy tu nic się nie dzieje, czy może nie macie zaufania do prywatnych detektywów? – odparła z uśmiechem.

Policjant pokręcił głową. Najwyraźniej był zaskoczony zachowaniem Agaty. Pewnie myślał, że zjawi się tu roztrzęsiona kobieta, będzie płakać i błagać o pomoc. Tymczasem ona sobie żartowała, tak jakby się nic nie stało.

– Czym się pani zajmowała wcześniej?

– Ma pan na myśli, czym się zajmowałam w Ameryce?

– Zgadza się. To mam na myśli.

Wbił w nią zaczepne, wyczekujące spojrzenie. Na to ona zaśmiała się mu w twarz.

– Różne rzeczy, ale to nie pańska sprawa. Nie robiłam niczego, co byłoby niezgodne z amerykańskim prawem. Jeśli jednak to panu nie wystarcza, to proszę się skontaktować z moją ambasadą w Madrycie. Oni potwierdzą to, co powiedziałam przed chwilą, czyli że to nie pańska sprawa.

– Proszę mnie tu nie straszyć ambasadą! – Policjant podniósł głos. – Pani samochód ktoś wysadził w powietrze i musimy tę sprawę wyjaśnić. Nic nie dzieje się bez powodu.

– Jak pan powiedział, ktoś wysadził mój samochód, a nie ja go wysadziłam. Proszę szukać zamachowca, a nie przesładować ofiarę. Ten samochód był dla mnie sporo wart, choć była to bardziej wartość sentymentalna. – Spojrzała ostentacyjnie na zegarek. – Proszę się streszczać, bo nie mam dużo czasu. Jestem z kimś umówiona.

– Czym się pani obecnie zajmuje?

– Niczym, jak już powiedziałam, wypoczywam. Chyba mi wolno? Coś jeszcze? – Spojrzała na niego prowokacyjnie. To przesłuchanie stało się farsą. Czas leciał, a nie wiedziała, co się dzieje w Walencji, w hotelu Primus. Co czynią Renata i Marek? Co tym razem jej wywiną?

Drzwi się otworzyły i weszła jakaś umundurowana policjantka. Podeszła do swojego kolegi, nachyliła się nad nim, coś mu szeptnęła do ucha, po czym wyszła. Po jego minie Agata poznała, że to dotyczyło jej. Pewnie sprawdzali ją w kartotekach Interpolu, a być może nawet w ambasadzie.

– Jest pani wolna, ale proszę na siebie uważać. Ktoś pani bardzo nie lubi, bo w pomyłkę nie wierzę – zakomunikował jej policjant, po czym oddał jej paszport.

– A co z samochodem? Stoi przez blokiem, straszy sąsiadów swoim wyglądem.

– Może go pani zutilizować, no bo chyba nie remontować?

– Raczej byłoby trudno.

Podniosła się z krzesła i wyszła, na koniec puszczając oko w stronę lustra. Niech nie myśla, że jest głupia.

Opuściła posterunek policji, wsiadła do samochodu i ruszyła w drogę powrotną. Jadąc, co chwila zerkała nerwowo w lusterko, czy nikt jej nie śledzi. Zamachowcy na pewno już się zorientowali, że wciąż żyje, i ponownie spróbują ją zabić. Po drodze skręciła do swojego biura po notatnik z ważnymi dla niej adresami.

Samochód zaparkowała na Avenida Juan Carlos I, w bezpłatnej strefie, a resztę drogi pokonała pieszo. Tak na wszelki wypadek. W biurze tak jak w domu zastała idealny porządek. Na wycieracze leżała sterta korespondencji, głównie reklamy i dwa rachunki, które już dawno zapłaciła. Chwyciła wszystko do kupy i z rozmachem cisnęła do kosza. Z szuflady wyjęła notatnik i wrzuciła go do torebki. Wzięła też zegar, nieduży i bardzo oryginalny budzik. Fabrycznie nie miał obudowy i dzięki temu można było obserwować wolno poruszające się tryby, mozolnie popychające wskazówki. To była pamiątka z Brukseli, z dwudniowej akcji przeciwko dżihadystom w dzielnicy Molenbeek. Wtedy to niezauważalnie wprowadziła przez lufcik do mieszkania tych popaprańców miniaturowego drona i dzięki temu udało się im ich zaskoczyć, a w efekcie zlikwidować całą grupę bez strat własnych. Uwolniono wtedy dwóch amerykańskich turystów porwanych tydzień wcześniej w Amsterdamie, w momencie kiedy raczyli się marychą w jakimś szmerzanym coffee shopie. Byli wtedy tak zamroczeni, że poszli z terrorystami grzecznie niczym krowy na rzeź. Budzik wpadł jej w oko na wystawie sklepiku w jakimś zaułku, dokąd się zapuściła zupełnie przypadkowo. Drugi raz by tam na pewno nie trafiła.

Niedaleko jej biura była restauracja Romantica. Nieraz chadzała tam na paellę de mariscos, a że była głodna, zdecydowała się pójść tam ostatni raz. Przed wejściem do lokalu jak zwykle czaił się kelner, często robiący tu również za naganiacza. Na widok gościa natychmiast twarz rozjaśniła mu się w szerokim uśmiechu, pewnie rozpoznał klientkę. Poprowadził Agatę do stolika w głębi sali, co jej bardzo odpowiadało, bo stąd widziała cały lokal, każdego przebywającego tu i wchodzącego gościa. W oczekiwaniu na paellę zamówiła kieliszek regionalnego słodkiego wina Fondillón robionego ze szczepu winogron monastrell. Dziś nie miała ochoty na żadną przystawkę, nawet na ulubione patatas bravas.

Z torebki wyjęła telefon i zadzwoniła.

– Buenos días, señor Ramírez.

– Buenos días, señorita Johnson. Co potrzeba?

– Muszę pilnie zrezygnować z wynajmu lokalu, przykro mi. Wiem, że stracę kaucję, ale trudno. Niestety, zaistniały okoliczności, które uniemożliwiają mi dalsze prowadzenie biura.

– Może trzeba było jakiś czas przeczekać? Señorita, żaden niefort nie trwa wiecznie.

– Tu akurat nie o to chodzi. To coś zupełnie innego.

– Oj, szkoda, señorita, pani była dobrą klientką, będę żałować.

– Ja też, señor Ramírez. Muszę kończyć. Adiós – pożegnała się szybko.

Ledwie odłożyła telefon, kiedy ktoś zadzwonił. Spojrzała na wyświetlacz, nieznany numer. Kto to może być?

– Słucham?

– Witaj, Agato. I jak? – zapytał męski głos, w którym od razu rozpoznała Lenza. – Namysliłaś się? Zmieniłaś zdanie? Mam nadzieję, że masz dla mnie dobre wiadomości. Innych nie oczekuję.

Pułkownik najwyraźniej nie odpuścił, mimo że wcześniej dostał stanowczą odpowiedź. Był naprawdę beczelnie nachalny.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy chyba wyraziłam się jasno? – zaczęła spokojnie. – To już zamknięty etap mojego życia. Wystawiliście mnie na odstrzał i jeszcze macie czelność wciąż mnie nękać? Odczepcie się w końcu ode

mnie, i to raz na zawsze! – ryknęła na koniec do komórki.

– Ochronimy cię, nie dopuścimy, żeby znów ktoś podłożył bombę pod twój samochód. Tym razem ci się udało, ale jak długo jeszcze będzie ci sprzyjać szczęście?

Nagle ją oświeciło. Że też wcześniej o tym nie pomyślała! To pewnie nie Al-Kaida podłożyła semtex pod jej mazdę i to nie wiewiórka doprowadziła do eksplozji. Ona była jedynie przypadkową ofiarą, tak jak José. Bomba wybuchła wtedy, kiedy miała wybuchnąć. Tak, była pewna, że ich przejrzała. Sukinsyny, kiedy dążyli do jakiegoś celu, wtedy nie mieli żadnych hamulców, szli do niego nawet po trupach. Chcieli ją jedynie postraszyć. Ale czemu im tak zależało na niej? Mieli przecież kilku bardzo dobrych operatorów dronów. To było zastanawiające.

– Czy wysadzenie mojego auta to wasza robota? Dlaczego się na mnie tak uwzięliście? Dlaczego akurat ja? Mów! – ryknęła do mikrofonu.

– Spokojnie. To proste. Jako jedyna z operatorów minidronów mówisz biegle w języku arabskim i brałaś udział w wielu podobnych misjach. Masz wielkie doświadczenie. Tu nie chodzi o zdalną obsługę reopera. Ktoś musi pojechać do Syrii i tam wtopić się w tłum. Potrzeba kogoś na miejscu, kogoś, kto by powtórzył akcję z Pakistanu. Wyszukasz w terenie konkretnego człowieka i go nam wskażesz. Tego może dokonać tylko bardzo dobrze przeszkolona osoba, a prócz tego świetny operator takiego minidrona, który niezauważalnie wślizgnie się do każdego domu i skrupulatnie go przeszuka. Znajdziesz nam tego człowieka, a resztę załatwi reoper. My w zamian zagwarantujemy ci bezpieczeństwo, zaś co do twojej mazdy, to była w takim stanie, że właściwie zamachowiec ocalił ci życie. Zresztą w ramach podziękowania kupimy ci cbrę 427. Wiem, że zawsze o niej marzyłaś.

– Przestań mnie mamić cbrą, a mazdę kochałam. Syria to jest kraj arabski, dzika kraina, taka misja to dla kobiety olbrzymie ryzyko. Dobrze pamiętam Pakistan, a Syrię jeszcze lepiej. Do dziś noszę po niej pamiętki. Wyślijcie tam faceta. Jemu będzie dużo łatwiej. Dziwię się zresztą, że mi to proponujesz. Chyba wiesz, co mnie i Kingsleyowi się tam przydarzyło? Wtedy powiedziałam sobie, że nigdy więcej moja noga w tak pojebanym kraju nie postanie, nie ma mowy!

– Ale to jest najgroźniejszy terrorysta na świecie, musisz nam pomóc. To dla prezydenta priorytet.

– Nic nie muszę, pułkowniku. Pomogłam wam załatwić Osamę bin Ladena, wystawiłam wam go, a teraz muszę się ukrywać przed zemstą tych popaprańców, jego kumpli, bo jakiś palant od was zdradził im, kim jestem i jak wyglądam.

– Złapaliśmy go, siedzi w więzieniu i prędko stamtąd nie wyjdzie.

– I co z tego? Co to zmieniło w moim położeniu? Nic. Już do końca życia będę się musiała wciąż oglądać za siebie. Radźcie sobie sami. Więcej do mnie nie dzwoń, a jeśli faktycznie to ty kazałeś wysadzić moje auto, to mogłeś oszczędzić Bogu ducha winnych mojego sąsiada i tę nieszczęsną wiewiórkę, którą w momencie eksplozji rozerwało na kawałki. Domyślam się, że ci najemnicy, co za mną podążają, to twoi ludzie. Odwołaj ich, bo jak nie to wyślę ich do diabła. Jeden już tam poszedł. Więcej do mnie nie dzwoń! Żegnaj!

Skończyła rozmowę akurat wtedy, kiedy kelner przyniósł wielką patelnię z paellą.

Zamówiła jeszcze jeden kieliszek wina i zabrała się do jedzenia.

Do dziś pamiętała, jak Kingsley zjawiał się w jej mieszkaniu. Był bardzo zdenerwowany. Myślała, że chce jej zakomunikować, że jest ciężko chory, bo tylko to jej wtedy przyszło do głowy, ale on miał inne wieści. Świeżo złapany terrorysta podczas przesłuchania wyjawiał, że jego współtowarzysze mają listę największych wrogów państwa islamskiego i na tej liście jest również jej nazwisko. Ta informacja w jednej chwili zburzyła jej wszystkie plany, z dnia na dzień musiała nauczyć się żyć niczym terrorysta, bo w ciągłym ukryciu.

Tak jak zawsze paella była wspaniała. Agata zapłaciła rachunek i opuściła restaurację. Wolnym krokiem ruszyła w stronę parkingu. Po drodze mijała mnóstwo turystów. Wielu z nich prowadziło psy, inni wozili je w wózkach. Akurat do tego zwyczaju nie mogła przywyknąć. Pamiętała, jak pierwszy raz zajrzała do takiego wózka, przygotowana na widok bobasa, a tu pekińczyk. Wyobraziła sobie siebie pchającą wózek, w którym siedziałby Georg. To byłoby co najmniej idiotyczne.

Doszła do samochodu i do niego wsiadła. Kiedy chciała wcisnąć przycisk startu, zawahała się. Cholerna podejrzliwość, cały czas gdzieś w niej tkwiła. Wysiadła i obesza pojazd. Zajrzała pod błotniki, sprawdziła podłogę. Jej zachowanie wzbudziło spore zdziwienie przechodniów, ale tym się bynajmniej nie przejęła. Zaniepokoiła ją niedomknięta maska. Poczula dziwne mrowienie w plecach. Powoli ją uniosła i zajrzała pod nią, ale wszystko było w należytym porządku. Na powrót usiadła za kierownicą. Chwila zawahania i wcisnęła „start”. Silnik zaskoczył, przyjemnie zamrugała. Odetchnęła z ulgą. Tak właśnie od pewnego czasu wyglądało jej życie. Każde włączenie silnika mogło być ostatnim. Każde wyjście na miasto mogło być ostatnim, każde zbliżenie się do okna mogło być ostatnim. W jej przypadku planowanie czegoś było absurdem. Taki los jej zgotowano za jej oddanie sprawie i wciąż chciano więcej.

Ruszyła z miejsca tak, jak lubiła, z piskiem opon, i skierowała się ku wylotowi z miasteczka. Po dziesięciu minutach kluczenia bocznymi drogami mknęła prawie pustą autostradą. Wyprzedzała głównie ciężarówki i kampery na niemieckich lub holenderskich blachach, którymi turyści wracali z wakacji. Kiedy mijają Dénie, dostała esemesa od Kingsleya. Przed chwilą otrzymał informację z ośrodka zajmującego się badaniem ludzkiego DNA. To były wyniki porównawcze z próbek pobranych z włosów Pakulskiego i Bękartów, które wykluczały jakiegokolwiek jej z nimi pokrewieństwo. Owszem, biskup był ojcem Renaty i Marka, choć matki mieli różne. Agata odetchnęła z ulgą. Miała rację, za bardzo się różnili, żeby być spokrewnieni. Pakulski świadomie ją okłamał, ale czemu to uczynił? To było zastanawiające, tym bardziej że wszystko, co robił do tej pory, było dokładnie zaplanowane. Nie mogła tak tego zostawić. Należało koniecznie uzyskać odpowiedź na to pytanie, a ona wiedziała, gdzie jej szukać. Musiała znaleźć swoich prawdziwych krewnych, a być może rodziców, bo nie wykluczała, że wciąż żyją.

I znów wyprzedzała tira. Zjechała na lewy pas i wcisnęła mocniej pedał gazu. Zerknęła w lusterko. Nie zauważyła w nim białego volkswagena passata, który dotąd niczym cień podążał za nią aż od Alicante. Czyżby Lenz w końcu odpuścił? To było do niego niepodobne. Mijając Olivę, po lewej stronie drogi ujrzała kłęby czarnego dymu. Paliły się chaszczki w okolicach Monte Pego, nieopodal tamtejszych pól ryżowych. Oby nie spłonęła willa jej znajomych, też Polaków. On ponoć pisał książki, uwierzyła mu na słowo, bo żadnej z nich nigdy nie miała w ręku. Ona była prawnikiem, ponoć niezłym. Poznali się w knajpie, on i jego żona mieli problem z dogadaniem się z obsługą, która ni w ząb nie znała angielskiego. Pomogła im i w podzięciu zaprosili ją do stolika. Później kilka razy się spotkali i na tym się pewnie skończy, bo kończy się też jej hiszpańska przygoda.

Dotarła do Walencji, oddała samochód i uberem udała się do hotelu. Bękartów nie zastała w pokoju. Wykorzystała to i dokładnie przeszukała ich rzeczy. Znów zajrzała do walizki ze sprzętem do projekcji. Okulary, kable i ta dziwna aparatura przypominająca z wyglądu komputer. I tyle. Mimo że przejrzała wszystko bardzo dokładnie, na nic podejrzanego nie trafiła.

Zeszła na parter, do restauracji. Była pewna, że tam zastanie Marka i Renatę, że nie przepuścili okazji, żeby się narąbać. To było straszne, jak wciąż nałóg nimi rządził. Chwilami im nawet współczuła.

Jak na standard hotelu wyposażenie restauracji było zaskakująco surowe. Przede wszystkim uwagę Agaty zwróciły jasnozielone obicia krzesel. Były paskudne i zupełnie nie pasowały do ciemnobrązowej posadzki. Przemknęła wzrokiem po sali i od razu zauważyła Marka. Siedział w głębi lokalu, tuż przy oknie. Był sam, a właściwie niezupełnie, bo towarzyszyła mu butelka wina. Ruszyła w jego kierunku. Teraz i on ją zobaczył, butelka niczym po działaniu czarodziejskiej różdżki zniknęła ze stołu.

– Gdzie twoja siostra, ty moczymordo?! – huknęła na niego Agata.

– Nasza, siostrzyczko, nasza. Pewnie w kiblu – wybełkotał, drwiąco się uśmiechając.

Sukinsyn był już nieźle wstawiony. Renata pewnie też była w nie lepszym stanie. Należało zebrać ich do kupy i pilnie wyprowadzić z restauracji, póki się jeszcze da.

– Poczekaj tu. Najpierw ogarnę ją.

Ale zanim się oddaliła, schyliła się po flaszkę, którą ukrył za nogą od stolika.

– To zabieram ze sobą. Tobie już wystarczy.

– Pieprz się, dziwko – zamamrotał pod nosem i położył głowę na blacie.

Wpadła do toalety niczym huragan. Sprawdziła po kolei wszystkie kabiny. Renata była w ostatniej. Rozanielona siedziała na sedesie, a na posadzce tuż przy jej stopie leżała strzykawka. Suka jedna. Agata nie знаła się zbyt dobrze na narkotykach. Jedyny, z jakim miała do czynienia, to opium, bardzo popularne w Afganistanie, krainie pól makowych. Podniosła strzykawkę i wrzuciła ją do śmietniczki, dopiero teraz chwyciła tamtą i pociągnęła ją za sobą. Nikt nie mógł jej zobaczyć w takim stanie. Ruszyły na drugie piętro schodami awaryjnymi. To była prawdziwa droga przez mękę, bo Renata dosłownie leciała jej przez ręce. Agata zostawiła ćpunkę pod czujnym okiem Georga i wróciła po Marka. Ten z trudem utrzymywał się na krześle, co chwila coś wykrzykiwał, same wulgaryzmy. Na szczęście nie znano tu języka polskiego, a kelner był na tyle uprzejmy, że pomógł jej zawlec go do windy.

Kiedy w końcu udało się jej wszystko jako tako ogarnąć, zmęczona usiadła w fotelu i zapaliła cygaro. To był bardzo ciężki dzień i wreszcie mogła chwilę odpocząć. Potrzebowała tego bardzo, bo już następnego dnia mieli samolot do Polski. Biskup znalazł następnego klienta, następnego bogatego naiwniaka. Wracała pamięcią do spotkania z Gonzálezem. Ta rozmowa dała jej dużo do myślenia. To, czego się od niego dowiedziała, sprawiło, że coraz intensywniej rozważała rzucenie tej roboty, tym bardziej że na jej koncie uzbierała się już całkiem niezła sumka, prawie starcząca na wymarzoną operację. W Warszawie oznajmiła to Pakulskiemu, bo właściwie to już podjęła decyzję: odchodzi, i to definitywnie.

POLSKA

WARSZAWA

Na lotnisku Okęcie wylądowali dopiero późnym wieczorem. To znów przez Georga, Ryanair nie przewoził psów, nie było wyjątków, więc byli zmuszeni skorzystać z droższego przewoźnika. Lot odbył się z przygodami, bo prawie na całej trasie były turbulencje i pasażerami rzucało tak jak Markiem dzień wcześniej, kiedy opuszczał hotelową restaurację. Kilku pasażerów przez to wpadło w panikę i stewardesy musiały ich uspokajać. Wśród nich była Renata, ale u niej podłoże paniki było zupełnie inne, tej suce najwyraźniej brakowało w organizmie alkoholu lub, co gorsza, heroiny. Kiedyś znajdują ją martwą ze strzykawką w żyłę. To było tylko kwestią czasu. No cóż, każdy jest kowalem swojego szczęścia i co sobie wykuje, to ma.

Od razu z lotniska wzięli ubera i pojechali prosto do willi na Wernyhory. Przed domem stało czarne audi biskupa. On sam czekał na nich w środku. Był bardzo podekscytowany, co mu się nieczęsto zdarzało, bo z natury raczej był chłodny niczym schab w zamrażarce.

W mieszkaniu prócz biskupa był jeszcze jeden mężczyzna. Agata widziała go po raz pierwszy. Młody, niski, krępy, twarz ogorzła, oczy małe, osadzone blisko nosa, wielkiego i dziwnie zakrzywionego. Pewnie ta usterka to była sprawka jakiegoś przygodnego rzeźbiarza w trakcie knajpianej bójki. Ubrany był w dzinsy i wyblakły szary podkoszulek. Nie zrobił na Agacie najlepszego wrażenia.

– To Jurij Andrejew – przedstawił go Pakulski. – Jurij jest informatykiem, który od początku zajmuje się tworzeniem oprogramowania do naszego projektu.

– Te dla płockiego biskupa i dla Don Batisty to też jego robota? – spytała Agata, wbijając w niego natarczywe spojrzenie.

Pakulski się zmieszał. Zerknął z wyrzutem na swoje bachory.

– Skąd o tym wiesz? Oni ci powiedzieli? No cóż, i tak to zostanie w naszej rodzinie.

Nie sprostowała. Niech nie wie, że ona wie. Na ten moment to było najrozsądniejsze.

– Czemu to zrobiłeś? To było kurewstwo. – Ostro go zaatakowała.

– Spokojnie. Tak jeden, jak i drugi to były nic niewarte sukinsyny. Dostali to, na co zasłużyli. Nie mów, że ci ich żal.

– Może i sukinsyny, ale zapłacili za coś, czego nie otrzymali. Ty z tą swoją firmą zresztą dużo lepszy od nich nie jesteś. Robisz klientów w bambuko. Ordynarnie ich oszukujesz, a wszystko to czynisz pod szyldem Watykanu. Czy oni tam wiedzą, na czym polega ten twój biznes? Czy ich też bezczelnie dymasz?

– Pamiętaj, ty też w tym siedzisz i to po uszy – rzekł z kpiną. – Ale zostawmy to teraz. Jutro mieliście pojechać do pewnego polityka, ale Jurij musi jeszcze trochę popracować nad jego programem i dlatego jutro macie wolne.

Agata spojrzała podejrzliwie na informatyka. Co oni znów knują? Musi się tego koniecznie dowiedzieć i był na to sposób, ale potrzebowała choć na chwilę przejąć telefon Pakulskiego. Taka okazja niebawem się trafiła. Biskup wyszedł do łazienki, zostawiając smartfon na stole w pokoju, Jurij siedział nad programem, a Marek z Renatą poszli do kuchni, pewnie węszyć za alkoholem. Ta aplikacja wgrzywała się dosłownie minutę, a wykonywała lepszą robotę aniżeli armia szpiegów. Podsluchiwała w czasie rzeczywistym, mało tego, mogła na żądanie uruchamiać kamerę. Jedyną wadą była jej energożarliwość. No cóż, coś za coś. W ostatniej chwili, tuż przed powrotem Pakulskiego, Agata odłożyła aparat na miejsce. Biskup z informatykiem zamknęli się w pokoju, a ona zabrała Georga na spacer. Jeszcze nie wyszła za furtkę, a już aplikacja szpiegująca zasygnalizowała połączenie. Pakulski rozmawiał z jakimś mężczyzną.

– Wasza Ekscelencjo, pan minister chce, żeby cierpiał. Niech myśli, że jest w sowieckim gułagu, że zdycha na mrozie pod batem Moskala. Jego męka ma trwać i trwać.

– Program zawsze trwa godzinę, ani minuty dłużej.

– Zróbcie wyjątek, niech to będą dwie godziny, nawet trzy, a my za to zapłacimy osobno, pod stołem. Wasza Ekscelencja będzie zadowolony, obiecuję.

– Chwileczkę. Jurij, da radę to przedłużyć? Klient o to usilnie prosi – słychać było w oddali. Pakulski konsultował sprawę z informatykiem.

– Poradzę sobie, ale jeden dzień to za mało. Potrzebuję na przeróbki chociaż trzech. Wcześniej nie dam rady, bo muszę powstawić nowe postacie, sytuacje. Pilnie potrzebuję indywidualnych informacji.

– Załatwione, ale trzy dni musicie go utrzymać przy życiu, i to w dobrym stanie, bo podczas projekcji musi być przytomny. Inaczej nie będzie spodziewanego efektu. – Biskup ponownie odezwał się do rozmówcy.

– Zaraz zadzwonimy do jego lekarza. Musi stanąć na wysokości zadania.

– Dobrze, ja tymczasem pojedę do bratanicy klienta, bo on nie ma innej rodziny. Muszę otrzymać jej akceptację co do nowego terminu.

Co za skurwysyny, zakłęła w myślach Agata, chowając telefon do kieszeni kurtki. To już za daleko poszło, to zaczęło cuchnąć kryminałem. Biskup ponownie złamał zasady działania firmy. Teraz nie mogła się wycofać, ale po tym zleceniu zrywa umowę, niech sobie poszukają kogoś innego.

Słońce wyszło zza chmur, zaczęło się robić gorąco. Agata wolnym krokiem poszła w stronę Doliny Służewieckiej. Coraz bardziej podobała jej się Polska jako kraj, choć ludzie już niekoniecznie. Może po prostu miała pecha, że trafiła głównie na szumowiny, bo przecież ona też była Polką. Mijała akurat jakąś ławkę. Usiadła na niej i sięgnęła po telefon. Skoro będzie mieć trzy dni wolnego, to ten czas spożytkuje z sensem. Uda się do Płocka, to stamtąd zabrali ją ludzie, którzy ją wywieźli z Polski. Być może tam znajdzie odpowiedzi na wiele nurtujących ją od dawna pytań. W galerii zdjęć trzymała fotografie dokumentów adopcyjnych i pójdzie ich śladem.

Nie wiadomo kiedy przyplątał się do niej mały, kudłaty piesek. Z wyglądu przypominał miniaturę bouviera. Georg, z natury nieprzyjaźnie nastawiony do innych psów, tym razem spojrział na niego łaskawym okiem. Kilka razy polizął go po głowie i przestał się nim interesować. Zjawił się i właściciel. Starszy mężczyzna, mógł mieć dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Spoczął na tej samej ławce, co Agata.

– Ładny pies, ale powinien być w kagańcu. To jest rasa zabójców – zagadał do niej.

– Ludzie to też rasa zabójców, i to jeszcze gorszych, wielu z nich powinno chodzić w kagańcach, a żadnego w nim nie widziałam – zauważyła.

Pokiwał głową z wyraźną aprobatą.

– O tak, święte słowa, ludzie często są gorsi od zwierząt. Urlopu?

– Coś w tym rodzaju – rzekła wymijająco. – A pan?

– Emeryt, stypendysta ZUS, czyli odpad polskiej rzeczywistości. Nie wrzucą go do pojemnika z plastikami, nie wrzucą go do pojemnika na papier, a tym bardziej do pojemnika na odpady zmieszane. Nie ma jak go utylizować, więc tak się płacze po tym świecie i razem z ZUS-em niecierpliwie czeka na koniec.

Zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Nie rozumiem.

– Pani nie z Polski? Teraz poznaję po akcencie. Żeby zrozumieć to, co się tu dzieje, trzeba tu mieszkać, i to od lat, a i tak nie zawsze się to udaje. Ja tu żyję ponad siedemdziesiąt lat i wciąż jestem zaskakiwany. Rok temu powiedziałem dość i wyniosłem telewizor na śmietnik. Wreszcie poczułem się lepiej. Wreszcie nie widziałem tego szczytu się nawzajem, tej nienawiści, tego robienia z ludzi idiotów, tego taniego populizmu. Od tej pory mam święty spokój. Trzeba to było zrobić wiele lat wcześniej, byłbym szczęśliwszy.

Dziwne słowa, nic a nic z tego nie pojęła, poza tym, że ten mężczyzna był tak bardzo rozgoryczony, że aż żółć się z niego ulewała.

Wtem ulica zapełniła się mnóstwem kolorowych ludzi. Grali na trąbkach, nieśli tęczowe flagi, transparenty nawołujące do równości, chłopcy obcałowywali chłopców, dziewczyny obcałowywały dziewczyny, krzyczeli, śpiewali, za wszelką cenę chcieli przykuć wzrok przechodniów. Niektórzy im przyklaskiwali, inni złorzeczyli, a jeszcze inni przechodzili obojętnie.

Agata przyglądała się temu z uwagą, bo nigdy wcześniej nie widziała parady równości. Trochę to było dla niej dziwne, ona na ich miejscu by tak nie manifestowała swoich preferencji seksualnych, bo to jej prywatna sprawa i innym nic do tego. Zdziwiła ją postawa grupki wygolonych wyrostków obrzucających ich ordynarnymi wyzwiskami. To było niepotrzebne. Po chwili przeszli i wszystko wróciło do normy.

Emeryt zauważył jej minę i parsknął śmiechem.

– Kiedy umarł papież Jan Paweł Drugi, wszyscy się godzili, jednali, a jak tylko go pochowano, od nowa rzucono się sobie do gardeł. Kiedy pod Smoleńskiem rozbił się samolot z dygnitarzami, sytuacja się powtórzyła. Kiedy Polacy grają mecz, kiedy Polacy skaczą na nartach, kiedy Polacy z kimś współzawodniczą, odżywa więź, wszyscy się jednoczą i wspólnie kibicują. Wtedy nieważne są poglądy polityczne czy preferencje seksualne. Jeśli wygrywają, to ten stan trwa dzień, może dwa. Kiedy przegrywają, od razu leją się pomyje z nieba i od nowa rozpętuje się wojna polsko-polska. Tak jest zawsze. Wiele lat temu żył taki przywódca Polaków, który nazywał się Piłsudski. Kiedyś powiedział bardzo mądrą rzecz, takie podsumowanie swoich rodaków, według mnie idealnie trafione w punkt.

Zaintrygowały ją te słowa.

– A co takiego powiedział?

– Polacy to wspaniali naród, ale ludzie to kurwy.

Agata natychmiast pomyślała o bękartach. Jako ludzi już ich dobrze poznała, pasowali do tego opisu jak ulał. Jako naród? Nie była ich ciekawa.

– Czemu tak jest? Czemu sobie tak życie komplikować? Przecież ono jest tak krótkie.

– Dobre pytanie. Nie wiem, to chyba siedzi w genach, a jeśli tak, to na to nie ma lekarstwa.

– I tym akcentem musimy zakończyć naszą rozmowę, bo muszę już iść – rzekła, podnosząc się z ławki.

– Było mi miło panią poznać. Spytam tak z ciekawości, a skąd pani przyjechała?

Zawahała się.

– Z Hiszpanii – odparła.

W domu przy Wernyhory już nie zastała biskupa, pojechał mamić bratanicę klienta. Bękart, siedząc w kuchni, piły wódkę i klóciły się zawzięcie. Na stole stały dwie flaszki, jeszcze jedna i Marek padnie pod stół niczym Pluto. Renata lepiej się trzymała, ale i jej przyziemienie było tylko kwestią czasu. Dziś Agaty to nic nie obchodziło. Teraz byli pod kuratelą swojego ojca. Niech on się martwi swoim pomiotem.

Jurij zamknął się w pokoju i manipulował przy programie projekcji. Pewnie też już odinstalował jej aplikację z telefonu Pakulskiego, tylko to tłumaczyło, dlaczego przestała działać, i to na amen.

– Mamy trzy dni ur... łopu, a nie jeden – wybełkotał Marek z wyraźnym trudem, bo alkohol zdecydowanie utrudniał mu artykulację mowy.

– Wyjeżdżam – oznajmiła im Agata pro forma, bo wiedziała, że w ich stanie jej słowa wpadną im jednym uchem i wypadną drugim, po czym poszła do swojego pokoju, gdzie wrzuciła do torby ciuchy i trochę kosmetyków.

Nie minął kwadrans, a mknęła ulicami Warszawy w kierunku wylotu na Płock. Z radia dolatywały gorące latynoskie rytmy, Georg siedział nieruchomo niczym sfinks na siedzeniu obok, a jego ślina jak zwykle wielkimi płatami spływała na skórzaną tapicerkę mercedesa. W okolicy Wiskitek na wskaźnikach zapaliła się lampka rezerwy i Agata zjechała na stację benzynową. Zatankowała paliwo do pełna i poszła do kasy zapłacić. Kiedy wróciła, ujrzała zaskakujący widok. Na siedzeniu kierowcy siedział szczupły młody mężczyzna o płochliwym spojrzeniu, pot lał mu się z czoła, pewnie ze strachu, bo jego prawe ramię zniknęło w potężnej paszczęce Georga. Wystarczyłby jeden gest ze strony Agaty, żeby stalowy uścisk zgruchotał mu kości. Psisko patrzyło błagalnie na właścicielkę, czekało tylko na sygnał od swojej pani.

– Georg, puść tego sukinsyna! – rozkazała, po czym wywlokła złodzieja na zewnątrz i rzuciła go na maskę. Wtedy nadjechało czarne audi A6 i zatrzymało się raptownie tuż za jej plecami. Agata błyskawicznie wyciągnęła broń i odwróciła się w jego kierunku. Samochód był na ukraińskich blachach, siedziało w nim trzech wygolonych wyrostków. Byli kompletnie zaskoczeni jej reakcją. Pewnie spodziewali się spanikowanej kobiety, a tu niespodzianka, glock kaliber 9 milimetrów wymierzony prosto w ich durne głowy. Wystraszyli się, widziała to po ich twarzach, po spanikowanych spojrzeniach i po reakcji, bo natychmiast odjechali, zostawiając swojego kumpla na łasce Agaty. Sukinsyny, tak dziękują Polakom za okazaną pomoc. Przeszukała złodzieja, zabrała mu portfel z dokumentami i dopiero teraz go puściła. Zrobiła zdjęcie jego paszportu i rzuciła mu wszystko pod nogi.

– Spieprzaj stąd, i to już, pókim dobra! – krzyknęła, po czym wsiadła do samochodu i odjechała. Po drodze wyjęła z torby świeżo kupionego hot doga, nazwanego przez mężczyznę stojącego tuż przed nią w kolejce na stacji parową Obajtko, co wzbudziło głośny aplauz pozostałych klientów. Nie bardzo wiedziała, w czym rzecz, ale pewnie ten Obajtek musiał być niezłym fiutem. Postanowiła, że jak dotrze do hotelu, to sprawdzi w Internecie, o co tu chodzi z tym facetem. Do celu miała jeszcze ponad osiemdziesiąt kilometrów. Nie spieszyła się, bo wiedziała, że i tak już dziś nic nie załatwi.

Wreszcie dotarła do Płocka. Zatrzymała się w hotelu Petropol w samym centrum miasta. Kiedy załatwiła wszystkie formalności meldunkowe i wypakowała bagaż, wklepała do telefonu adres Kolegialna 5. Mapy Google pokazały jej, że to jest niedaleko. Stwierdziła, że nie warto wsiadać do samochodu, tym bardziej że jest ładna pogoda, a przy okazji od razu jej i Georgowi przyda się spacer, bo ostatnio tylko leży i obrasta tłuszczem, co nie jest wskazane dla jego serca.

Trzymając iPhone'a w dłoni, ruszyła w miasto. Przeszła obok teatru, ciągu sklepów, przecięła na ukos wielki parking, na światłach poszła prosto ulicą Tumską. Jeszcze jedno światła i kolejne, ale tuż przed nimi skręciła w lewo. Była już na Kolegialnej. Teraz kierowała się numeracją domów. Numer pięć to była kamienica, tak jak zresztą większość budynków przy tej ulicy. Na parterze znajdowały się sklepy, jeden chemiczny, a drugi z ubraniami. Sądząc po szyldzie na murze, w podwórzu był klub „Czarny kot” zapraszający na tańce, karaoke i after party. Czemu tu nazwy są pisane w języku angielskim?, zastanowiła się. To jest głupie. Przecież w tym kraju mówi się po polsku. Mało tego,

tylko nieliczni mówili biegle po angielsku. Już będąc w bramie, poczuła smród stęchlizny wydobywający się ze zmurszałych murów. Zauważyła wejście na klatkę schodową. To mógł być jakiś punkt zaczepienia w jej poszukiwaniach. Postanowiła zapukać do pierwszych z brzegu drzwi i popytać o rodzinę. Na tę chwilę to był jedyny rozsądny pomysł, jaki jej przyszedł do głowy. Weszła do kamienicy i od razu natknęła się na czterech obwiesiów kopających jakieś cuchnące papierosy i przekazujących sobie z rąk do rąk butelkę wódki, niczym Indianie północnoamerykańscy fajkę pokoju. W pierwszym odruchu aż się cofnęła, tak była zaskoczona. Georg groźnie zawarczał, pysk mu się zmarszczył, odsłaniając jego wielkie białe kły.

– Pani się nas nie boi, my nie gryziemy. Już robimy przejście. Panowie, róbtą miejsce dla pani. Tym bardziej że ma rodwaila – odezwał się jeden z nich.

Grzecznie przesunęli się do ściany, niespokojnie zerkając na psa. Agata zrobiła głęboki wdech, Georga chwyciła za obrozę i ruszyła do przodu.

Zatrzymała się na pierwszym piętrze. Zapukała w pierwsze z brzegu drzwi. Cisza. Przeszła dalej, zobaczyła tabliczkę z napisem „Janina Kowalska”. Znow zapukała. Tym razem usłyszała z wewnątrz jakieś odgłosy, ktoś się zbliżał.

– Kto tam? – Usłyszała głos kobiecy.

– Dzień dobry, szukam informacji na temat rodziny Serafińskich.

– Jakich Serafińskich? Tu nikt taki nie mieszka.

– Według informacji, które mam, mieszkali tu trzydzieści lat temu.

– Niemożliwe, choć... Zaraz, zaraz, ma pani rację, była taka rodzina.

Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi się otworzyły. W progu stała starsza kobieta potężnej postury, ubrana w ciepły szary szlafrok. Na pewno miała dobrze ponad osiemdziesiąt wiosen na karku. Agata zwróciła uwagę na jej włosy, długie, śnieżnobiałe i bardzo kręcone. Kobieta przypatrywała jej się uważnie zza grubych szkielec staromodnych okularów wykonanych z materiału imitującego masę perłową.

– A pani kim jest dla tych Serafińskich? Czemu pani ich szuka po tylu latach?

– Wychowali mnie. Chcę się czegoś dowiedzieć o moim dzieciństwie.

Kobieta cofnęła się do mieszkania.

– Proszę wejść, zaparzę herbaty, porozmawiamy.

– Nie jestem sama, mam psa.

– Bardziej boję się ludzi aniżeli zwierząt. – Rzuciła spojrzenie na Georga i dodała: – Nawet tak dużych. Proszę do środka.

Agata z ciekawością rozglądała się po mieszkaniu. Wysokie, piękne, choć już niestety ciut zapuszczone, widać było od razu, że od lat nie remontowane. Stare metalowe żyrandole z pięknymi kłozkami wykonanymi z kolorowego szkła zwisały dostojnie z sufitów, niestety niektóre pozbawione większości żarówek, a jeśli jakieś już tam były, to mleczone ledowe, brutalnie odzierające je z całego szyku. Meble zaś to była prawdziwa mieszanina stylów, od tych w typie Ludwika, po nowoczesną szafę rodem z Ikei.

Kowalska posadziła ją na krześle przy starym dębowym stole. Był bardzo duży, stało przy nim sześć krzeseł, jednakowe, porządnie wykonane, na pewno jeszcze przedwojenne, bo teraz takich to już nie robią, wszystkie obite ciemnobrązową skórą. Agata natychmiast zwróciła uwagę na obrus. Był zrobiony szydełkiem. Spotykała takie na bazarach południowo-wschodniej Europy.

– Jakiej herbaty się pani napije? Może prawdziwej czarnej angielskiej? Wczoraj paczkę podarowała mi wnuczka. Sama jeszcze jej nie piłam. Ponoć jest bardzo dobra. Zaraz zaparzę.

Wyszła z pokoju, nim Agata zdążyła odpowiedzieć. W tym czasie przyszedł esemes od Kingsleya. W Stambule ujęto Omara Sheikha. To była dobra wiadomość, bo to on nagrał się na filmiku, który ISIS podrzuciło pod bramę ambasady amerykańskiej w Rijadzie. To on się odgrażał, że zemsta Allacha spotka wszystkich tych, co brali udział w zabiciu Osamy bin Ladena. Zawsze jeden popapraniec mniej krążący po tym świecie z bombami w plecaku i z obłędem w oczach.

Wróciła Kowalska. Na tacy przyniosła filiżanki i czajniczek. Z kredensu wyjęła jakieś ciasteczka. Agata zwróciła uwagę na srebrną cukiernicę.

– Piękna. – Nie kryła zachwyty, oglądając ją.

– Tak, to pamiątka po pewnej żydowskiej rodzinie. On był prawnikiem, ona grała na skrzypcach, pięknie grała. Zginęli w czasie wojny. Powiada pani, że Serafińscy panią wychowali? Dobrze usłyszałam?

– Zgadza się. Ponoć wzięli mnie z sierocińca. Tak w każdym razie twierdzili i nie mam podstaw, żeby w to nie wierzyć.

Kobieta się zasepiła. Próbowała sobie coś przypomnieć. Co chwila niespokojnie zerkała na Agatę.

– Nie pamiętam, żeby była z nimi jakaś dziewczynka.

– A nazwisko Pakulski mówi coś pani?

Kobieta w zamyśleniu pokręciła głową.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko, a jeśli chodzi o Serafińskich, to mam ich zdjęcia w albumie. Kiedy tu mieszkali, to się nawet przyjaźniliśmy. On był jednym z dyrektorów w Fabryce Maszyn Żwnych. Helenka pisała felietony do warszawskich gazet, chyba o modzie, o ile mnie pamięć nie myli. To już tyle lat minęło. Zaraz poszukam tych zdjęć.

Wstała z miejsca i głośno sapiąc, wyszła do sąsiedniego pokoju. Chwilę dochodziły stamtąd odgłosy przestawianych pudełek. Wróciła z grubym albumem w dłoni. Zaczęła go powoli wertować.

– Są! – oznajmiła nagle, pukając palcem w jedną z fotografii. Agata zerknęła jej przez ramię. Na czarno-białym zdjęciu była para młodych ludzi na tle kombajnu zbożowego Vistula; obejmowali się. Od razu poznała.

– Tak, to oni. Znam tę fotografię. Niestety, obydwójce od lat nie żyją. Zginęli w katastrofie lotniczej, ich samolot rozbił się podczas lądowania.

Kowalska, słysząc to, załamała ręce. Z oczu popłynęły jej łzy. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i przetarła oczy.

– O mój Boże, nic nie wiedziałam. Strasznie mi przykro. Byli tacy pełni życia i tacy młodzi.

– Powiedziała pani, że mnie nie pamięta. – Agata wróciła do tematu.

– Tak, kochana, kiedy żegnali się ze mną, byli sami. Dobrze pamiętam ten moment. Może cię przygarnęli już tam, za granicą?

– Nie, mam tutaj fotkę dokumentów, zaraz pani pokażę. – Wzięła telefon iPhone'a i zaczęła wertować galerie zdjęć.

– Jest!

Podaa kobiecie smartfon. Ta sięgnęła po okulary i spojrzała w ekran. Chwilę mu się w skupieniu przyglądała.

– No tak, widzę ich nazwisko. Dziwne, że nic nie wiedziałam. Może to była tajemnica. Wtedy były dziwne i trudne czasy, bo rządili komuniści. Zamykano ludzi w więzieniach już za same przekonania. Widzę tu też inne nazwisko, Parnicka. Mam słaby wzrok, kim ona była?

– Chyba moją matką, tak wywnioskowałam z dokumentu.

– Janina Parnicka? To nazwisko coś mi mówi, ale nie pamiętam co. Człowiek już stary, to i pamięć szwankuje. Na pewno kiedyś je gdzieś słyszałam.

Agacie mocno zabiło serce, wbiła w nią błagalne spojrzenie.

– Proszę, niech się pani skupi. To jest dla mnie bardzo ważne. Od tylu lat czuję się jak bezpański pies, jak szczenię porzucone w przydrożnym rowie. Chcę poznać swoje pochodzenie i widzę, że tylko pani może mi w tym pomóc.

– Rozumiem cię, moja kochana, ale naprawdę się staram. Parnicki, był taki pisarz, pisał książki historyczne, ale to nie o niego chodzi. Zostaw mi swój numer telefonu, jak mi się przypomni, to do ciebie zadzwonię. Tyle już rozmawiamy, a nic nie powiedziałaś o sobie. Gdzie mieszkasz? Czym się zajmujesz?

Agata się zakłopotaa. Nie chciała tej kobiety okłamywać, ale też nie mogła powiedzieć prawdy.

– Mieszkam w Stanach Zjednoczonych, ale z chęcią przyjeżdżam do Europy, choć w Polsce jestem pierwszy raz od dzieciństwa.

– No i jak ci się podoba twoja ojczyzna?

– Dziwny kraj. Chyba nie mogłabym tu żyć.

– Czemu dziwny? Teraz jest dużo lepiej niż kiedyś.

– Nie wiem, jak było kiedyś, ale widzę, co jest teraz. Sporo też wyczytałam w Internecie. Jesteście okropnie podzieleni. Nie wiem, czemu wbijają wam w głowę, że jesteście wyjątkowi, nacjonalizm zawsze czynił więcej zła niż dobra. Polska to kraj jak każdy inny. Niczym się nie wyróżniacie wśród pozostałych narodów prócz tego, że z uporem maniaka od wieków niszczyte wszystkie autorytety, legendy ludzi wielkich, zasłużonych dla tego kraju. Zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje. Czy to jakaś forma narodowej terapii? W takim razie jak się nazywa choroba, która was nęka? Polska to chyba jedyny kraj na świecie, gdzie świętuje się głównie tragedie narodowe. Czemu nie potraficie się cieszyć ze zwycięstw? Wasza mentalność ciągnie was w dół niczym ołów. Kiedyś słyszałam takie stwierdzenie: „Polak jest szczęśliwy, kiedy jest nieszczęśliwy”. Nie chciałabym żyć w takim kraju. To byłoby wbrew mojej naturze.

Kowalska wysłuchiwała jej wywodu w skupieniu. Kilka razy przytaknęła skinieniem głowy. Kilka razy energicznie zaprzeczyła.

– Widzę, że sporo się naczytałaś na temat Polski. Jest w tym dużo prawdy, to muszę przyznać. Jednak nasz kraj jest ostoją katolicyzmu, a jak mówią prorocy i ich przepowiednie, świat pograży się w chaosie i tylko Polska wyjdzie z tego obronną ręką.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie wierzę w przepowiednie, a odnośnie do proroków i jasnowidzów, od lat krąży u nas w Stanach taka anegdota. Przyszedł do Stalina jeden z nich i powiedział, że widzi przyszłość. Na to Stalin roześmiał się i odpowiedział: „Jesteś zwykłym oszustem, bo gdybyś potrafił przewidywać przyszłość, tobyś tu dziś nie przyszedł”. Po czym zawołał oficera NKWD i kazał proroka wysłać na Sybir.

– A czym się zajmujesz? – Kowalska zmieniła temat.

– Różnymi rzeczami, ostatnio odszukiwałam zagubione zwierzęta.

– Żebyś cię znała wcześniej, tobyś cię poprosiła o odnalezienie mojej Mruczusi. Zaginęła rok temu.

Agata z trudem pohamowała wesołość. Jedynie pokiwała głową.

– Faktycznie, szkoda. Muszę już się zbierać. Zapiszę pani kontakt do mnie i bardzo proszę o mnie pamiętać.

Wyjęła z torebki długopis i notatnik, wyrwała z niego kartkę i zanotowała numer telefonu.

– A masz męża, dzieci? – spytała niespodziewanie kobieta.

– Nie mam – odparła dość opryskliwie Agata i raptownie podniosła się z krzesła.

Kowalska zauważyła jej nagłą zmianę nastroju.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam. Stare baby mają to do siebie, że są okropnie wścibskie.

– Nie ma sprawy. Proszę o mnie pamiętać. Będę niecierpliwie czekać na telefon od pani.

Opuściła mieszkanie i zeszła na dół. Meneli już nie było. Zostały po nich jedynie pety na posadzce i dwie puste flaszki po winie. Wyszła na ulicę i zaraz się cofnęła. Całą szerokością jezdni i chodnikiem szła jakaś manifestacja. Nieśli biało-czerwone flagi i krzyczeli:

– Polska dla Polaków! Wieszać Żydów! Tusk zdrajca, wynoś się do swoich, do Niemiec! Pedaly do gazu! Trzaskowski agent Putina!

Piana leciała im z ust niczym Georgowi, tyle że oni mieli w oczach nienawiść. Przewracali śmietniczki, zaczepiali przechodniów, byli agresywni, jakby najedli się szaleju. Co dziwne, wśród nich Agata widziała takich, co mieli na sobie koszulki z napisami popierającymi LGBT, tyle że były one po angielsku. Tak oto nieznanomość języków zakpiła sobie z co niektórych. Po kilku minutach przeszli, na ulicy powrócił spokój. Agata ruszyła w stronę hotelu. Zadzwoił Pakulski, był bardzo zdenerwowany.

– Gdzie jesteś, do cholery? Potrzebuję cię!

O czym on gada? Sama słyszała, że projekcję przełożono o trzy dni.

– Jestem poza Warszawą – odparła wymijająco. – Miała być zwłoka, więc wzięłam wolne. Skoro jesteś na miejscu, to sam opiekuj się swoim potomstwem. Mnie wystarczy, że szarpnię się z tymi pijakami na wyjazdach. Nie można im czegoś wszczepić pod skórę? Oni są jak gąbki, wchłaniają wszystko, co ma w sobie alkohol. Mało tego, Renata daje sobie w żyłę. Wyślij ją na odwyk, bo któregoś dnia znajdziesz ją martwą ze strzykawką wbita w rękę.

– Wezmę się za nich, ale teraz działajcie. Klient ledwo dycha, nie można czekać nawet do jutra, bo stracimy kupę forsy.

Ty stracisz, pomyślała.

– Skoro tak, to zaraz wyjeżdżam, będę za jakieś dwie godziny, ale o ile dobrze pamiętam, to lwia część ekipy jest w sztok pijana. Jak sobie to wszystko wyobrażasz?

– Wspólnie z Jurijem podłączyliśmy im kroplówki, to powinno pomóc i za trzy godziny będą na nogach. Czekamy na ciebie. Mam nadzieję, że nie będzie za późno.

Nie odpowiedziała, wrzuciła telefon do torebki i spojrzała na Georga.

– Kiedyś pozwolę ci zatopić kły w tym sukinsynie, obiecuję ci.

Przechodziła akurat obok sklepu z butami. Zainteresowały ją czarne szpilki. Coraz częściej miała ochotę ubierać się bardziej kobieco, stopniowo odzwyczajając się od munduru. Weszła do środka i zapomniała o bożym świecie, to był chyba prawdziwy zew natury. Wyszła po godzinie z dwoma pudełkami butów, bo oprócz czarnych szpilek nie mogła się oprzeć czólenkom z wężowej skóry. Biskup się wścieknął, tego była pewna.

Nagle usłyszała krzyk. Spojrzała w tamtą stronę i od razu wszystkiego się domyśliła. Ulicą biegł w jej stronę jakiś obwieś, kurczowo ściskając w rękę damską torebkę. Przebiegł może ze sto metrów, ale kiedy mijal starszą kobietę wspierającą się na lasce, nagle wywinął koźła. To przez tę laskę, którą mu tamta kobieta umiejętnie podstawiła pod nogi. Złodziej chciał się podnieść, ale teraz Agata wkroczyła do akcji i wprawnym chwytem przycisnęła go do chodnika.

– Brawo, młoda. Skąd ty się wzięłaś? Spadłaś z księżycza? Teraz to każdy prędzej się odsunie, niż stanie na drodze złoczyńcy. Dziewczyno, masz jaja.

To ta kobieta. Na oko jakieś siedemdziesiąt lat, szczupła, z twarzą porytą głębokimi bruzdami, włosy siwe, ale starannie uczesane. Uśmiechała się życzliwie.

– Dziękuję, ale to nic takiego – odparła Agata, odwzajemniając uśmiech.

– Nie bądź taka skromna.

– Raczej to pani należy się mój wielki podziw, ten manewr z laską był mistrzowski.

– Lata praktyki, moja droga. Dziwnie gadasz, nie jesteś stąd? To wszystko wyjaśnia.

Kobieta pokiwała smętnie głową i nachyliła się nad opryszkaniem.

– To ty, Piosik? Kurwa mać, twój ojciec się w grobie przewraca. Nie był bez skazy, ale nie napadał na bezbronne kobiety. Wstydz się, łobuzie.

– Przepraszam, pani mecenas, to się już nie powtórzy. Kolega mnie namówił.

– Oby to był ostatni raz. Puść go. Dajmy mu szansę – zwróciła się do Agaty.

– Ale dlaczego? Oddajmy go policji.

– Wiem, że tego nie zrozumiesz, ale widzisz, mam dług wobec jego ojca i choć w ten sposób spłacę jego część. On wiele razy uratował mi życie. Jeśli oddamy chłopaka w łapy policji, to będę musiała go bronić w sądzie, na dodatek za darmo. Dlatego takie rozwiązanie jest lepsze tak dla niego, jak i dla mnie.

Agata puściła chłopaka, a ten natychmiast wzięł nogi za pas.

– Widzę, że jest pani płocczanką?

– Z dziada pradziada i już tak zostanie do śmierci. Sama się sobie nieraz dziwię, co mnie tu zatrzymało przez całe moje życie. Przecież jest tyle piękniejszych miejsc.

– To chyba zna pani sporo mieszkańców. Może coś pani mówi nazwisko Parnicka albo Serafińscy?

– Powiadasz Parnicka lub Serafińscy? – Kobieta chwilę się zastanawiała. – Przykro mi, ale nie. Dzisiejszy Płock to zupełnie inne miasto niż kiedyś, mieszka tu mnóstwo nowych ludzi. Pewnie szukasz znajomych z wakacji? Może chłopaka?

– Nie, to coś zupełnie innego.

– Pani Zuzo! – Jakiś mężczyzna wychylił się z pobliskiego sklepu zoologicznego. – Zapomniała pani zabrać pokarm dla papugi.

– O cholera. Człowiek się starzeje. Panie Mieciu, już wracam. Miło mi było cię poznać – zwróciła się do Agaty. – Gdybyś kiedyś ponownie zajrzała do Płocka, to odwiedź mnie. Wypijemy po kielichu, pogadamy. Nie mam wizytówki, ale jak na starówce zapytasz o Zuzę Lewandowską, to każdy ci wskaże mój adres. Trzymaj się.

Podpierając się laską, ruszyła do sklepu zoologicznego.

– Dziękuję za odzyskanie torebki.

To ta poszkodowana kobieta. Doszła zziębnięta do Agaty i odebrała swoją własność.

– Szkoda, że złodziej uciekł. Powinien zostać za to przykładowo ukarany.

– Szkoda – przytaknęła jej Agata. Spojrzała na zegarek, cholera, późno już, po czym energicznym krokiem poszła w stronę parkingu.

Bękarty już czekały na nią przed domem, nerwowo drepzcząc w miejscu. No proszę, co za dyscyplina! Niewiarygodne, to w ogóle do nich nie pasuje, pomyślała. Kropłówki pomogły, bo wyglądali na trzeźwych. Od Marka od razu poczuła mocny zapach anyżu. Nażarli się cukierków, żeby nie można było wyczuć od nich alkoholu. Głupia, naiwna metoda, znana od dziesiątków lat i nikt się już na to nie dawał nabierać. Zapakowali wszystko do samochodu, Agata wklepła adres w nawigację i pojechali do klienta. To był Żoliborz, zaniedbany stary domek jednorodzinny z płaskim dachem. Dziwne, że właściciela tej nieruchomości było stać na tak drogą usługę. Musiał być bardzo ważny, bo przed furtką stało kilku ochroniarzy, a na ulicy kręciła się policja. Agacie wystarczyło, że jeden z goryli na chwilę rozsunął poły marynarki, żeby się zorientować, jakie armaty mają tam ukryte. REX zero ICP. Nie miała najlepszego zdania o tej broni, bo potrafiła się zaciąć. Georga nie wpuszczono na teren, ponoć były tu inne zwierzęta, więc musiał zostać w samochodzie.

Weszli do budynku. W środku dom prezentował się dużo lepiej niż z zewnątrz. Przede wszystkim było czysto. Zapłakana starsza kobieta poprowadziła ich korytarzem. Po drodze przemknął im pod nogami jakiś kot. To pewnie o niego chodziło. W pokoju, pod aparaturą medyczną, leżał starszy mężczyzna. Był podłączony pod wszelkiego rodzaju węże, kable, na monitorach skakały jakieś wykresy. Wyglądał przez to trochę jak kosmita, a tak naprawdę to

było z nim bardzo źle. Nie trzeba było być lekarzem, żeby się zorientować, że ciągnie już jedynie na oparach życia. Tak jak zawsze Agata najpierw załatwiła wszystkie formalności. Przelew wpłynął, a więc jej rola była zakończona. Kim on był? Zastanawiała się, bo nigdzie w papierach nie było jego nazwiska, co się jeszcze nigdy w historii firmy nie zdarzyło. Ona sama nie знаła twarzy polskich prominentów, nawet tych z pierwszych stron gazet, bo dotąd mało ją to obchodziło. Zresztą i tak klient miał założoną maskę tlenową zasłaniającą mu pół twarzy. Pieniądze wpłynęły z konta jednej z partii, a zatem to polityk. Tytuł przelewu brzmiał: „Nowy świat”. Może i nowy, ale nie znaczy, że lepszy, bo jeśli informatykowi udało się zmienić program tak, jak zamierzał, to treść projekcji zapewne mocno odbiegnie od marzeń umierającego. Zamknęła notebook, schowała go do torby i wycofała się na korytarz. Teraz przyszła kolej na bękarty. Dziwne, bo dziś byli jacyś podenerwowani, wystraszeni. Co ich tak pobudziło? Wzięli coś, a może udzieliła im się atmosfera panująca w tym domu? Czekając w holu, widziała sporo ludzi kręcących się po budynku i szepczących po kątach. Pewnie z utęsknieniem czekali na agonię pryncypała, żeby rzucić się sobie do gardeł o schedę po nim. Tak zawsze było, kiedy umierał ktoś ważny. Byli jak zwykle ścierwojady.

Na ścianie wisiał portret starszego mężczyzny w mundurze i z marsowym obliczem. Wspierał się na szabli.

– Kto to jest? – spytała przechadzającego się ochroniarza.

Spojrzała na nią jakoś dziwnie, tak jakby myślał, że żartuje.

– Jak to kto? Każdy wie, że to marszałek Piłsudski.

– Widocznie nie każdy – odparła. Teraz skojarzyła nazwisko, opowiadał jej o nim przypadkowo spotkany mężczyzna.

Wyjęła cygaro.

– Tu nie wolno palić. Szefowi to szkodzi – zrugął ją.

– Jemu już nic nie zaszkodzi – mruknęła pod nosem.

Nie chciała jednak awantury, więc je na powrót schowała. Zadzwoił Kingsley.

– Georg senior zachorował. Nie wiem, czy go ktoś nie otruł. Chyba i on się starzeje, bo był nauczony, żeby od nikogo nic nie przyjmować. Zaraz go wiozę do konowala.

– Bzdura! Kto mógł go otruć, skoro, o ile wiem, to na wyspie poza tobą nie ma nikogo?

– Tak, ale co pewien czas zdarzają się jacyś ciekawscy. Ostatnio pogoniłem turystów z Holandii. Kilka strzałów z obrzyna w powietrze i zwiewali, że aż jeden z nich buty zgubił.

– Bądź dobrej myśli i daj znać, kiedy wrócisz od weterynarza. To na razie, bo teraz nie mogę rozmawiać.

Schowała telefon do torebki. Widziała, że podczas rozmowy ochroniarz czujnie się jej przyglądał. Pewnie wydało mu się to mocno podejrzanym.

– Rozmawiałam po angielsku, nie po rosyjsku – rzekła zaczepnie do niego z szerokim uśmiechem na twarzy. Bąknął coś pod nosem i się oddalił.

Po dwóch godzinach w willi rozległ się gromki lament, tak jakby wielki mąż stanu opuścił ten ziemski padół, a to... No właśnie, kim on był?

Bękarty wyszły z pokoju klienta jeszcze bardziej zdenerwowane niż wcześniej. Coś się musiało wydarzyć, coś nieprzewidzianego. Agata nie dopytywała co, na to nie było czasu. Teraz należało jak najszybciej opuścić ten dom. Na szczęście wszyscy byli tak przejęci odejściem pryncypała na wieczny spoczynek, że nikt im w tym nie przeszkodził.

– Co się tam, do cholery, stało? – spytała, kiedy ruszyli w drogę powrotną.

– Obudził się podczas projekcji – odparła Renata. – Coś było popieprzone z programem. Jurij coś spierdolił. Na szczęście udało mi się go uspokoić. Dobrze, że nikt tego nie widział, bo nie wiem, co by wtedy było.

To jest następny sygnał, żeby opuścić tę ekipę, i to pilnie, pomyślała Agata.

Odtransportowała ich do willi na Wernyhory, gdzie od razu wybuchła awantura z informatykiem. Renata i Marek zarzucili go pretensjami, że schrzanił program, że ich naraził. On się bronił tym, że dostał za mało czasu, że pretensje mają kierować do Pakulskiego, bo to on wszystkim zarządza.

Agata nie zamierzała dalej tego słuchać, a że pogoda była ładna, to poszła z Georgem na spacer.

Zadzwoił telefon. Zerknęła na wyświetlacz, ale ten numer jej nic nie mówił.

– Słucham.

– Tu mówi Kowalska, dziś była pani u mnie. – Usłyszała cichy, drżący kobiecy głos. Serce jej mocniej zabiło. Czyżby tamtej pamięć wróciła i miała dla niej nowe informacje? Oby tak było!

– Witam panią.

– Przypomniało mi się. Może pani do mnie wpadnie? Nawet wieczorem, chodzę późno spać.

Agata spojrzała na zegarek, późno już. Kobieta nie wiedziała, że ona jest w Warszawie. Niestety, nie zdąży dziś do niej dojechać.

– Będę u pani jutro przed południem. Może być? Pasuje pani?

– Oczywiście, będę czekać. Poczęstuję panią tą dobrą herbatą. Mam też świeże ciasteczka, moja wnuczka robi najlepsze. Przekona się pani. Powiem pani tylko, że Parnicka była siostrą Halinki Serafińskiej. Wiem, że miała córkę, ale to nie jest historia na telefon. Proszę przyjść, to wszystko pani opowiem.

– Dobrze, na pewno będę. Dziękuję pani bardzo. Do jutra!

Jak tylko zakończyła połączenie, zairzała do aplikacji szpiegującej biskupa. O dziwo, znów działała. Odbył dwie rozmowy. Ostatnią przed chwilą. Rozmawiał z jakimś polskim dygnitarzem. Tamten był bardzo zdenerwowany, bo oskarżali go o spisek, o to, że wykończył swojego pryncypała. Okazało się, że ktoś ściągnął do chorego specjalistę z Ameryki, ale ten nawet nie zdążył zobaczyć pacjenta, bo przez projekcję przyspieszono jego śmierć. Rozpętała się awantura. Rozmówca nalegał, żeby pilnie opuścili Polskę. Był pewien, że dojdzie do skrupulatnego śledztwa i na pewno nikt się z tego nie wywinie. Agata była wściekła. Nie ma mowy, nie zmuszą jej do tego, bo jutro musi być w Płocku.

Georg zawarczał ostrzegawczo.

– Kochana, masz fajkę? – zaczepił ją jakiś mężczyzna z trudem utrzymujący się na nogach.

– Idź do diabła! – warknęła i ruszyła w drogę powrotną.

Jeszcze długo słyszała zza pleców jakieś przekleństwa. Georg co chwila zerkał w tył i warczał.

Na Wernyhory czekał już na nią biskup. Był cały roztrzęsiony, aż mu się ręce trzęsły ze zdenerwowania. To ją tylko utwierdziło w tym, że doszło do sporej wpadki, że mają poważne problemy.

– Dobrze, że jesteś. Musicie wyjechać, i to jeszcze dziś – zakomunikował jej. – Jurij już jest na lotnisku. Zaraz odlatuje do Stambułu.

– Ja się nigdzie nie wybieram – oświadczyła stanowczym głosem.

– Jak to nie jedziesz? – Spojrzał na nią zdziwiony. – Mamy umowę, nie możesz tak sobie zwyczajnie jej zrywać. Tu robi się cholerny smród wokół naszej działalności, musimy to gdzieś w spokoju przeczekać. Mamy klienta w Niemczech, w Badenii-Wirtembergii. Polecicie do Stuttgartu, a stamtąd udacie się do Pforzheim. Później wybieracie się do Lizbony i na tym koniec. Weźmiecie urlop, sprawa przycichnie i wracamy do roboty.

– Wyślij ich samych, ja tam później dojadę. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

– To niemożliwe, chyba wiesz, jak się to kończy, kiedy są bez nadzoru.

Wiedziała, że to nie tylko o nich chodzi. Zapaliła cygaro. Pakulski wciąż stał przy niej i najwyraźniej czekał, aż zmieni zdanie. Obłeśny grubas, cały spocony ze strachu, czuła na sobie jego cuchnący oddech.

– Mogę iść na kompromis – oznajmiła mu po chwili zastanowienia. – Pojedziemy tam autem, a po drodze zatrzymamy się na nocleg.

– Byle nie w Polsce. Musicie stąd uciekać. Tu nie jest bezpiecznie.

Ciekawe, co za program zaserwowali temu politykowi? Chętnie by poznała jego smaczki. Pewnie był godny Oscara. Sybir to ostatnio nawet bardzo modny temat w kinematografii.

– Oczywiście, że nie – skłamała. – W Niemczech skręcimy do jakiegoś motelu przy autostradzie.

– Dobra. To pakujcie się, ja przeczekaam całe to zamieszanie w warszawskiej kurii. Zresztą jestem biskupem i mam watykański paszport, to nic mi nie zrobią.

Chwyciła go za ramię i spojrzała mu w te jego małe kłamliwe oczy.

– Co tu jest grane? Nigdy nie pytam, co wy tam kombinujecie. Robię swoje i koniec, ale tym razem będę naciskać, bo nie chcę być czymś zaskoczona. Mów, bo tu chodzi nie tylko o wasze bezpieczeństwo, ale i moje. Od jakiegoś czasu widzę, że coś na boku kombinujecie, że przy okazji kręcicie swoje lody. Zauważyłam, że część pieniędzy idzie na jakieś inne szwajcarskie konta. Nic mnie to nie obchodzi, ale jeśli przez to zaczynacie narażać moje bezpieczeństwo, to już jest inna sprawa. A więc?

Biskup wyraźnie się zakłopotał. Najwyraźniej ważył w myślach, czy należy być szczerym i wyznać prawdę, czy też iść w zaparte. Agata bez problemu wyczytała to z jego miny. Kim jak kim, ale karciarzem byłby słabym. W pokera w mig przegrałby ostatnie gacie.

– Jak się domyślasz, to był polityk, bardzo znany w Polsce polityk – zaczął drżącym głosem. – Komuś szalenie zależało, żebyśmy zmienili mu program, żeby zamiast wspaniałego świata pod swoim przywództwem zobaczył się w kryminale, i to w sowieckim, a na dodatek w towarzystwie swoich współpracowników. Ponoć na to zasłużył. Jurij zmienił wszystko, ale robił to na chybcika i coś się popsulo. Klient zamiast odejść na koniec projekcji, na chwilę od-

zyskał przytomność i wyrzyczał, że zesłaliśmy go do gwałtu, że go oszukaliśmy. Wprawdzie w pokoju byli tylko Marek i Renata, ale jak się okazało, ktoś to po kryjomu nagrał, co było wbrew umowie.

– Wy też ją złamaliście. Zwróćcie im pieniądze. Może to wystarczy?

– To jest stanowczo za mało. Oni są jak sekta i teraz są wściekli, przez co mogą się posunąć do wszystkiego. W każdym razie w Polsce jesteśmy spaleni. Mogą nas nawet oskarżyć o zabójstwo, a to, jak wiesz, już grubsza sprawa.

O czym on gada? Co jeszcze przed nią ukrywa?

– Jakie zabójstwo? Co ty wygadujesz? Przecież każdy zna zasady. Ci ludzie są już pod kreską, umierają.

– No właśnie – przytaknął jej. – Ale wiesz, jak to jest. Jak się chce znaleźć na kogoś paragraf, to zawsze się znajdzie.

– Chyba tu można by znaleźć ich kilka – zakpiła.

Nie zareagował na tę uszczypliwość, udał, że nie usłyszał. Spojrzał nerwowo na zegarek.

– Jedźcie już, błagam. Zniknijcie z Polski, póki nie zaczną was szukać, bo na razie stoją w miejscu, nie wiedząc, co czynić. Ale niebawem się otrząsną.

Agata więcej z nim nie dyskutowała, nie było sensu, bo wiedziała, że on i tak więcej jej nie powie.

Wrzucili swoje plecaki do bagażnika i kwadrans potem mknęli ulicami Warszawy w kierunku wylotu z miasta. Agacie coś nie dawało spokoju, wciąż myślała o słowach biskupa, analizowała je. Może czegoś więcej dowie się z Internetu? Lewą dłoń trzymała na kierownicy a prawą zaczęła manipulować przy smartfonie. Kim był ten polityk? Włączyła jeden z portali informacyjnych i... o mało nie spowodowała wypadku.

– Kurwa mać! – ryknęła ile sił w płucach i zjechała na pas awaryjny. Zatrzymała samochód i odwróciła się do tyłu w stronę bękartów.

– Czy wiecie, kogo poprowadziliście na drugi świat? Czy wiedzieliście o tym wcześniej?

Jedynie skinęli głowami.

– I co? I wy nic na to? Czy was już zupełnie popierdoliło? Nie wiedzieliście, w jakie gówno wdeptujecie?

– A co mamy powiedzieć? Klient to klient. Ojciec kazał do niego jechać, to pojechaliśmy – odparł Marek.

– Jesteście kompletnymi idiotami. Nie jeździ się do takich ludzi, nawet gdyby proponowano wam za to górę pieniędzy. Będą was szukać, aż znajdą, a wtedy marny wasz los. Ta sprawa szybko nie ucichnie, jeśli w ogóle ucichnie. To było co najmniej szalone. Jesteście w szambie, i to po uszy.

– Ciebie też będą szukać, nie tylko nas – zauważył Marek z kpina w głosie.

Dureń wciąż nie zdawał sobie sprawy z ich położenia.

– Ja sobie poradzę, ale wy na pewno nie. Nawet Watykan was nie obroni. Zresztą pewnie się was wyprze. Pamiętajcie, zawsze znajdzie się jakiś świr, fanatyk, który kiedyś was dorwie, ale w sumie to mi was nie żal.

Ruszyła w dalszą drogę. Kiedy mijali Łęczycę, zjechała z autostrady, co nie umknęło uwadze jej współtowarzyszki.

– Co się stało? Czemu skręciliśmy? – spytała, wyraźnie zaniepokojona, Renata.

– Nic się nie stało. Zatrzymujemy się na nocleg. Jutro pojedziemy dalej – odparła Agata, zerkając w lusterko. Widać, jak spojrzeli po sobie, potem Marek nachylił się nad swoim telefonem. Sukinsyn, pewnie pisał esemesa do Pakulskiego, pewnie mu się poskarżył. Zgadła, bo jej iPhone się rozdzwonił, sprawdziła, to numer biskupa. Nie zamierzała odebrać połączenia, nie chciało jej się z nim kłócić, bo decyzji nie zmieni. Tak czy owak, nie opuści Polski, nim się nie zobaczy z Kowalską. Tamta kobieta ma swoje lata i może nie doczekać jej następnej wizyty.

Przy drodze zobaczyła mały hotelik. Jednopiętrowy, z zewnątrz wyglądał na bardzo zaniedbany. Pewnie niski standard, bo próżno było szukać choć jednej gwiazdki na jego szyldzie. On sam nawet nie był podświetlony. To było idealne miejsce na nocleg. Wjechała na wyboisty szutrowy parking, zatrzymała pojazd, wysiadła i zaczęła wypakowywać swoje bagaże, nie czekając na resztę towarzystwa. W końcu i oni wyłonili się z wnętrza auta. Renata i Marek marudzili coś pod nosami, szeptali między sobą, co chwila wrogo zerkając na nią, ale nie mieli innego wyjścia i musieli za nią iść. Biskup wciąż dzwonił, aż w końcu Agata ze złością wrzuciła telefon do skrytki auta. W torebce miała drugi aparat do bardziej osobistych kontaktów i mniej upierdliwych rozmówców.

W recepcji siedziała mizerna dziewczyna z długimi paznokciami pomalowanymi w przedziwne fantazyjne wzory. Sądząc z obłożenia hotelu, miała na te zabiegi sporo czasu. Agata z zainteresowaniem obserwowała, jak się tamta męczy, biorąc długopis. To była prawdziwa ekwilibrystyka, ale poradziła sobie.

Z klawiaturą komputera miała jeszcze większe problemy, więc wypełnienie formularzy meldunkowych trwało wiecznie. W końcu dostali klucze do pokoi i mogli się rozpakowywać.

Agata cisnęła swój plecak i wyszła z Georgem przed hotel. Wybrała numer Kingsleya.

– Co z twoją psiną? Miałaś dzwonić.

– Wszystko w porządku. Konował dał mu zastrzyk i przeszło jak ręką odjął.

– No to się cieszę. Uściskaj go ode mnie.

– Słyszałem, że masz nowe kłopoty.

– Skąd o tym wiesz? – zdziwiła się.

– Wszystkie media o tym trąbią. Wprawdzie nigdzie się nie pojawiła nazwa twojej firmy, ale domyślam się, że to o was chodzi. Jak mogłaś do tego dopuścić? Jesteś profesjonalistką, a tu taka wtopa.

Miał rację i słusznie ją ochrzaniał. Powinna była sprawdzić klienta, ale w tym czasie co innego miała w głowie i nic nie miała na swoją obronę.

– Sama nie wiem, chyba zbyt lekko podeszłam do tego zlecenia. Nie znam polskich polityków, nie śledzę zbyttno tego, co tu się dzieje, bo tego w ogóle nie da się zrozumieć. Teraz wiem, że to był błąd. Jesteśmy trzysta pięćdziesiąt kilometrów od granicy i jutro w południe powinniśmy być w Niemczech.

– Jutro w południe? Zamierzasz iść do granicy, czołgać się czy jechać? Powinnaś być tam za niecałe trzy godziny. Lepiej nie zwlekaj, bo jak cię dorwą, to trudno będzie cię stamtąd wyciągnąć. Wypierdalaj z Polski, i to natychmiast. W tej chwili jesteście wrogami numer jeden dla blisko połowy Polaków. To tylko kwestia godzin i wszędzie będą opublikowane wasze podobizny. Naprawdę, to nie są żarty.

Po jego głosie poznała, że jest bardzo zdenerwowany, co mu się ostatnio nie zdarzało.

– Nie ma mowy. Nawet nie chcę o tym słyszeć. Mam tu jeszcze pewną sprawę do załatwienia.

– Dobra, ale gdyby trzeba było porzucić samochód, daj mi cynk, to kogoś poproszę i podjedzie po ciebie. Jeszcze mam kilku znajomych w naszej ambasadzie w Warszawie. Przerzucą cię jako bagaż dyplomatyczny. Na pewno nie odmówią pomocy.

– A gdzie ty nie masz znajomości? – Zaśmiała się. – Myślę, że nie będzie takiej potrzeby, ale dziękuję za troskę. Pewnie zapomniałaś, że cię prosiłam o wyniki sekcji Franka Hendersona.

– Pamiętałem, ale na prośbę rodziny sekcji nie przeprowadzono.

– Cholera – zaklęła, bo pokładała w tym duże nadzieje. Nie kryła zawodu, bo straciła szansę na uzyskanie odpowiedzi na kilka nurtujących ją pytań.

– Czyżbyś coś podejrzewała? Naprawdę myślisz, że oni ich zabijają? – dopytywał.

– Sama nie wiem, ale to dziwne, że po projekcji wszyscy zgodnie wyciągają nogi. Wielokrotnie sprawdziłam ich urządzenie, przeszukałam rzeczy, nawet przepatrzyłam im telefony i nic podejrzanego nie znalazłam.

– Ile było tych projekcji?

– O ile dobrze pamiętam, to dwanaście.

– Niemożliwe, żeby nikt nie zrobił sekcji zwłok. Gdyby coś wyszło, toby tego nie zamieciono pod dywan. To nie te czasy, że można było coś ukryć. Dziś każdy każdemu patrzy na ręce.

– Pewnie tak – odparła bez przekonania i zakończyła połączenie. Ręce znów jej drżały, w kieszeni miała butelczkę z vicodinem, łyknęła dwie pastylki i poszła z Georgiem na długi spacer. Psisko ledwie się wlokło, tak było zapasione. Obiecała sobie, że kiedy to wszystko się skończy, powróci do dawnej aktywności fizycznej.

Renata nerwowo chodziła po pokoju.

– Przestań tak łązić, bo mnie to wkurwia! – ryknął na nią Marek.

– Co innego cię wkurwia. Ta suka nas wszystkich wydmała. Powinniśmy być już w Niemczech. Czemu ona tak zwleka? Nie ufam jej. Może za swoją wolność odda nas w ręce policji?

– Gadasz jak potłuczona. Nie wyda nas nikomu. To służbistka. Ma kontrakt z naszym tatuśkiem i go dotrzyma. Prędzej on nas wystawi. To chuj, jakich mało. Sama wiesz, że może nas nieźle pograć.

Usłyszeli jakiś pojazd zatrzymujący się na parkingu. Trzasnęły drzwi.

Renata podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Pewnie przyjechali po nas! Trzeba uciekać! – wpadła w panikę.

– Przestań. To przecież hotel. Skąd by wiedzieli o nas?

– To ta suka. Mówię ci.

– Więc co proponujesz?

– To ty jesteś facetem. Zrób coś. Obezwładnij ją, później ją zwiążemy i tu zostawimy, a sami pojedziemy do Niemiec. Jeszcze nie jest na to za późno.

Marek poderwał się z krzesła i podszedł do siostry.

– Powiedz mi, jak mam tego dokonać? Ta suka jest wyszkolona, ma broń, a na dodatek tego kundla. Rottweiler to jest urodzony zabójca. A jak się nie uda i ona nas tu zostawi? Chcesz zgnić w pierdlu? Prędko zeń nie wyjdiesz, jeśli w ogóle. Chodź lepiej na dół, napijemy się.

– Tchórz!

– Odezwała się bohaterka – sztych. – Jak dotąd to ty jej bardziej słuchasz niż ja. Nigdy się jej nie przeciwstawiłaś. Najlepiej to coś zrobić czyimiś rękoma.

– Spierdalaj, idę się napić.

Zaczęło padać, więc Agata rada nierada musiała zawrócić do hotelu. Bękartów nie zastała w pokoju, pewnie jak zwykle zeszli na dół do restauracji i walili w szyję. Dziś nie zamierzała interweniować, bo stwierdziła, że pijani przynajmniej będą spokojniejsi. W pokoju był telewizor. Włączyła go, ustawiła na TVP i obejrzała bardzo dokładnie program informacyjny. Trąbiono o zamachu na czołowego polskiego męża stanu, ale ich podobizn jeszcze nigdzie nie umieszczono. W tym momencie to była dobra informacja i oby ta chwila trwała jak najdłużej.

Na wszelki wypadek całą noc czuwała przy oknie. Rano wzięła zimny prysznic, to ją trochę orzeźwiło, pomogło jej jako tako się ogarnąć. Mimo ich nieciekawej sytuacji jej głowę zdominowały myśli o spotkaniu z Kowalską. To był dla niej priorytet. Denerwowała się. Tyle lat o dzieciństwie w ogóle nie myślała, a teraz to wszystko wybuchło niczym wulkan. Jeszcze przed śniadaniem, wykorzystując to, że Renata i Marek spali, pojechała do Płocka.

Trudno, najwyżej wyciągnę ją z łóżka, pomyślała, wchodząc do kamienicy przy ulicy Kolegiatnej 5.

Punkt dziewiąta zapukała do jej drzwi. Po chwili usłyszała czyjeś kroki, zazgrzytał klucz w zamku i drzwi się uchyliły. Kowalska była w samej koszuli nocnej, ale, co dziwne, wcale nie była zaskoczona tak wczesnym najściem.

– Już od świtu nie śpię i myślę o tobie, kochanieńka. Proszę, wejdź.

Zaprowadziła ją do pokoju, tam gdzie poprzednio. Usiadły przy stole.

– Już zaparzam herbatę.

I nim Agata zdążyła cokolwiek powiedzieć, kobieta zniknęła w kuchni. Wróciła po dłuższej chwili, która wydała się wiecznością. Przyniosła tacę, a na niej filiżanki, czajniczek. no i obiecane ciasteczka zrobione przez wnuczkę.

– Cieszę się, że mi się wszystko przypomniało. – Kowalska od razu przeszła do meritum sprawy. Chyba jej to bardzo ciążyło. – A więc to było tak. Mogę mylić daty, no bo tyle już czasu minęło, ale nie fakty. Otóż Parnicka, czyli twoja mama, była siostrą Halinki Serafińskiej. Ona była niewidoma, biedna dziewczyna, bo to straszne kalectwo. Bóg jej nie dał wzroku, ale dał jej wybitny talent muzyczny. Wspaniale grała na fortepianie. Kiedyś przyplątał się do niej pewien mężczyzna. To był bardzo nieciekawym człowiekiem, pamiętam, Serafiński twierdził, że on ma coś z głową. Według niego po prostu był szalony. Nie wiadomo, jakim cudem przypadli sobie do gustu. On dosłownie zwariował na jej punkcie. Nachodził ją codziennie, ponoć nawet się jej oświadczył. Helenka postanowiła coś zadziałać w tej sprawie i skontaktowała się z jego rodziną, a konkretnie z jego starszym bratem. On, jak się okazało, był bandziorrem, ale o dziwo podszedł ze zrozumieniem do problemu, bo dobrze znał swojego brata. Obiecał, że tamten się odczepi, że biedaczce odpuści. Owszem, odpuścił, ale było już za późno, bo dziewczyna zaszła w ciążę, a po dziewięciu miesiącach urodziła się dziewczynka, czyli ty.

Agata słuchała tej opowieści w wielkim napięciu. Wreszcie, po wielu latach, udało jej się odkryć swoją przeszłość, swoje pochodzenie. Nie wiedziała, że jej matka była niewidoma, Serafińscy nigdy jej tego nie powiedzieli, a tym bardziej nie pisnęli nawet słowa o tym, że ojciec był czubkiem. Co jeszcze przed nią ukryli?

– Czy ona żyje?

– Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam nawet, że oni ciebie zabrali. Twoja matka miała siostrę i nikogo poza nią. Nie sądzę, żeby ją zostawili samej sobie. To byłoby nie w ich stylu. Ale to tylko mój domysł. Tak czy owak, możesz popytać pod jej starym adresem, bo tamta kamienica była własnością ich rodziny i, o ile wiem, komuniści im jej nie zabrali. Jeśli została sprzedana, to będzie jakiś ślad w hipotece, jakiś adres.

– To wszystko? Nic więcej pani nie wie? – Agata nie kryła rozczarowania, bo pozostanie w Polsce jeszcze na kilka dni akurat w tym momencie nie wchodziło w grę.

– Niestety nie.

– A jak nazywał się ten, co ją nachodził, ten niby mój ojciec?

– Wiesz, co ci powiem? Ty lepiej o nim zapomnij i trzymaj się z daleka od tej rodziny. On chyba nie żyje, coś mi się o uszy obilo, że go zamordowano, jakieś bandyckie porachunki, zaś jego brat to gangster.

Agacie serce mocniej zabiło.

– Czyli ten starszy żyje? On będzie znał odpowiedzi na moje pytania.

– Wydaje mi się, że go niedawno widziałam, kiedy byłam na zakupach w Biedronce. Stał przed sklepem i rozmawiał z jakimś innym mężczyzną. W pierwszej chwili go nie poznałam, dopiero jak wróciłam do domu, to mnie coś oświeciło. Kochanieńka, pij herbatę, bo ci wystygnie. Poczęstuj się ciasteczkiem.

Rada nierada, musiała ich spróbować, żeby nie robić przykrości staruszce. To były lukrowane pierniczki o wyrafinowanym smaku. Faktycznie bardzo smaczne, zjadła dwa.

– A jak się on nazywa? Pamięta pani?

– Tak, tak, pamiętam. W moim wieku wciąż zapominam, czy wzięłam leki, ale to pamiętam. Nazywa się Janusz Sobieraj. Pamiętam dlatego, że w mojej rodzinie byli Sobieraje. Na szczęście to byli porządni ludzie, nie żadni bandyci. On był rejentem i bardzo go szanowano, ona zaś...

– A gdzie mieszka ten Sobieraj? – weszła jej w słowo Agata. Nie bardzo ją interesowała historia tamtych Sobierajów, zaś tego bardzo.

– Mieszkał na Radziwiu, przy ulicy Kolejowej. Czy teraz tam mieszka to nie wiem. Więcej ci, kochana, nie pogmogę. Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

– I za to pani dziękuję. Znajdę tego sukinsyna, choć właściwie powinnam powiedzieć: wujka, ale jakoś mi to przez gardło nie przechodzi po tym, co od pani usłyszałam.

– Uważaj, kochanieńka, na niego, ta rodzina to źli ludzie. Mogą ci krzywdę zrobić. Pamiętam, jak Helenka mi opowiadała, że go podejrzewali o zabicie taksówkarza. Wprawdzie mu tego nie udowodnili, ale coś mogło być na rzeczy.

– Spokojnie, poradzę sobie.

Agata dopiła herbatę, wzięła na drogę jeszcze jedno ciasteczko i podniosła się z krzesła. Uścisnęła Kowalską na pożegnanie.

– Wiesz, jesteś bardzo podobna do mamy, te same usta, nawet głos – wydukała staruszka z łzami w oczach. – Błagam, bądź ostrożna.

– Proszę się nie obawiać, poradzę sobie – powtórzyła Agata.

Jeszcze raz uściskała staruszkę i opuściła jej mieszkanie.

Zeszła po schodach i znów trafiła na pijaczków łożących tanie wino prosto z butelki. Tak jak poprzednim razem, grzecznie się rozsunęli, robiąc przejście. Kiedy już ich minęła, nagle się zatrzymała.

– Panowie, może znacie niejakiego Janusza Sobieraja?

Spojrzeni po sobie. Czyżby przypadkowo rzucone pytanie okazało się strzałem w dziesiątkę?

– A pani to kto? Z policji? – spytał zaczepnie jeden z nich, wysoki, chudy z zapadłymi policzkami i długim nosem. Wyglądał na najmniej pijanego, bo jego kompani ledwie trzymali się na nogach.

Agata parsknęła śmiechem.

– A czy ja wyglądam na policjantkę?

– Jeśli nie, to czemu trzymasz glocka pod kapotą?

Faktycznie, wprawne oko mogło wychwycić fragment rękojeści pistoletu chwilami wynurzający się spod niedopiętej kurtki.

– Znasz się na broni. Byłeś w armii?

– Owszem, byłem na misji w Afganistanie i zobacz, jak skończyłem. Walę tanie wino na klatce jakiejś zaszranego kamienicy. Myślisz, że my, weterani, kogoś obchodzimy? Wszyscy mają nas w dupie, mało tego, uważają nas za zabójców. Te skurwysyny kiedyś moim kumplom nawet zrobiły proces. Chcieli ich pozamykać, ścierwa jedne. Zaszranego żyćcie.

Wyrwał kumplowi butelkę z dłoni i uniósł ją do ust. Upił duży łyk i podał ją następnemu. Rękawem kurtki wytarł usta.

– Gdzie konkretnie służyłeś?

– W prowincji Ghazni, ale to stare dzieje. Nie chcę o tym gadać, chyba że postawisz mi wino.

– Nam też, nie tylko jemu – wtrącił się jeden z jego kompanów.

– Zamknij się. Z jakiej racji tobie? Ty nie narażałeś dupy, ty nie dostałeś postrzału w ramię! Ty nawet nie wiesz, co jest armia. Jedynie, co robisz od lat, to chłasz wińsko lub browar, i to na krzywy ryj! – ryknął na niego. Jego mina i zachowanie świadczyły, że to wciąż bardzo krwawiące wspomnienia. Agata dobrze знаła ten ból i być może dlatego poczuła do niego sympatię.

W każdym kraju jest to samo. Kiedy odchodzisz ze służby, idziesz w zapomnienie, państwo ma cię w dupie, a jeśli brałeś udział w jakiejś niefortunnej wojnie, jest jeszcze gorzej, bo władza za wszelką cenę chce puścić to w niepamięć, a ty jesteś świadkiem ich porażki. Najboleśniej odczuli to żołnierze wracający z Wietnamu, gremialnie byli odrzuceni przez amerykańskie społeczeństwo, a przecież nie poszli tam walczyć jako ochotnicy, wręcz byli do tego zmuszani. Na misjach Agata wielokrotnie spotykała Polaków, to byli dobrzy żołnierze, choć według niej chyba za dużo pili, ale tak naprawdę to wszyscy pili, czemu trudno było się dziwić. To była wojna, w każdej chwili można było zginąć, choćby od zbłąkanej kuli. Wystarczyło mieć pecha i wracałeś w metalowej trumnie.

– Ja też byłam w Afganistanie, później w Syrii, mnie też kopnęli w tyłek, ale nie skończyłam tak jak ty z flaszką taniego wina w łapie w towarzystwie mętów na jakiejś tam klatce schodowej. Weź się, chłopie, w garść, w tym głównym świecie musisz liczyć tylko na siebie. Nie pozwól, żeby cię wyrzuciono poza margines. Pokaż im faka.

– Polska to nie Ameryka. Powiadasz, że byłaś w Syrii, a więc służyłaś u Amerykanów, no bo nie u Ruskich. Mam rację?

– Może tak, a może nie – odparła wymijająco. – To co z tym Januszem Sobierajem?

Macie jego adres?

– Komu wszedł w drogę aż tak, że przysyła zawodowca? – spytał.

– Zawodowca? – Roześmiała się. – Nie przesadzaj. Mam do niego prywatną sprawę.

– To po co ci pistolet? Może to jakaś forma gry miłosnej? – zadrwił.

Był niegłupi, szkoda, że tak skończył.

– Jaki miałeś stopień?

– Byłem porucznikiem, ale mnie zdegradowali, a więc jestem teraz nikim. – Zaśmiał się gorzko.

– Za co cię zdegradowali? Czym im podpadłeś?

– Odmówiłem wykonania rozkazu. Tylko tyle. Dzięki temu kilkunastu chłopaków wróciło cało do domu. Pewnie trzeba było wysłać ich na śmierć. Byłbym teraz już majorem, a może pułkownikiem. Ten dupek, mój zwierzchnik, jest dzisiaj szyczą w Ministerstwie Obrony Narodowej. Kiedy jeszcze miałem telewizor, to go nieraz tam widywałem. Telewizor sprzedałem, bo potrzebowałem kasy, i już go nie widuję. Przynajmniej od tego czasu jestem spokojniejszy, tak mówią moi kołesie.

– Prawda, prawda – potwierdzili ochoczo.

– A jeśli chodzi o tego Sobieraja – kontynuował – to z niego jest kawał chuja. Możesz mu łeb odstrzelić, nie będę mieć żalu.

– Dobrze, ale podaj mi jego adres.

– Adresu to nie znam, ale wiem, że codziennie jest w jednej knajpie. Ona nazywa się Stara Karczma. Łatwe do zapamiętania. Jak się na niego zaczaiasz, to go tam dupniesz.

– A teraz mi powiedz, jak on wygląda.

Zdumiał się. Z minuty na minutę wracała mu trzeźwość umysłu. Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Zaraz, zaraz, nie wiesz, jak wygląda? Mówiłaś, że to sprawa prywatna, coś tu kręcisz.

– Czy to ważne? Sam powiedziałeś, że ci go nie będzie żal.

– Tak, ale nie chcę, żebyś przy okazji i mnie odstrzeliła.

– Spokojnie, to jest bardzo stara sprawa, sprzed trzydziestu kilku lat. Dlatego nie wiem, jak wygląda. Mój ojciec był jego bratem i dlatego go szukam.

– Z glockiem za paskiem? – Zaśmiał się szyderczo. – Masz mnie za idiotę?

– Nie wiesz, jak to w rodzinie bywa? – odparła z rozbijającym uśmiechem.

– Niewysoki, łysawy, chodzi w szarej jesionce i nosi czarny kapelusz, taki starodawny. Poznasz go po okularach, mają czerwone oprawki. To chyba wystarczy? Że jest z niego kawał chuja, to już mówiłem, ale uważaj, bo nieraz przychodzi z takim jednym Ukraińcem, a to wielki bydlak niczym szafa trzydrzwiowa. Do niego bez zabezpieczonej spluwy nawet nie podchodź. To zbir zaprawiony na wojnie. Znudzilo mu się bić z Ruskimi i przyjechał tu szukać szczęścia.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Wyszła z kamienicy. Jeszcze jakiś czas słyszała za plecami pomruki niezadowolenia jego kamratów. Jeśli liczyli na flaszkę, to się przeliczyli. Teraz musiała opuścić Płock, ale wróci tu, i to niebawem.

Ledwie pojawiła się w pokoju hotelowym, dopadli ją Marek z Renatą. Byli bardzo zdenerwowani i, o dziwo, trzeźwi.

– Szukają nas! W telewizji pokazali nasze portrety pamięciowe. Czemu wciąż jesteśmy w Polsce? Zamkną nas, zgnijemy w kryminale, i to przez ciebie! – zarzucili ją pretensjami.

– Zamknijcie się w końcu! Spokojnie, zaraz wyjeżdżamy. Pakujcie się.

– Jesteśmy spakowani.

– No to ładujemy się do auta i prujemy do granicy.

Wsiadli do samochodu i w chwilę potem mknęli autostradą w stronę Świecka. Ruch był duży, co chwila zjeżdżali na lewy pas, żeby wyprzedzić ciężarówkę, a było ich tu całe zatrzęsienie. Agata wiedziała, że nim dotrą do granicy, musi wykonać jakiś ruch, zmylić przeciwnika. Tym bardziej że droga była upstrzona kamerami, a druga strona wiedziała, czym przyjechali, znali markę ich samochodu i pewnie numer rejestracyjny. Za wszelką cenę należało zmienić pojazd, i to pilnie. Nie wykluczała, że będą musieli przejść, a nie przejechać przez granicę.

W samochodzie czuć było narastające napięcie. Agata przez lusterko zerkła na twarze bękartów. Nerwowo wyglądali przez okna, szeptali coś do siebie. Pewnie kłęli ją za ten nocleg, bo inaczej dawno by już byli bezpieczni w Niemczech.

– Co jedliście w hotelu? – spytała nagle.

– Flaki i kotleta schabowego. Flaki były zimne, a kotlet twardy jak podeszwa – odparła Renata.

– Obrzydlistwo, jak możecie jeść żołądek wołu? – zdziwiła się Agata. Co nieco już wiedziała o polskiej kuchni, kilka potraw nią wstrząsnęło, i to do głębi, a wśród nich były właśnie flaki i czernina.

– Ja je uwielbiam. Brakowało mi ich we Francji – wtrącił się Marek.

Agata od razu pomyślała o jego łóżku, o trumnie stojącej na wystawie domu pogrzebowego.

– Chyba wielu rzeczy ci tam brakowało? – zakpiła.

Zobaczyła zjazd na stację benzynową. Włączyła prawy kierunkowskaz i zmieniła pas ruchu.

– Przerwa w podróży, radzę skorzystać z toalety, bo nie wiadomo, kiedy będziecie mieć następną okazję.

Zjechała z autostrady i wjechała na parking. Od razu jej czujne oko wyłowiło gnojka, co chciał pod Wiskitkami skroić jej furę, widocznie autostrada A2 to był jego rejon działania. Dobrze się złożyło. Chłopak kręcił się koło czyjego nissana. Szarpał za klamki, przez szyby zaglądał do środka. Pewnie właściciel, nieświadomy zagrożenia, teraz wsuwał z apetytem hamburgera w pobliskim McDonalddie i nie wiedział, że za chwilę może potrzebować podwózki, bo jego gablota w cudowny sposób wyparuje z parkingu.

Agata zaskoczyła złodzieja, poznał ją dopiero wtedy, kiedy przyłożyła mu glocka do skroni. Był śmiertelnie przerażony.

– Mam propozycję nie do odrzucenia – szepnęła mu do ucha. – Zamienimy się brykami. Co ty na to?

– Ten nissan nie jest mój – wydukał.

– Widzę, ślepa nie jestem. Nie chcę nissana. Czym przyjechałeś?

– Czym przyjechałem? Niczym ciekawym. Starym golfem na niemieckich blachach.

– Świetnie. Kocham stare golfy na niemieckich blachach. To samochód w sam raz dla mnie. Zawsze marzyłam, żeby takim pojeździć. Ja, jak pamiętasz, mam mercedesa. Zamienimy się. Nawet nie chcę dopłaty. To chyba dla ciebie dobry interes?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Co to za podpucha? On musi być trefny. Pewnie cuchnie na kilometr albo i dalej.

Roześmiała się.

– Czemu tak uważasz? Czy wyglądam na osobę jeżdżącą trefną bryką? A zresztą ty przecież lubisz trefne bryki.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie zamieni porządnej gabloty na ten mój szmelc.

– Widocznie nie jestem przy zdrowych zmysłach. Dobra, czas mnie goni, dawaj kluczyki. Który to ten golf?

Rozejrzała się, szukając auta. Stało ich kilka, większość błyszczła świeżym lakierem.

– Ten, co stoi koło land cruisera.

Teraz go dojrzała. Chyba zielony, bo był tak brudny, że jedynie małe fragmenty zielonej blachy nieśmiało wyglądały spod brunatnego błota.

– Jak można jeździć takim syfem? Debilu, sam się pchasz w łapy policji.

– Nie miałem czasu umyć, ale jak się nie podoba, to można go nie brać. Nie obrażę się.

Mocniej naparła lufą pistoletu na jego głowę.

– Widzę, że zhardziałeś. Uważaj, bo nie należę do cierpliwych. Łatwo się denerwuję, a wtedy ręce mi się zaczynają trząść jak w febrze i mogę niechcący nacisnąć spust. Kluczyki!

Wyjął je z kieszeni spodni i jej podał.

– Dobra, teraz spadaj stąd i wróć za kilka minut.

Pchnęła go, że aż się zatoczył. Odszedł kilka kroków i się odwrócił. Trudno było szukać sympatii w jego spojrzeniu.

– A kluczyk od mercedesa?

– Ty potrzebujesz kluczyka? – Parsknęła śmiechem. – No dobra, będzie w środku, a teraz spieprzaj, drugi raz nie powtórzę.

Splunął przez ramię, wsadził ręce do kieszeni kurtki i poszedł w stronę ubikacji.

Agata chwilę za nim patrzyła, upewniała się, czy coś głupiego nie przyjdzie mu do głowy, po czym wróciła do swoich kompanów. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

– Przepakowujemy się do nowej fury, bierzcie swoje manele, i to migiem. Trzeba się spieszyć. Wysikacie się już w Niemczech.

Sama chwyciła plecak i smycz Georga, a potem raptownym ruchem pociągnęła go za sobą.

– Musisz się z nim prowadzić? Obrzydliwie śmierdzi, a na dodatek puszcza bąki. W samochodzie trudno oddychać. Lepiej go tu gdzieś zostaw. Najlepiej przywiąż go do drzewa – zaproponował Marek.

Jego propozycja ją zdumiała.

– Ciebie mogą zostawić. Czy mam to zrobić? Myślę, że ci, co nas ścigają, bardzo się ucieszą z takiego prezentu. Jak nic przepuszczą cię przez maszynkę do mięsa. Oddzielą flaki od mięsa, a kości przerobią na maczkę. Co ty na to?

Zbladł jak ściana i zamilkł.

Ruszyła przodem. Oni, mamrocząc coś między sobą, poszli z ociąganiem za nią.

Volkswagen nawet nie był zamknięty, a w środku tak zapuszczony, że strach było w nim usiąść, żeby się do czegoś nie przylepić. Siedzenia poplamione, tapicerka w wielu miejscach rozerwana, tak jakby w aucie urzędowało kilku Georgów, i to przez kilkanaście dni. Wszędzie papiery, opakowania po batonach, a nawet puste kubki po kawie i puszki po coca-coli. Z popielniczki wysypywały się pety. Na przedniej szybie zaraz pod lusterkiem wisiał różaniec. Złodziej świętoszek, pomyślała Agata.

– Co to za samochód? Nie było nic lepszego? Jak można czymś takim podróżować? – Tym razem Renata wtrąciła swoje co nieco.

– Kurwa mać! – zakłęła Agata. – W dupach się wam poprzewracało. Można nie jechać. Droga wolna. Ja jadę.

Wsiadła za kierownicę. Georg natychmiast ulokował się na siedzeniu obok. To był pojazd w sam raz dla niego, bo trudno było go bardziej zniszczyć.

Bękart, choć z oporami, w końcu zapakowały się do volkswagena, więc można było ruszyć w dalszą drogę. Już po chwili okazało się, że samochód jest w jeszcze gorszym stanie, niż Agata początkowo sądziła. Tłumik miał przepalony i przez to silnik ryczał niczym w rasowym aucie sportowym. Zawieszenie stukalo wybitymi wahaczami i zużytymi amortyzatorami. Wciąż się paliła jakaś kontrolka, trudno powiedzieć od czego. Ważne, że na żółto, a nie na czerwono. Oby tylko się dotoczyli do granicy, to było w tym momencie najważniejsze, później będą mieć trochę czasu, żeby temu wszystkiemu zaradzić, bo zanim się policja polska dogada z niemiecką, upłynie sporo wody w Odrze. Na tyle dużo, że ich już w Niemczech nie będzie. W każdym razie jej na pewno, a oni? Wtedy to już nie będzie jej problem.

Zadzwoił telefon. Pakulski. Czego znów chce?

– Gdzie jesteście? – Usłyszała jego zdenerwowany głos.

– W psiej dupie. Jeszcze jesteśmy w Polsce, właśnie dojeżdżamy do granicy – poinformowała go spokojnym tonem. Wiedziała, że zaraz się wścieknie, bo przecież nie takie były uzgodnienia.

– Co?! – ryknął. – Zaraz was zgarną. Na pewno obstawili granicę. Mieliście nocować w Niemczech. Tak się umawialiśmy.

– Jeśli nas zgarną, to staniem na głowie i nas uwolnisz – odparła beznamiętnie, czym go jeszcze bardziej rozsierdziła.

– Ty nawet nie wiesz, w czym siedzisz!

To zabrzmiało groźnie.

– Więc mnie uświadom. Myślałam, że to w miarę uczciwy interes. Czyżbym się myliła? – zakpiła sobie.

Zaległa cisza. Najwyraźniej klecha nie wiedział, co powiedzieć.

– Czemu zamilkłeś? Tym razem się wydało i teraz ze strachu robisz pod siebie? Ja tylko byłam waszym ochroniarzem i kiedy wykonamy tę misję, rozwiążę umowę. Na tym koniec, nie będę dalej firmować waszych następnych

cuchnących interesów. Nie zamierzam wciąż się oglądać za siebie, bo w imię czego? Tego piwa sam nawarzyłeś i teraz sam je żłop, ja nie zamierzam nawet ust w nim moczyć. Koniec, kropka.

– Agata, przestań. Cóрко, zadbam o ciebie.

– Już o mnie należyście zadbałeś, nie rozśmieszaj mnie. – Zaśmiała się. – I przestań wciąż pieprzyć, że jestem twoją córką. Przeprowadziłam testy DNA i nie jestem z wami spokrewniona. Nie wiem, czemu wciskałeś mi ten kit, ale się dowiem. Tego bądź pewien.

Zakończyła połączenie i wsunęła telefon do kieszeni kurtki. Zerknęła w lusterko. Widziała twarze bękartów. Słyszeli rozmowę, już i oni wiedzieli, że nie są jej rodziną. Wreszcie wszystko zostało powiedziane. Byli zaskoczeni, o dziwo, chyba nawet ciut zawiedzeni, ale to pewnie jej się jedynie przywidziało.

Zjechała z autostrady na ostatnim zjeździe przed granicą i pojechała do Słubic. Kilometr przed przejściem zatrzymała samochód.

– Wysiadaj i przejdź granicę pieszo – rzekła do Marka. – Oni szukają trzech osób. My wrócimy na autostradę i przyjedziemy po ciebie od drugiej strony.

Zdumiał się.

– Dlaczego ja? Chyba żartujesz? Nie ma mowy. Niech idzie Renata.

Agata widziała przerażenie w jego oczach. Pot spływał mu z czoła, twarz pokryła się białością. Pieprzony tchórz.

– Nie Renata, tylko ty pójdziesz. Zabieraj dupę z samochodu i zasuway na przejście. Nie masz się czego obawiać, twój portret pamięciowy, który pokazują w telewizji, najbardziej ze wszystkich odbiega od rzeczywistości, bo omyłkowo masz na nim inteligentny wyraz twarzy.

– No idź. Szybko. – Siostra też zaczęła go ponaglać.

Niechętnie opuścił samochód i stanął niezdecydowany na chodniku. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Agata spuściła szybę.

– Do cholery, zachowuj się normalnie – zrugła go. – Uśmiechaj się głupkowato, to zawsze ci dobrze wychodzi, i idź zdecydowanym krokiem. Jeśli się będziesz trząść jak osika i pocić, to na bank cię zgarną, a to będzie wyłącznie twoja wina. Teraz wszystko w twoich rękach. Ruszaj!

Spojrzał na nią błagalnie.

– Może masz coś gołnąć. Ręce mi się uspokoją.

Nic na to nie rzekła, jedynie z politowaniem pokręciła głową, podniosła szybę i pojechała w kierunku autostrady.

– Jak myślisz, uda mu się? – spytała Renata.

Jedynie wzruszyła ramionami. Skąd mogła to wiedzieć? Przecież nie była jasnowidzem. Trudno było przewidzieć, jak zachowa się na przejściu i czy będzie mieć szczęście.

Dojeżdżając do granicy, zauważyła mercedesa, identycznego jak jej, ten oddany złodziejowi. To było prawdziwe zrządenie losu. Wyprzedziła go, choć z trudem, cały czas drżąc, że golf nagle zgubi tłumik lub, co gorsza, koło. Teraz trzymała się zaraz przed tamtym samochodem. Tak nakazywał jej rozum. Pogranicznicy na pewno skupią się na mercedesie, tym samym ich powinni potraktować ulgowo. Zaraz się przekona, czy jej tok myślenia jest słuszny. Mieli jedynie kilkaset metrów do granicy. Zwolnili, teraz pojazdy wlokły się w ślimaczym tempie. Po obu stronach szosy stali żołnierze i policjanci, nachalnie zaglądali do środka aut. Niektórzy z nich to nawet przystojne chłopaki, a jeden z wyglądu bardzo przypominał Maksa, z którym przez dwa lata Agata była związana. Myślała nawet, że to będzie coś poważnego, na lata, ale on tak nie myślał. Rzucił ją dla barmanki z pobliskiego pubu. Później z kolei tamta go rzuciła i chciał wrócić do Agaty, ale pokazała mu faka. Zerknęła w lusterko. Renata siedziała jak sparaliżowana, cała biała. Oby tylko nie zadawali pytań, a jeśli już, to żeby nic nie mówiła, bo jak nic jedynie się pograży.

– Wyluzuj, jesteś spięta jak dupa do srania. Będzie dobrze.

– Myślisz, że się uda?

– Gdybym tak nie myślała, tobym przeszła przez zieloną granicę. A w ogóle opowiedz mi o swoim kocie. Ponoć był wyjątkowy. – Agata próbowała zmienić temat, żeby ją rozluźnić.

– O tak, był kochany. Miał umaszczenie ciemnobrązowe i poprzeczne białe pręgi. Miał na imię...

Agata słuchała tego jednym uchem, cały czas uważnie obserwując otoczenie.

Na widok mercedesa pogranicznicy od razu się ożywili. Nawet nie zajrzeli do golfa, tylko kazali im szybciej jechać, zaś mercedesowi zablokowali drogę. Psychologia to mądra nauka, pomyślała Agata, uśmiechając się pod nosem i wciskając pedał gazu.

– To jak miał na imię ten twój kot, bo nie dosłyszałam?

– Leon.

– Jak Leon zawodowiec, ładne.

NIEMCY

Markowi najwyraźniej też się udało, bo stał tuż za przejściem i ich nerwowo wypatrywał. Ręce już mu się nie trzęsły, ale kiedy wsiadał do golfa, poczuła od niego znajomy zapach. Zerknęła na okoliczne budynki. W jednym z nich zauważyła witryny oblepione reklamami margaryny i proszków do prania. No tak, teraz wszystko jasne, ale w tej chwili większym problemem od alkoholizmu Marka i Renaty był stan techniczny ich samochodu. Od jakiegoś czasu coś zgrzytało w skrzyni biegów, a przed nimi było jeszcze do przebycia blisko osiemset kilometrów. Nie ma mowy, tym ręką nie dojadą na miejsce, a zatem trzeba jakiś pojazd ukraść albo wynająć. Było jeszcze trzecie wyjście – kupno. Agata na szybko analizowała sytuację. Z zakupem za długo zejdzie, kradzież jest obciążona dużym i niepotrzebnym ryzykiem, a zatem zostaje wynajęcie. Posłuży się przy tym swoimi dokumentami, bo i tak zaraz po wykonaniu ostatniego zlecenia będzie musiała zmienić tożsamość. Wtedy wróci do poprzedniego nazwiska, tego, którym posługiwała się w Hiszpanii. Na przedmieściach Frankfurtu nad Odrą zauważyła wypożyczalnię, parterowy budynek z wielkimi szyldami „Autovermietung”, „Car Rental”. Przejechała kawałek dalej i skręciła w najbliższą przecznicę. Dopiero tu zatrzymała golfa, to z ostrożności. Nie chciała, żeby widziano, z jakiego pojazdu będzie się przesiadać. Należało choć trochę zatrzeć za sobą ślady, spowolnić pościg.

– Poczekajcie tu na mnie – rzekła do bękartów tonem nieznośnym sprzeciwu, po czym opuściła auto. Energicznie zamknęła drzwi i klamka została w dłoni. Cholerny grat, że też udało im się nim zajechać tak daleko. Z wściekłością wrzuciła ją w okoliczne krzaki.

Chciała zapalić cygaro, ale miała tylko jedno, bo cały zapas wcisnęła gdzieś na dno plecaka. Schowała je z powrotem. Lyknęła vicodin i poszła w stronę wypożyczalni. Biuro było otwarte. Młody Niemiec, z wyglądu zupełnie nieprzypominający Aryjczyka, o gęstych kręconych czarnych włosach i ciemnej karnacji skóry, zapewne genetycznie bardzo zmieszany z rasą o umaszczeniu czarnym poczęstował ją kawą. Nie była dobra, ale też nie lura, była po prostu nijaka, jak zresztą wiele rzeczy w Niemczech. Agata wybrała samochód, on wziął się do wypisywania papierów, ona w tym czasie rozsiadła się wygodnie w fotelu i zapaliła cygaro. Z wynajęciem poszło jej jak z płatka. Zajęło jej to raptem pół godziny i wyjechała renauld mégane. Świat się wali, jeśli z niemieckiej wypożyczalni wyjeżdża się francuskim autem. Przesiedli się do nowego samochodu i ruszyli w dalszą drogę.

Jadąc, Agata co chwila zerkała na Georga. Psisko wciąż się okropnie śliniło i po godzinie jak zwykle jego fotel wyglądał fatalnie.

– Z tym twoim psem chyba jest coś nie tak. Ile można tego produkować? Może ma wścieklicznę? – odezwał się w pewnym momencie Marek.

– To nie to. Zawsze tak jest, kiedy czuje od kogoś alkohol. Nie cierpi pijaków. Raz nawet jednego takiego zagryzł w rzymskim zaułku. Na szczęście nikt tego nie widział – wymyśliła na poczekaniu. Poskutkowało, bo Marek się w końcu zamknął. Resztę podróży, ponad sześćset kilometrów, przebyli w kompletnej ciszy, bo bękart, umęczone emocjami i spożytymi po cichu małpkami, zasnął jak niemowlęta.

Późnym popołudniem zatrzymali się na nocleg w jakimś motelu przy autostradzie. Ledwie wnieśli rzeczy do pokojów, jak zadzwonił Pakulski. Agata wyszła na korytarz, żeby tamci nie słyszeli, o czym będzie rozmawiać.

– Jesteście na miejscu? – spytał.

Wciąż w jego głosie wyczuwała spory niepokój, a zawsze powtarzał, że sutanna go chroni bardziej niż rycerza zbroja. Widocznie tym razem i to było za mało.

– Owszem, jutro rano wykonujemy zlecenie i na tym koniec. Nasze drogi się rozchodzą, i to na amen. Nawet nie próbuj mnie szukać. Jeśli jeszcze kiedykolwiek wejdiesz mi w drogę, to daję słowo, że cię zastrzelę. Nawet się nie zawaham.

– Posłuchaj, mam prośbę. Jeszcze jedna akcja i możesz odejść. To jest bardzo ważny klient. Zapłacę ci za to dwójnie. Proszę, daj mi czas, żeby móc spokojnie opuścić Polskę, bo zamierzam być blisko dzieci i popracować nad nimi. Wyślę ich na odwyk, wierzę, że jeszcze nie wszystko stracone.

Agata się zawahała. Podwójna zapłata to była dla niej silna pokusa, bo w końcu zbierałaby całą kwotę na operację, niemniej współpraca z tymi ludźmi dała jej już nieźle w kość.

– Błagam – słyszała w telefonie. – Zobacz, że się teraz sprawdzają w tej robocie. Mniej piją, Renata odstawiła narkotyki.

– To nieprawda, że Renata nie bierze. Nawet nie wiesz, ile razy ostatnio wrywałam jej strzykawkę z żyły. Ona, kiedy jest na głodzie, często jest bardzo agresywna. Nawet nie zliczę, ile razy musiałam się z nią szarpać. Tego też,

tataśku, pewnie nie wiesz? Zaś synalek butelkę to wywęszy wszędzie, niczym pies myśliwski zestrzeloną kaczkę w bagnisku.

– Domyślam się. Dlatego akurat ciebie wynająłem, nikt inny by sobie z nimi nie poradził.

Wiedziała, że kłamie, że istnieje jakiś inny powód.

– Błagam. Doceń, że dałem ci zarobić, i to sporo – skamlał.

– Gdzie to ma być?

– Świetnie, że się zgadzasz. Bardzo się cieszę.

– Nie powiedziałam, że się zgadzam, tylko pytam gdzie – zripostowała rozdrażniona jego reakcją.

– W Cascais.

– To przecież Portugalia.

– Ze Stuttgartu macie samolot do Lizbony. Już wykupiłem bilety. Wysłałem ci je na maila. Stamtąd to już tylko żabi skok. Weźmiecie taksówkę, pojedziecie do klienta, zrobicie projekcję i tą samą taksówką wróćcie na lotnisko. Stamtąd masz połączenia we wszystkich kierunkach świata i możesz lecieć tam, gdzie ci się żywnie podoba.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślny, ale ze Stuttgartu też latają samoloty we wszystkich kierunkach – zakpiła. – A co w Lizbonie ma począć twoja dziatwa? Mam ją zostawić tak samopas?

– Wsadź ich w samolot do Rzymu i podaj mi numer lotu. Tam ktoś ich odbierze i się nimi zaopiekuje do czasu mojego przyjazdu.

– Od razu niech ich zawiezie na odwyk. To taka dobra rada na pożegnanie.

– Czyli się zgadzasz?

– Tak, ale na tym definitywny koniec. Więcej do mnie nie dzwoń.

Zakończyła połączenie i wróciła do pokoju.

– Chodźcie do restauracji, trzeba coś zjeść. Jutro lub pojutrze się rozstajemy, i to na dobre. Odzyskujecie wolność, wreszcie będziecie mogli robić wszystko, co chcecie. Mnie to już gównie będzie obchodzić, ale do tego czasu żadnych wybryków. Zrozumiano?

Zobaczyła radość na ich twarzach. Tak oto pierwszy raz od czasu, kiedy się spotkali, wszyscy byli szczęśliwi. Już niebawem Marek z Renatą będą mogli przehulać wszystko, co zarobili, a było tego sporo, no chyba że Pakulski nad tym zapanuje.

Zjedli po grillowanym pstrągu. Trudno, będąc w Niemczech, ominąć piwo. I tak było tym razem. Zrobiła wyjątek. Wypili po szklaneczce wspaniałego Stuttgarter Hofbräu Bügel Premium i zabrali się do pokoju. Jutro czekał ich ciężki dzień. Kiedy bękartysy poszły spać, Agata opuściła pokój i wyszła przed motel. Zadzwoniła do Kingsleya.

– Co u ciebie? – Usłyszała jego zaspany głos.

Zerknęła na zegarek. Była dopiero dwudziesta pierwsza trzydzieści.

– Co ty, już śpisz? – zdziwiła się.

– Kimnałem sobie w fotelu na filmie. Tak był denny, że mnie sen zmógł. Gdzie jesteś?

– Niedaleko Stuttgartu, a konkretnie w jakimś podłym motelu kilkanaście kilometrów od Pforzheim. Stąd lecimy do Lizbony i tam kończę tę cholerną robotę.

– Tylko nie mów mi, że wracasz do fachu detektywa? Błagam, wszystko, tylko nie to.

– O tym jeszcze nie myślałam, bo najpierw muszę coś załatwić w Polsce.

– Jeszcze lepiej! – krzyknął do słuchawki. – Jesteś szalona! Pakulski to kawał gada. Ostrzegalem cię przed nim, ale ty mnie nie słuchałaś. To kawał chuja ukrytego pod sutanną.

– Masz rację, ale muszę tam pojechać. To będzie krótki wypad, maksimum dwa dni i wracam.

– A jeśli cię złapią? Wiesz, co tam się teraz dzieje? Prawdziwe polowanie na czarownice. Jedni podejrzewają drugich o spisek. Trwa wzajemne opluwanie się, a ostatnio wszyscy wytoczyli ciężkie działa. Tam za chwilę może dojść do prawdziwej wojny domowej.

– Nie rozumiem. Przecież i tak klient by umarł? O co w tym wszystkim chodzi? – Nie kryła zdziwienia.

– Nie wiesz? Chodzi o to, że i na umarłaku można jeszcze coś politycznie ugrać. Na pogrzeb zorganizują tłum oszołomów i zrobią wielką manifestację. Za miesiąc okaże się, że on wcale nie był umierający, a za rok będą mówić, że tryskał zdrowiem. Zginął w obronie wartości, a jakich? Nieważne. Nieraz martwy polityk jest więcej wart od żywego. Coś mu się doklei, coś wygodnego. Przekonasz się.

– Sukinsyny politycy. Zawsze mówię, że bez nich świat byłby lepszy.

– Masz rację, ale, niestety, żyjemy w takim, a nie innym świecie. W zaistniałej sytuacji powinnaś na jakiś czas zniknąć. Przyjedź do mnie i tu to przeczekasz. Za kilka miesięcy sytuacja się na tyle wyklaruje, że będziesz mogła

wrócić do względnie normalnego życia, no bo o normalnym to chyba musisz zapomnieć.

– Przyjadę, ale za parę dni. Z Lizbony wracam do Polski.

– Zgarną cię już na lotnisku w Warszawie. Przekonasz się. Nie chcę znów prosić tego sukinsyna Lenza, żeby ci pomógł. Nie jedź tam. W końcu pułkownik kiedyś mi odmówił i będzie niezły klops.

– Jest mi sporo winien, choćby za mazdę.

– Myślisz, że to on? Że to jego sprawka?

– Jestem tego pewna. Islamiści jeszcze nie wpadli na mój trop. Gdyby było inaczej, to byłyby kolejne zamachy. Cześć.

Zakończyła rozmowę.

Wróciła do motelu i poszła do łazienki. Zdjęła bluzkę i z torby wyjęła dużą tubę maści. Sporą ilość wycisnęła na dłoń, po czym zaczęła rozsmarowywać ją na barku i na plecach. Zawsze kiedy to robiła, czuła wielką ulgę.

Nagle drzwi się otworzyły. W lustrze zobaczyła odbicie twarzy Renaty.

– O mój Boże! – krzyknęła tamta, przestraszona i się cofnęła.

Agata natychmiast zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Spojrzała na bliznę na policzku, bez makijażu była bardzo widoczna. Jeszcze gorzej wyglądały plecy i ręka. Przekłęte pamiątki wojenne. Nie pozbędzie się ich, tych na skórze może niebawem, ale tych na psychice nigdy.

Po kwadransie weszła do pokoju. Renata siedziała na łóżku i paliła papierosa. Marek spał, a Georg siedział w kącie i obgryzał wielką kość wołową.

– Mogłabyś tu nie palić, bo nas zagazujesz. To jest mały pokój.

Agata podeszła do okna i je uchyliła.

– Skąd masz te blizny na plecach? – spytała tamta.

– Z Syrii, jeden sukinsyn chciał mnie usmażyć za pomocą palnika acetylenowego, ale się przeliczył.

– Musiało strasznie boleć.

Co za odkrywczyste stwierdzenie. Tylko na to ją było stać?

– Masz na myśli jego czy mnie? Jeśli chodzi o mnie, to owszem, bo jeśli o niego, to nie cierpiał, dostał kulkę w łeb. Za dobra i za szybka śmierć, ale to nie ja go zabiłam, czego bardzo żałuję.

– A ta na policzku? Też z Syrii?

– Nie, z Afganistanu. Oberwałam fragmentem hełmu żołnierza, z którym jechałam samochodem. Prowadził pojazd i wjechał nim na minę. Ja dostałam kawałkiem metalu, za to kolega siedzący koło mnie miał na twarzy cały mózg tamtego.

– Jesteś odważna, niczego się nie boisz. Chciałabym taka być. Ja się boję nawet samej siebie.

– Tylko głupiec się nie boi, sztuką jest pokonać własny strach, bo on jest naszym hamulcem, a jednocześnie bezpiecznikiem. Możesz go zadrutować, zablokować i jechać po bandzie, ale nie każdego na to stać. Wtedy to jest odwaga.

– Co będziesz robić po naszym ostatnim zleceniu?

Agata wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, a nawet gdyby było inaczej, to oni byłiby ostatnimi osobami, z którymi by się tą informacją podzieliła.

– Idź już spać, jutro mamy sporo pracy – odparła wymijająco.

Schyliła się do Georga i zabrała mu kość.

– Koniec, kolego! Nie chcę, żebyś w nocy zarzygał pokój. Wystarczy, że wciąż po tobie sprzątam w samochodzie.

– Ja bym się bała trzymać takiego psa. Źle mu z oczu patrzy – rzekła Renata, przygaszając papierosa.

Agata roześmiała się w głos.

– To zależy od punktu widzenia, ja widzę w nich tylko bezgraniczną miłość.

Wcześniej rano zerwali się z łóżek i nawet bez śniadania pojechali do Pforzheim, bo już o godzinie dwunastej mieli lot do Portugalii. Podróż na miejsce zajęła im niespełna dwadzieścia minut. Agata zaparkowała samochód przy przedwojennej kamienicy na Holzgartenstrasse. Projekcję zamówił sobie bogaty jubiler. W tym mieście ponoć było ich pełno i dlatego często nazywano je złotym miastem. Za godzinny filmik klient miał przelać na konto firmy milion euro. Tak było w papierach, a ile naprawdę, wołała nie wiedzieć, choć przypuszczała, że co najmniej pół miliona szło na konto biskupa. Tak jak zawsze weszła jako pierwsza do mieszkania. Wystrój staromodny, teraz się tak wewnątrz aranżuje, ale wszystko było w bardzo dobrym gatunku. Meble z prawdziwego drewna, mnóstwo porcela-

nowych, niezbyt gustownych, figurek, lampy na pewno drogie. Przy łożu umierającego zgromadziła się rodzina. Uzbierało się ich sporo, równie sędziwa żona, dzieci, wnuki i pewnie prawnuki, ale nic w tym dziwnego, skoro przedsiębiorca liczył sobie ponad dziewięćdziesiąt lat, a dokładnie dziewięćdziesiąt cztery. Był przytomny, uśmiechnął się życzliwie do Agaty, co odwzajemniła. Widać było od razu, że starzec z utęsknieniem czekał na tę wizytę. Zapewne bał się, że nie zdążą i wszystko pójdzie na marne. Sprawdziła teren, czy nie będzie jakichś komplikacji, oraz w komputerze, czy przelew dotarł. Wszystko było w należyтым porządku, pieniądze przelano. Nic dziwnego, to byli Niemcy, a nie Włochy, gdzie nawet konający mafioso chciał ich oszukać.

Opuściła mieszkanie i wyszła na ulicę. Sięgnęła do torebki po cygaro, ale raptownie cofnęła rękę. Na ulicy jakiś wyrostek bawił się dronem, takim prostym, najtańszym ze zwykłego sklepu. Szło mu to bardzo opornie, bo urządzenie co chwila zaliczało twarde lądowanie, jeszcze chwila, a rozpadnie się na kawałki. Widać było, że chłopak nie ma o tym zielonego pojęcia. Podeszła do niego.

– Daj mi panel do sterowania, to pokażę ci, jak się tym posługiwać – zaproponowała.

Spojrzał na nią, wyraźnie zaintrygowany.

– Zna się pani na tym?

Puściła do niego oko.

– Jak mało kto. Kiedyś byłam operatorem dronów, ale nie takich jak twój, tamte były olbrzymie, prawie jak samoloty.

Chłopakowi z wrażenia oczy zrobiły się duże jak spodki od filiżanek. Bez słowa podał jej panel, a Agata od razu poczuła się jak ryba w wodzie. To jednak prawda, że czegoś takiego się nie zapomina, tak samo jak jazdy na rowerze czy pływania. Dron pod jej palcami natychmiast pozbył się nerwowego szarpania i lekkości w manewrach, jego lot stał się płynny. Coś ją podkusiło i skierowała go blisko okna sypialni klienta. Na ekranie monitora zobaczyła łóżko. Podprowadziła maszynę jeszcze bliżej. Teraz mogła obserwować cały pokój. Na twarzy starca widziała specjalne okulary, ale nie to przykuło jej wzrok. Niespodziewanie Renata wyjęła z walizki strzykawkę. Po co jej ona? Czemu jej nigdy nie znalazła? Przecież nawet opukiwała ścianki walizki. Musiała być to bardzo wymyślna skrytka. Ciekawe, czy Pakulski o tym wie? Sprawdziła panel sterowniczy, w dronie tkwiła karta pamięci. Świetnie, pomyślała i wciśnęła przycisk nagrywania, to będzie jej pożegnalny prezent dla biskupa. Patrzyła w skupieniu na rozwój wypadków, jej początkowe zaskoczenie nagle przeobraziło się w przerażenie, bo nie spodziewała się tego, co w chwilę potem zobaczyła. Trwało to kilka minut, kątem oka widziała, że chłopak cały czas stoi przy niej i nerwowo drepcze w miejscu, ale nie mogła przerwać. Musiała dotrzeć do samego końca. Wreszcie sprowadziła dron na ziemię i wyjęła z niego pamięć.

– Co pani robi, to moje?! – wykrzyknął chłopiec. Był bliski płaczu i zdawało się, że jeszcze chwila, a rozbeczy się na pół ulicy.

– Wiem, że to twoje, ale zapłacę ci za nią.

Wyjęła z portfela sto euro i mu je podała.

– Wystarczy?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Pamięć była warta najwyżej dziesięć, ale dla Agaty była bezcenna. Chłopak chwilę trzymał banknot w dłoniach, sprawdzał go, bo nie dowierzał własnemu szczęściu.

Zaśmiała się.

– Prawdziwy, zrobiłeś dziś bardzo dobry interes. A swoją drogą, powiedz rodzicom, niech ci kupią innego drona, ten jest bardzo trudny w nawigacji, jego żyroskopy są niestabilne. Trzeba być profesjonalistą, żeby nim latać.

Spojrzała na zegarek. Renata z Markiem akurat opuszczali kamienicę, więc nie zwlekając, zapakowali walizkę do bagażnika, wsiedli do auta i ruszyli w stronę lotniska w Stuttgartu. Agata, prowadząc samochód, co chwila dyskretnie zerknęła w lusterko, patrzyła na bękarty. Wciąż tkwiło jej w głowie to, co zobaczyła w kamerze drona. Wiedziała, że są mało warci, ale nie wiedziała, że są z nich takie ludzkie kurwy, bo innej równie trafnej nazwy do ich określenia nie znalazła.

Na lotnisku, czekając na samolot, przekopała całą torebkę w poszukiwaniu wizytówki Gonzáleza, tego dziennikarza. Znalazła ją na samym dnie. Zadzwoiła do niego.

– Spodziewałem się, że pani do mnie zadzwoni – przywitał ją tymi słowami.

– Tak? A czemu, jeśli można wiedzieć, bo ja sama jeszcze dwie godziny temu nawet o tym nie pomyślałam – zdziwiła się.

– Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałem, że nie udało mi się ustalić, kim pani naprawdę jest. Od tamtego czasu dużo się zmieniło. Choć i to jest jeszcze mało. Zlecenie, które wykonaliście w Polsce, otworzyło pani oczy na pewne sprawy i stąd ten telefon. Mam rację?

– Niezupełnie. To nastąpiło później, i to zupełnie przypadkowo.

- Moja propozycja jest wciąż aktualna. Proszę tylko wymienić kwotę.
- Nie chodzi tu o pieniądze. Nie chcę ich, choć bardzo ich potrzebuję, chcę czegoś zupełnie innego. Proszę teraz uważnie mnie wysłuchać.

PORTUGALIA

W Lizbonie wylądowali późnym popołudniem. Podczas lotu znów doszło do małego zgrzytu. Marek wdał się w awanturę ze stewardesą, bo zwróciła mu uwagę, że nie ma zapiętego pasa. Agata natychmiast go utemperowała, co spowodowało przeniesienie na nią jego agresji. Wyraźnie czuć było w powietrzu narastające między nimi napięcie, być może spowodowane tym, że to miało być ich ostatnie wspólne zlecenie. Dodatkowo oliwy do ognia dołało to, że musieli ponad godzinę czekać na Georga, który jak zwykle leciał w luku bagażowym. Bękarty na przemian na to psioczyły, aż w końcu zabrały się do lotniskowego baru na hamburgery. Agata tymczasem dyskretnie się oddaliła na kwadrans. Przez ten czas wykupiła bilet na lot powrotny, ale tym razem tylko dla siebie i swojego psa, bo dziś miała się pożegnać z Renatą i jej bratem, i to definitywnie. Idąc od kas skręciła jeszcze w jedno miejsce. Miała umówione spotkanie. Tam jej zeszło dłużej.

Kiedy tylko wydano im rottweilera, wyszli na postój, żeby wziąć taksówkę. Okazało się to nie takie proste, bo jak zwykle Georg był tu wielką przeszkodą. Dopiero bodajże siódmy kierowca zgodził się ich zawieźć, ale pod warunkiem, że psisko będzie podróżować w bagażniku. Agata, choć ze ściśniętym sercem, musiała na to przystać. Georg z nieskrywaną niechęcią wskoczył do kufra. Widziała w jego oczach wielki żal. Jak będzie po wszystkim, stwierdziła, to w ramach przeprosin ugotuje mu wielki gar gulaszu wołowego, on go uwielbiał. To powinno go udobruchać.

Było dobrze po godzinie siedemnastej, kiedy taksówka w końcu dotarła do celu i zatrzymała się przed starą jednopiętrową willą przy głównym nadmorskim pasażu Cascais. Budynek wyróżniał się wśród okolicznych willi, bo był podupadły, że ściany sypały się tynk, brakowało rynien, a ogród był w tragicznym stanie. Prym w tym wiodły dwie stare wysokie, kompletnie zasuszone palmy i dzikie gęste chaszczce. Furtka była skorodowana, zaś zawiasy okropnie skrzybiały. Okna willi skrywały się za drewnianymi okiennicami, z których już dawno odpadła farba. Sądząc po resztkach, które nie wiadomo jakim cudem utrzymały się na jednej z nich, w przeszłości przypuszczalnie były pomalowane na zielono. W takiej oto posiadłości mieszkał ich ostatni klient. Człowiek, który zapłacił milion euro za godziwą projekcję.

– To na pewno tu? – spytał Marek, spoglądając na dom. – To przecież ruina.

– Numer budynku się zgadza, a więc to tu – odparła Agata i jak zawsze weszła do budynku pierwsza.

W środku kompletne zaskoczenie, stylowe meble kolonialne, długie i ciężkie welurowe zasłony wiszące przy oknach, barwne dywany leżące na pięknych marmurowych posadzkach. W progu przywitała ją stara i gruba czarnoskóra kobieta. Czemu one są zawsze grube?, zastanawiała się Agata, przyglądając się jej. Kiedyś musiała być ładna, o czym świadczyły szlachetne rysy twarzy. Agata zwróciła uwagę na jej nogi. Trudno było nie zauważyć na nich okropnych żyłaków; były duże i opłatały jej łydki niczym węże.

– Proszę za mną – rzekła służąca, nie pytając nawet, z kim ma do czynienia. Agata ruszyła krok za nią, a ta, sapiąc okropnie, wolnym krokiem poprowadziła ją do pokoju na piętrze. Panował tu półmrok, światło, i to nikłe, dawał jedynie kinkiet wiszący przy łóżku. Rozejrzała się. Stylowo tu było tak jak na parterze. Pięknie, ale najlepsze czasy ten dom miał już za sobą i zapewne śmierć właścicielki poprzedzi jego szybki upadek. Zerknęła na łóżo, w którym spoczywała klientka. W przeciwieństwie do większości klientów nie była stara, ale jej udreżona cierpieniem twarz mówiła wszystko. Umierająca była podłączona, tak jak poprzedni klienci, do różnych medycznych urządzeń sztucznie utrzymujących ją przy życiu. Na monitorach skakały jakieś wykresy, wciąż zmieniały się liczby informujące o saturacji, ciśnieniu krwi i tętnie. Spojrzenie Agaty na dłużej zatrzymało się na kropłówce.

Chora przywołała ją bliżej ruchem dłoni. Agata kazała Georgowi usiąść, po czym spełniła jej życzenie i nachyliła się nad nią.

– Dziękuję – wyszeptała tamta i delikatny grymas uśmiechu na chwilę zagościł na jej twarzy.

Agata odwzajemniła go i tak jak zwykle sprawdziła przelew. Milion euro było już na koncie. Ciekawe, czy i tę klientkę Pakulski oszwałił? Do tej pory dobrze go poznała. On w biznesie nigdy nie miał żadnych skrupułów i wciąż mu było mało. Chciwość dosłownie go zaślepiała. Zamknęła notebook. Nic tu już po niej, czas opuścić to miejsce i pożegnać firmę.

Wyszła z pokoju, zeszła po schodach i wpuściła bękarty do willi. Teraz przyszła pora na ostatni seans. Jeszcze raz spojrzała na Renatę i Marka, żywiąc nadzieję, że to po raz ostatni, wyszła na ulicę, zapakowała Georga do bagażnika taksówki i sama wsiadła do niej.

– Wracamy do Lizbony – oznajmiła kierowcy.

Zdziwiony, spojrzął na nią, bo jadąc w tamtą stronę usłyszał, że wszyscy wracają na lotnisko.

– A nie czekamy na pani przyjaciół?

– To nie są moi przyjaciele. Jedziemy!

– Dobrze, klient nasz pan – mruknął pod nosem, wzruszył ostentacyjnie ramionami i ruszył z miejsca.

Agata głęboko odetchnęła, wreszcie pierwszy raz od wielu miesięcy poczuła się wolna. To było wspaniałe uczucie. Nareszcie mogła wrócić do normalnego życia, jeśli w ogóle można było je tak nazwać.

Seans w willi dobiegał końca. Marek spojrział porozumiewawczo na Renatę. Ta jedynie skinęła głową i nachyliła się nad walizką. Pod aparaturą była skrytka, a w niej leżało kilka strzykawek, każda w plastikowym woreczku. Sięgnęła po jedną z nich. Zerwała folię ochronną i podeszła do kroplówki wiszącej na stojaku z zamiarem wbicia igły w worek.

– Stać! Ręce do góry! Policja! – rozległo się ze wszystkich stron.

Nie wiadomo skąd zjawili się policjanci, jakby wyrosli spod ziemi; było ich czterech. Renata rzuciła strzykawkę na podłogę i próbowała wymknąć się przez taras na zewnątrz, ale nim zdążyła dojść do drzwi, została przydybana przez jednego z policjantów i zakuta w kajdanki. Marek zaś cały czas stał jak skamieniały. Wciąż nie wierzył, że zostali zdemaskowani. Przecież biskup ich zapewniał, że nie ma żadnego ryzyka, że nikt nigdy się o tym nie dowie. Sukinsyn, oszukał ich.

– Co jest w strzykawce? Jaki specyfik podawaliście waszym klientom? Czy ich zabijaliście?

Marek nie odpowiadał, bo tego nie wiedział. Preparat dostarczał im ojciec, a on o nic nigdy nie pytał.

– To jakaś pomyłka. Ja nic nie wiem. My nikomu nic nie wstrzykiwaliśmy. Ja jestem niewinny. Może ona? – Ruchem głowy wskazała na Renatę. – Ja o niczym nie wiem. Mam paszport dyplomatyczny, nie możecie nam nic zrobić – bąkał łamanym angielskim.

Policjant założył mu kajdanki, po czym podsunął mu tablet przed oczy. Na filmie Marek zobaczył siebie i siostrę, jak obsługują ostatnią projekcję, tę w Niemczech. Wyraźnie było widać, jak Renata wstrzykuje w kroplówkę jakiś preparat. Skąd mieli to nagranie? To przecież niemożliwe. W pokoju byli sami.

– Co to jest? – dudniło mu w uszach niczym dzwon. – Co to za trucizna? Czego użyliście, żeby pozbawić życia tego mężczyznę, a teraz tę kobietę?

Milczał.

Kiedy Agata wsiadła do samolotu, od razu jej uwagę przykuło dwóch mężczyzn o śniadej cerze i ciemnych oczach siedzących dwa rzędy dalej. Oni też ją zauważyli i od początku lotu co rusz odwracali się i na nią zerkali.

– Cholera, rozpoznali mnie – zaklęła pod nosem. Kingsley miał rację, gdy ostrzegał ją przed takimi lotami, ale czy miała inne wyjście? Ta robota wymagała ciągłego przemieszczania się. Teraz na szybko analizowała sytuację. Zaraz po lądowaniu musi rozpląnąć się w tłumie. Może wystarczy zadzwonić do ochrony i zgłosić podłożenie bomby w gmachu lotniska? Zrobi się szum, natychmiastowa ewakuacja, a przez to bałagan. To będzie dobry moment, żeby się ulotnić. Tylko co będzie z Georgem? Przecież go nie porzuci, a zatem ten pomysł odpada. Musi wymyślić coś innego. Nagle jeden z podejrzanych mężczyzn dźwignął się z siedzenia i ruszył w jej stronę. W pierwszym odruchu jej ręka powędrowała do torebki, ale zaraz cofnęła się, przecież pistolet został w samochodzie. Ich spojrzenia się spotkały. Sukinsyn się uśmiechał. Podeszedł jeszcze bliżej i nachylił się do niej.

– Agata, czy to naprawdę ty?

Przecież to Johnny, dopiero teraz go poznała. Odetchnęła z ulgą. Zmienił się, przybrał sporo na wadze, przez co twarz mu się zaokrągliła. Byli razem w Sudanie.

– Nie poznajesz mnie?

– Teraz tak.

– Od naszego spotkania minął szmat czasu. Tamten tam – wskazał palcem swojego towarzysza – to mój syn.

Mężczyzna chciał coś jeszcze powiedzieć, ale spojrzął po twarzach innych pasażerów i odpuścił. Przecież ich nie znał. Obydwoje jechali na jednym wózku, obydwójce byli na czarnej liście dżihadystów. Wymienili znaczące spojrzenia, po czym ścisnął jej dłoń i wrócił na swoje miejsce.

NIEMCY

Ledwie Agata wysiadła z samolotu na lotnisku w Stuttgarcie, zadzwonił do niej Kingsley.

– Masz Internet? – spytał. Po głosie poznała, że jest bardzo podekscytowany.

– Nie, a co się stało? Ruscy weszli do Polski? Wybuchła trzecia wojna światowa, a może Putina chuj strzelił?

– Prawie. Biskup na czele zbrodniczej organizacji! Wszystkie portale aż o tym huczą! To jest prawdziwy hit medialny, a tymi, co uśmiercali klientów, były jego dzieci, córka i syn. Użyli do tego potasu, środka praktycznie niewykrywalnego. Mieli też ochroniarza, kobietę, ale o niej jakoś nikt się nie rozpisuje. Ciekawe dlaczego? Jak myślisz?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Zaśmiała się. González wywiązał się ze swojej obietnicy. To była cena, jaką zapłacił za materiał. – Wciąż się zastanawiam, jak mogłam nie wykryć tej skrytki. Przecież wielokrotnie sprawdzałam tę przekłętą walizkę. Ten, co to wymyślił, był prawdziwym mistrzem kamuflażu.

– Nie obwiniaj się. Sekcje też nic nie wykazały.

– Niby tak, ale czuję, że mogłam dać z siebie więcej. Muszę kończyć, bo odbieram Georga. Później zadzwonię.

– Dobrze, ale uważaj na siebie, bo w Stuttgarcie jest pełno muzułmańskich imigrantów. Niemcy ich dokładnie nie sprawdzają, więc wśród nich mogą być i terroryści.

– Spokojnie, długo tu nie zabawię. W samolocie spotkałam Williamsa. Pamiętasz go?

– Znałem dwóch Williamsów. Czy masz na myśli tego o ksywce Muzułmanin z racji ciemnej karnacji skóry?

– Dokładnie tak.

– Czy on też zwiariował? Nie powinien się tu plątać, to jest szukanie guza. Obydwoje jesteście niezłe porąbani.

– Przestań jęczeć, wszystko będzie dobrze. Odezwę się później.

Ponad godzinę czekała na wydanie psa. Była wściekła, zwierzę powinno być rozładowane w pierwszej kolejności, przed wszystkimi manelami. Najpierw samolot opuściły jakieś południowe grzyby, później owoce, a następnie paczki z chińskimi koszulkami. Powinna napisać skargę.

Wreszcie na wózku elektrycznym kierowanym przez sikha zobaczyła klatkę. Hindus wyglądał śmiesznie w tym swoim turbanie, ale już wołała te nakrycia głowy aniżeli muzułmańskie hidżaby, na których widok dłonie zaczynały jej drżeć. Podsunął jej papiery do podpisania. Nawet ich nie czytała, spieszyła się, bo chciała zdążyć do miasta przed zamknięciem sklepów. Zapakowała Georga do samochodu i bezpośrednio z lotniska pojechali do centrum. Dopiero późnym wieczorem, żeby nie rzucać się w oczy, wynajęła pokój w niedużym pensjonacie na peryferiach miasta. Zanim poszła spać, udała się do łazienki z siatką zakupów z drogerii, a po godzinie została krótkowłosą blondynką. Inny kolor włosów, inna długość i od razu inny człowiek. Na szczęście pies nie dał się oszukać. W plecaku było zamaskowane drugie dno, a tam leżał paszport na nazwisko Szmidt, imię Julita. Dokument odmładzał ją o pięć lat, i to bez botoksu. Patrzyła w lustro i uśmiechała się, chyba pierwszy raz od lat.

Wstała wcześniej rano i opuściła hotel. Pojechała do pobliskiego oddziału wypożyczalni samochodów, z której wcześniej wzięła renault, i teraz go zdała. Tysiąc euro dodatkowo kosztowała ją ślina Georga na tapicerce. W ten sposób zamknęła pewien rozdział. W innej firmie, oddalonej o dwie przecznice, wypożyczyła SUV-a BMW, ale już na nazwisko Szmidt, i nim ruszyła w kierunku Polski. Georg rozsiadł się dumnie obok niej i jak zwykle ślina obficie spływała mu z pyska prosto na śnieżnobiałe siedzenie niczym lawa z wulkanu podczas erupcji. Słońce świeciło Agacie w oczy, więc sięgnęła po okulary. Włączyła radio i zaczęła przeszukiwać wszystkie pasma. Zatrzymała się na latynoskiej muzyce. Zateęskniła za słoneczną Hiszpanią. No i ta piosenka, *Señorita*. Kiedy zamknie swoje sprawy w Polsce, wróci do siebie i odwiesi działalność, może tym razem pójdzie jej lepiej w zawodzie detektywa. Kingsley się wścieknie, kiedy zakomunikuje mu swoją decyzję, ale w końcu się z tym pogodzi. Nie ma innego wyjścia. Nie będzie rządził jej życiem.

POLSKA

Granicę Polski przekroczyła wczesnym popołudniem. Kilkadziesiąt kilometrów przed Poznaniem zjechała na stację benzynową, żeby zatankować. Ze zdumieniem zauważyła na parkingu tego samego złodzieja, z którym kilka dni wcześniej zamieniła się na samochody. On też ją zobaczył i od razu, mimo innego koloru włosów, poznał. Chciał wiać, ale była szybsza i chwyciła go za połę kurtki. Był wystraszony, jakby zobaczył ducha.

– Czemu zwiewasz?

– Nie chcę mieć z panią nic wspólnego. Pani gabloty była bardzo trefna, ale pani jeszcze bardziej. Już po godzinie osaczyli mnie jacyś faceci wymachujący bronią. Coś gadali, ale nie wiem co, bo po angielsku. Byli wściekli, ich nie interesował samochód. Oni szukali pani. Puścili mnie, ale kumple dali mi cynk, że na drogach policja ustawiła blokadę, że szukają stalowego mercedesa. Wolałem nie ryzykować i porzuciłem tę gablotę w jakimś lesie. Nic na niej nie zarobiłem, a jeszcze straciłem swój wózek.

Agata domyśliła się, że gdzieś w samochodzie miała podczepiony nadajnik GPS, o którym nie wiedziała. A zatem ludzie Lenza wciąż ją obserwowali. Widocznie w Syrii coś musiało im pójść na opak.

– Ten twój wózek stoi zaparkowany zaraz za granicą, we Frankfurcie, jeśli go do tej pory śmieciarze przez przypadek nie zabrali, mogę ci podać nazwę ulicy.

– A na co mi ten złom? Nawet nie zamierzam po niego jechać. – Parsknął śmiechem.

– Co z tobą? Przed chwilą prawie sobie włosy z głowy rwałeś z rozpaczny nad jego stratą.

– Nie wart tego, żeby do niego wsiadać. To przecież rzęch. Dostałem go od pewnej niemieckiej dzidzi za dwie działki.

Spojrzał na jej samochód.

– Tę furę mogę wziąć, i to w ciemno.

– Nawet nie waż się o tym myśleć. Teraz lepiej zejdź mi już z oczu – rzekła lodowatym głosem i puściła jego kurtkę.

– Tylko żartowałem – odburknął, poprawił sobie katanę i się oddalił.

Agata stanęła w długiej, zakręconej kolejce do kasy. Prawie wszyscy przed nią zamiast płacić za benzynę czy ropę, kupowali alkohol. Zdenerwowała się. To stacja benzynowa czy sklep monopolowy? W końcu przyszła i na nią kolej, więc zapłaciła za paliwo i kupiła dwa hot dogi, jeden dla siebie, a drugi dla Georga. Kiedy mu go zaniosiła, spojrzał na nią tym swoim smutnym wzrokiem. Jego wierne smutne oczy mówiły:

– Czemu tylko jeden i dlaczego z musztardą? A w ogóle to ja wolę z ketchupem.

– Żebyś się nie upaś, jak ta świnia Pakulski, a musztarda jest zdrowa.

Ruszyli w dalszą drogę.

Samochód zostawiła na parkingu nieopodal teatru w samym centrum Płocka. Stąd było niedaleko do restauracji Stara Karczma, tak w każdym razie twierdziła aplikacja mapy w google.pl. Tam miała nadzieję spotkać Janusza Sobieraja, według Kowalskiej jej stryja. Przeszła ulicą Tumską, miejskim deptakiem, potem skręciła w prawo i ulica Grodzka doprowadziła ją do starówki. Po drodze Agata minęła cukiernię, gdzie serwowano wielkie lukrowane rogalce. Wyglądały bardzo apetycznie. Postanowiła, że wracając, kupi trzy, jeden dla siebie i dwa dla Georga, bo on jak każdy facet uwielbiał słodczyce. W końcu zobaczyła szyld restauracji. Przed wejściem do lokalu był spory drewniany taras, na nim też ustawiono kilka stolików. Przy części z nich siedzieli klienci. Żaden z wyglądu nie przypominał szukanego mężczyzny. Zaczepiła kelnera. Najpierw wcisnęła mu w kieszeń banknot dwadzieścia euro, dopiero potem wyrecytowała:

– Szukam niewysokiego, łysawego mężczyzny, który chodzi w szarej jesionce i nosi starodawny kapelus, i którego okulary mają czerwone oprawki.

– Siedzi w środkowej sali przy oknie. To jego stałe miejsce. Dziś przyszedł z Iwanem, wciąż się z nim prowadzi. Lepiej na niego uważać.

To już drugi mężczyzna, który ją przed tym Ukraińcem ostrzegwał. Musiał to być naprawdę kawał sukinsyna.

Sala był długa, na ścianach dominował ten sam ostry kolor, co przy wejściu. Po obu stronach przejścia stały stoliki, przy niektórych siedzieli goście, inne były jeszcze puste. Na kilku zauważyła prostokątne karteczki z wydrukowanym słowem „Zarezerwowane”. Sobieraja zlokalizowała bez trudu. Kto nosi takie okulary? Były okropne. Jaskra-

woczerwone oprawki, a w nich szkła grube niczym denka w butelkach. Podeszła do stolika i bezceremonialnie zajęła jedno z wolnych krzeseł. Nastąpiła chwila konsternacji.

Trochę to trwało, nim Ukraińcowi jedna kulka zesła się z drugą i zareagował. Poderwał się raptownie do góry, wyrzucając krzesło. Drugi z mężczyzn jedynie się uśmiechnął.

– Uspokój się – rzekł Sobieraj do Iwana. – To moja bratanica.

– Widzę, że ci już doniesiono, że cię szukam – stwierdziła i sięgnęła po cygaro.

– Stryja nie poczęstujesz?

Spojrzała na niego uważnie, po czym przecząco pokręciła głową.

– To są drogie cygara, każde po sto euro, a na dodatek trudno dostępne.

Roześmiał się w głos. Spojrzał na Ukraińca.

– Widzisz. To są geny. Jest zadziorna tak samo jak ja. À propos cygar, to w tym kraju w restauracjach jest zakaz palenia. – Palcem wskazała tabliczkę wiszącą na ścianie.

Powoli je schowała.

– A gdzie twój rottweiler? Ponoć jest jakiś wyrośnięty, prawdziwy mutant.

Zerknęła znacząco na Ukraińca.

– Tak jak twój. Obydwa karmieni hormonami wzrostu.

Zjawiła się kelnerka.

– Co państwo zamawiają?

– My to co zwykle – odparł Sobieraj. – A ty? – Spojrzał na Agatę.

– Ja nic, dziękuję, zaraz wychodzę.

– Czemu mnie szukasz? Czemu o mnie wypytujesz?

– Chcę wiedzieć, co się stało z moimi rodzicami. Nawet nie wiem, czy żyją, a jeśli nie, to gdzie są pochowani?

– Nie żyją. Obydwoje leżą na cmentarzu przy Norbertańskiej. Jak chcesz znaleźć ich groby, to w Internecie jest wyszukiwarka. Pewnie jak wpiszesz ich dane, to wyskoczy, gdzie to jest. Masz jeszcze jakieś pytania?

Ostatnie słowa zabrzmiały bardzo sucho. Wręcz nieprzyjaźnie.

– Chcę się czegoś o nich dowiedzieć. Jacy byli?

– On złamas kompletny, świr do kwadratu, miałem przez niego same kłopoty. Całe życie musiałem go niańczyć. A że czubek, to miał popęd seksualny niczym królik. Wszystkie baby by pieprzył, nawet twojej matce nie odpuścił, mimo że była ślepa, a na dodatek szkaradna. W końcu zgwałcił córkę jednego koleśka, a ten się z nim nie patyczkował. Jaja mu urwał, po czym go nimi nakarmił, a na sam koniec poderżnął mu gardło. Tak skończył twój tatuś, skończyły kretyn i idiota.

– Co się stało z tym, jak się wyraziłeś, koleśkiem?

– Zniknął. Nikt nie wie, co się z nim stało. Po prostu wsiąkł. Teraz psy z tego archiwum X od nowa go szukają, ale gówno poradzą, nie znajdą go, choćby cały Płock przepokali.

Agata roześmiała się w głos.

– Widzę, że jesteś tego bardzo pewny. Domyślam się, że wiesz, co mówisz.

– Ja nic nie wiem, ale jedynie tak przypuszczam. No bo skąd mógłbym wiedzieć?

Wiedziała, że kłamie, i bardzo jej się nie podobało, jak wyraził się o jej matce.

– A moja matka? Ta ślepa i szkaradna?

Wzruszył ramionami.

– Ładnie grała na fortepianie, to muszę jej przyznać. Ty też grasz? – Spojrzał na nią uważniej i od razu energicznie zaprzeczył sobie ruchem głowy. – Ty pewnie grasz, ale na nerwach. Ponoć jesteś baba z jajami, chodzisz z glockiem, nie boisz się zaczepiać facetów i zadawać im ryzykowne pytania. Pamiętaj jednak, jesteś tylko babą i każdy mocny facet zrobi z ciebie ketchup, nim zdążysz wyjąć tę swoją pukawkę. Iwan, mam rację?

Ukraińiec tylko skinął głową. Bezmyślny debil, jej Georg wyraźnie przerastał go intelektem.

– Tylko tyle mi powiesz o mojej matce? Liczyłam na dużo więcej. Chcę informacji, a może pamiętki po mamie. Nie masz jakichś zdjęć? Gdzieś coś musi być.

– Mam dwa pudła po tym debilu, twoim starym, leżą gdzieś na strychu. Chyba to jakieś ich fotki i dokumenty. Nigdy tego nie przeglądałem. Szkoda mi było czasu.

Agacie serce mocniej zabiło. Nieraz w myślach wyobrażała sobie, jak wyglądała matka. Zawsze była piękna. Teraz ten sukinsyn burzył jej wyobrażenia, brutalnie niszczył wizerunek budowany przez te wszystkie lata. Już tylko za to

szczyrze go znienawidziła.

– Wydaj mi te pudła i więcej mnie nie zobaczysz.

– Zgoda. Te szpargały tylko mi zawadzają.

– Gdzie i kiedy mam się po nie zgłosić?

– Dziś wieczorem. Przyjdź na ulicę Piekarską, na sam jej koniec, blisko pomnika Krzywoustego. Będę tam na ciebie czekał. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie wiem, ale się dowiem. O której mam tam być?

– Bądź o północy. Wtedy dostaniesz te swoje śmieci. Wreszcie się ich pozbędę. No chyba że się boisz?

Zignorowała to pytanie.

– No to jesteście umówieni – odparła, podnosząc się z krzesła. Na odchodnym zerknęła jeszcze na Iwana. Jeśli przy odbiorze pudeł będą jakieś komplikacje, to tę górę mięśni można pokonać jedynie sprytem lub kulką, inaczej faktycznie zrobi z niej ketchup.

Idąc do wyjścia, minęła się z kelnerką niosącą wielkie półmiski mięsiwa. Domyśliła się dla kogo. Czyje trzewia mogły pochłoniąć takie ilości jedzenia? Tylko tego bezmózgowego wielkoluda.

Wyszła na zewnątrz lokalu i od razu o mało nie uległa wypadkowi. To przez elektryczną hulajnogę. Pędził na niej jakiś licealista z rozwianą czupryną, pewnie spóźniony na zajęcia. Tylko swojemu refleksowi zawdzięczała, że na niej nie garażował. Idąc dalej ulicą, zauważyła znajomą twarz. To ten polski kombatan z Afganistanu, co wraz z mętami obrabiał butelkę taniego wina w kamienicy, w której mieszkała Kowalska. Stał oparty o mur i palił papierosa. Patrzył na nią nachalnie. Pomachał do niej ręką, tak jakby byli starymi przyjaciółmi. Ciekawe, czy to on dał cynk Sobierajowi, czy może zrobił to któryś z jego szemranych kumpli. Chciała go o to zapytać, ale w końcu poniechała tego zamiaru, bo w sumie co by jej to dało? Wróciła na parking, a kiedy otworzyła drzwi auta, ze zgrozą odkryła... prawdziwe pobojoowisko. Tym razem Georg najwyraźniej przeszedł samego siebie w dewastacji samochodów, bo oparcie jego siedzenia było w strzępach. Rozerwał je dosłownie na drobne kawałki. Na widok Agaty usiadł niczym sfinks i zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Ciekawe, ile będzie kosztowała naprawa, ale na pewno sporo. Nie da mu roga! sama je zje, choćby miała po tym dostać cukrzyca, bo sukinsyn nie zasłużył na nagrodę.

Spojrzała na zegarek, miała sporo czasu do północy. Uwiązała Georga na smyczy i ruszyła z nim w miasto. Ponoć Wzgórze Tumskie i starówka są godne obejrzenia, tak wyczytała w Internecie, a prócz tego to tutaj się w końcu urodziła, więc to był taki spacer ku korzeniom. Po drodze niezauważalnie przyłączyła się do jakiejś wycieczki, którą oprowadzał młody mężczyzna w okularach, pewnie miejscowy przewodnik. Ze zdumieniem słuchała jego opowieści o historii swojego rodzinnego miasta, o tutejszych władcach, tajemniczych lochach, a nawet o księciu krzyżowcu walczącym na murach Jerozolimy. Z zainteresowaniem obejrzała katedrę z romańskim rodowodem, stary klasztor benedyktyński i wieżę zegarową. To było wspaniale spędzone popołudnie.

Tuż przed północą zjawiała się w umówionym miejscu, nieopodal pomnika Krzywoustego. Przyszła piechotą, bo wjazd na tę część ulicy był zabroniony, a Georga zostawiła w samochodzie, bo i tak już nie miał nic do niszczenia. Uważała, że nie powinno być żadnych problemów z odbiorem pamiątek po rodzicach. Zwłaszcza że Sobieraj był jej stryjem i sam stwierdził, że chętnie pozbędzie się tych papierów.

Od razu zauważyła stojącego na ulicy ciemnego volkswagena passata. Przy jego bagażniku stał Sobieraj, po jego delikatnie przygarbionej sylwetce poznała go z daleka. Tylna kłapa auta była podniesiona. Widząc ją, pomachał do niej ręką, żeby podeszła bliżej. Tak też uczyniła. Ukraińca nigdzie nie zauważyła, więc tym bardziej poczuła się pewniej.

– Masz te swoje pudła. Zabieraj je z mojego samochodu – rzekł do niej, wskazując dłonią kufer auta. Zajrzała, a tam na dnie stały dwa małe kartony. Była zawiedziona, bo wcześniej mówił o czymś większym. Schyliła się po nie.

– To wszyst...

Nagle poczuła silny ból głowy i wszystko zniknęło.

Agata się ocknęła. Głowa ją okropnie bolała, dosłownie pękała. Czowała, że nie może się ruszyć, była czymś silnie spętana. Otworzyła oczy. Szarpnęła się, ale na nic się to zdało. Siedziała na krześle, była do niego przywiązana grubym sznurem. Ręce miała wykręcone do tyłu, w nadgarstkach czuła uciskające ją plastikowe opaski. Rozejrzała się wokół siebie, to był jakiś metalowy kontener. Przy suficie świeciła się żarówka. Było tu okropnie brudno. Jej krzesło stało na środku. Już kiedyś była w podobnej sytuacji, tylko wtedy było jeszcze gorzej, bo na dworze panował nieznośny upał, a kontener stał w pełnym tropikalnym słońcu i był nagrany do granic możliwości.

Zerknęła na sznur, na metodę spętania, i od razu zauważyła, że to fachowa robota. Nie warto było tracić sił. Musiała znaleźć inny sposób, żeby się uwolnić.

Zazgrzytały zawiasy drzwi, do środka wpadło światło dzienne. Agata odruchowo zmrzyła oczy.

Zobaczyła Sobieraja. Wszedł do kontenera i stanął może z metr przed nią. Uśmiechał się szyderczo. Pewnie był z siebie bardzo zadowolony, że ją przechytrzył.

– Czyś ty zwariował?! Czego ty ode mnie chcesz? Szukałam tylko informacji o moich rodzicach, niczego więcej! – ryknęła na niego.

– Taki kit to możesz innym wciskać. Ja wiem, po co przyjechałaś. Ty nie przyjechałaś pytać o nią, ty przyjechałaś po pieniądze – oznajmił jej lodowatym głosem.

Co on pierdoli? O czym on w ogóle mówi? Co za pieniądze? Patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– To znaczy? Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz. Do cholery, o jakich pieniądzach mówisz?

– Nie udawaj idiotki. Pojawiała się, bo zobaczyłaś ogłoszenie w gazecie. Przeczytałaś, że chcę cię uznać za zmarłą. Popierdoliłaś mi szyki, zepsułaś interes.

Była coraz bardziej zdumiona.

– Wciąż nic nie rozumiem. Czemu chciałaś mnie uznać za zmarłą?

– Nie wiesz? Żeby móc sprzedać te kamienice. Od lat wisisz mi w papierach jak wrzód na dupie. Cholerny braci-szek, dobrze, że tylko ciebie zrobił, bo inaczej miałbym tu na głowie zatrzęsienie jego pierdolonych bękartów.

– Nie obchodzi mnie jakaś kamienica.

– Nie jakaś, tylko cztery, i to w samym centrum miasta. Nie liczę chałupy twojej matki, bo to gówna warta rudera.

Wreszcie do Agaty dotarło. Z jego słów wynikało, że on i jego brat coś odziedziczyli i to coś musiało być sporo warte. Dlatego chciał uznać ją za zmarłą.

– Nie obchodzi mnie te nieruchomości. Uwolnij mnie, oddaj mi pamiątki po rodzicach i się rozejdziemy.

– Na pewno. – Zarechotał, najwyraźniej nieprzekonany co do jej intencji, bo on zapewne nigdy by nie przepuścił takiej okazji, żeby się wzbogacić.

– To co chcesz zrobić? Chcesz mnie zabić? Przecież jestem twoją bratanicą, twoją rodziną.

– Ja cię nie zabiję. Iwan to robi za mnie, a brat zawsze mnie wkurwiał. Nie cierpiałem go.

– Podpiszę ci stosowne dokumenty.

– Dziś podpiszesz takie, a jutro inne. Po co to komplikować? Znikniesz i wszystko wróci do normy. Za miesiąc mi-nie termin i zostaniesz uznana za zmarłą. Zresztą będzie to zgodne z prawdą.

Z kieszeni płaszczka wyjął cygaro. Od razu poznała, że to jej.

– Zapal ostatni raz. Tu nie restauracja, tu możesz sobie dymka puścić – zakpił.

Włożył jej cygaro do ust i podał ogień. Sam sięgnął po papierosy.

– Pewnie chcesz wiedzieć więcej o tej ślepej suce i moim braciszku? Już ci mówiłem, że to był okropny niedorozwój. Do niczego się nie wziął, tylko całymi dniami włóczył się bez celu po mieście. Kiedyś oznajmił mi, że chce zostać malarzem. Nie takim pokojowym, ale prawdziwym, artystą. Kupiłem mu farby, pędzle, nawet sztalugi. Po tygodniu zastałem go w domu leżącego na jakiejś dziwce. Ponoć mu pozowała. Przez miesiąc nie namalował żadnego obrazu, nawet farb nie rozpakował. Przez ten czas używał tylko swojego pędzla. Nagle stwierdził, że to nie to, co chciałby w życiu robić, że chce tworzyć dywany. Kupiłem mu maszynę tkacką. Pamiętam, że nie była tania. Musiałem sprzedać motocykl. Skończyło się tak jak z malarstwem, na obietnicach. Byłem już na niego nieźle wkurwiony, ale apogeum wkurwienia osiągnąłem, kiedy w jego mieszkaniu zamiast maszyny tkackiej zastałem fortepian. Postanowił zostać muzykiem. Twoja matka mieszkała piętro nad nim. Skumali się. Ona go uczyła grać, a on zrobił jej bachora, czyli ciebie. I to jest cała historia.

– A jak umarła moja mama? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Wiem, że zamknęli ją w jakimś ośrodku dla debili. Później go opuściła i jeden taki ją ukatrupił. Chciał mi dojechać. Głupi, nie wiedział, że to mi wisi – odparł ze śmiechem.

Agata ze złością szarpnęła się na krześle. Sukinsyn wciąż ubliżał jej matce. Kpił sobie z niej. Była wściekła na siebie, że dała się tak podejść. Ale skąd mogła wiedzieć o tych przeklętych kamienicach?

Cały czas podczas przemowy Sobieraja próbowała za wszelką cenę uwolnić dłoń. Szarpała nimi, aż porobiły jej się na nich rany. Niestety, wszystko to na próżno.

– Jak zginął mój głupi brat, to ci mówiłem już wcześniej. Masz może jakieś ostatnie życzenie, bo jak wyjdę, to już się nie zobaczymy.

– Idź, sukinsynu, do diabła!

– Panie pójdą przodem – odparł z drwiną. Zgasił peta i opuszczył kontener, zamykając szczerlnie drzwi za sobą.

Agata znów została sama. Na szybko oceniała sytuację. Powietrza miała na kilka godzin, później zacznie się dusić, okropna śmierć. Podejrzewała, że jej położenie będzie jeszcze gorsze, jeśli faktycznie zjawi się tu Iwan, bo wyglądał na prawdziwego sadystę. Durny koniec, ale i tak bywa. Przynajmniej przed śmiercią dowiedziała się czegoś o swoich rodzicach.

Zaczęła się bujać na krzesła, coraz bardziej i bardziej. Chciała je wywrócić, może wtedy pięknie, a może będzie jeszcze lepiej i rozpadnie się na części. W końcu tak jak chciała krzesło się wywróciło i znalazła się na podłodze. Mebel wciąż był w całości, a więzy trzymały mocno. Ją zaś tak bolał bark, że mogła wyć z bólu.

W Syrii było identycznie. Też nie udało się jej uwolnić, za to hałas postawił na nogi terrorystów. Było ich czterech, wszyscy kompletnie pijani. Wpadli do jej celi, a widząc, co kombinowała, wściekli się i postanowili ją przykładnie ukarać. Krzesło postawili na powrót, po czym przywieźli wózek z butlami acetylenowymi i tlenem. Jeden z nich odkręcił zawory i wziął w ręce palnik. Podпалиł go i zaczęli zabawę. Podawali go sobie z rąk do rąk, po czym zbliżali do jej ciała. Najpierw plecy, później bark, rękę, a na koniec miejsca intymne. Smród palonego ciała był nie do zniesienia, a oni się dalej bawili. Agata wyła z bólu, co i raz tracąc przytomność, wtedy cucili ją na wszelkie sposoby i dalej przypalali. Przestali, kiedy myśleli, że już umarła. Kingsleyowi zawdzięczała, że żyje, zresztą nie pierwszy raz. Też tak jak ona był ich więźniem, ale jemu się poszczęściło, jemu udało się uwolnić z więzów. Zastrzelili sadystów, wszystkich czterech, i to z ich własnej broni. Błagała go, żeby ją dobił, że nie chce już żyć, że ból jest nie do zniesienia, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Później wiele miesięcy spędziła w szpitalach, wiele wycierpiała, jeszcze dziś po latach blizny na jej ciele mogły niejednym wstrząsnąć. Ale nie to było najgorsze. Nigdy nie będzie mieć dzieci, z tym też musiała się pogodzić. Początkowo nienawidziła Kingsleya za to, że jej nie dobił, ale z czasem mu wybaczyła. Wielu by się po czymś takim załamało, ale nie ona. Poza kilkoma kryzysami psychicznymi, które dopadły ją podczas rekonwalescencji, starała się jakoś zebrać do kupy i żyć.

Teraz, kiedy siedziała w kontenerze przywiązana do krzesła i czekała na śmierć, nie bała się, bo ona uwalniała ją od jej zeszpeconego ciała i wiecznego cierpienia. Bardziej myślała o Georgu, o tym, co się z nim stanie po jej śmierci. Czy ktoś odważy się go przygarnąć, czy może dostanie morbital w zastrzyku i uda się za swoją panią.

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Przyszedł Iwan, jej ostatni oprawca, bandzior wielki jak szafa trzydrzwiowa. Kończ, niech już mam to za sobą, pomyślała, patrząc na jego tępy pysk. Sukinsyn śmiał się, pewnie liczył na sporą frajdę. Z kieszeni spodni wyjął brzytwę i ją rozłożył. Niezbyt to wymyślne narzędzie tortur, ale w sam raz pasujące do takiego prymitywnego sukinsyna. Gdyby jeszcze wyjął zza paska siekiere, też by się nie dziwiła.

Nachylił się nad Agatą, wymachując jej brzytwą tuż przed oczami. Obrzydliwie śmierdziało mu z ust nieprzetrawionym czosnkiem. Wciąż się śmiał. Widziała spore braki w jego żółto-brązowym uzębieniu. Widocznie kiedyś trafił na większego od siebie zbira i ten mu jego zęby sprezentował jako zestaw koralików do powieszenia na szyi. Na powrót postawił krzesło.

Splunęła mu w twarz. Trafiła prosto w oczy. Przetarł je dłonią, był wściekły, bo nic bardziej nie wkurza sadysty jak kpiny z jego poczynań. Nie tego oczekuje po swojej ofierze. Czyjś strach go podnieca, dostaje od niego swoistego orgazmu. Teraz się dopiero zacznie, pomyślała.

Wtem kontener wypełnił huk wystrzału i ta wielka kupa ukraińskiego mięsa osunęła się prosto na Agatę, wywracając ją razem z krzesłem, które tym razem tej wyrotki nie wytrzymało i z wielkim łoskotem rozpadło się na kilka kawałków. Leżała teraz przyciśnięta ciałem Iwana, nie mogąc się nawet ruszyć. Na twarzy czuła jakąś lepka, gęstą ciecz, konsystencją przypominającą galarete.

Wiedziała dobrze, co to jest. To był mózg, który wypłynął z jego rozłupanej na dwie części głowy.

– Już panią uwalniam. – Usłyszała dziwnie znajomy głos. Ktoś szarpał Iwanem, aż w końcu zwałił go z niej.

– Uff! – odetchnęła z ulgą, wreszcie mogąc swobodnie oddychać.

Teraz dopiero zobaczyła twarz swojego wybawcy. To przecież niedawno poznany pijaczek, były żołnierz. Chyba prędkiej by się tu spodziewała Kingsleya niż jego.

– My, kombatanci, powinniśmy trzymać się razem – rzekł, po czym oparł obrzyna o ścianę i sięgnął po brzytwę leżącą na podłodze. Rozciął nią resztę sznurów i opaski na rękach Agaty. Zaczęła rozmasowywać nadgarstki, znów była wolna. Podniosła się z podłogi, by po chwili nachylić się nad zwłokami. Przeszukała je. Szukała swojego pistoletu.

– Tego, bratanico, szukasz?

Sobieraj celował w nią z jej glocka. Do cholery, skąd on się wziął? Przecież miał się tu już nie pojawić.

– A ty to kto? – spytał mężczyznę, który ją uwolnił.

– Przyjaciel – odparł tamten, niespodziewanie stając między nimi i tym samym zasłaniając Agatę swoim ciałem. Wiedziała, czemu to robi. Obrzyn był w zasięgu jej ręki. Wystarczyło tylko go chwycić i wystrzelić i przy tym nie spu-

dłować. To nie była łatwa broń, bo niezbyt celna, na szczęście stryj stał dość blisko. Przy jej wprawie trudno byłoby w niego nie trafić.

– Odsuń się, bo cię odstrzelę. Chcę widzieć dobrze was obydwój. – W głosie Sobieraja zabrzmiała niebezpieczna nuta. Raczej nie blefował, bo w tym, co robił, wyglądał na zdeterminowanego. Widząc trupa Iwana, zrozumiał, że Ukrainiec wypadł z gry, że teraz jest sam przeciwko nim dwojgu. Owszem, uzbrojony, ale chwila nieuwagi mogła go drogo kosztować.

– No, głuchy jesteś!? – ryknął groźnie, wymachując zamaszycie bronią. – Moja cierpliwość się kończy. Przesuwaj się! – Ostentacyjnie przeładował pistolet.

To był ten moment. Agata błyskawicznie sięgnęła po karabin, a kiedy już poczuła go w dłoni, zza swojego wybawiciela wygarnęła do stryja. Była szybsza od niego, ale i on zdążył nacisnąć spust. Trafiła sukinsyna, Sobieraja odrzuciło z metr do tyłu, po czym osunął się bezwładnie na podłogę. Agata z niepokojem zerknęła na kombatanta. Na szczęście nie był nawet drażnięty. Kula przeleciała tuż koło niego i utkwiała w ścianie. Widziała pot cieknący mu z czoła, nic dziwnego, niewiele brakowało, a mógł skończyć jak jej stryj leżący u ich stóp w kałuży krwi. Uklękła przy nim. Duży kaliber, okropnie zmasakrował mu bebechy, właściwie wyrwał pół brzucha. O dziwo, stryj jeszcze żył i był przytomny. Lewą dłonią przykrywał ranę, tak jakby to miało jakieś znaczenie, bo przecież nic go już nie mogło uratować. Jęczał z bólu. Na pewno okropnie cierpiał, bo takie postrzały są bardzo bolesne.

– Załatwiłaś mnie, suko – wyszeptał. W jego oczach nie było nawet nienawiści, raczej bezradność, pogodzenie się z losem. Patrzył gdzieś poza jej plecy.

– Mogłeś to inaczej załatwić, proponowałam, ale ty mnie nie słuchałeś. Nie ja cię załatwiłam, tylko twoja chciwość. Zasłępiła cię. Mnie naprawdę nie interesowały te kamienice. Powiedz mi, co ciebie, a może moich rodziców, łączyło z Pakulskim?

– Dłaczego mam ci coś mówić?

– Bo jesteś mi to winien.

– Pakulski? – Mówienie zaczęło mu sprawiać trudność. – Nie przypominam sobie nikogo takiego. A kto to?

Nie zna go? Była zawiedziona, ale zaraz... Kiedyś biskup wspomniął jej, że zanim został księdzem, nosił inne nazwisko. Może to było mu znane? Sobieraj słabł, jeśli sobie teraz nie przypomni, to być może ona nigdy się tego nie dowie. Nagle przyszło olśnienie.

– A nazwisko Pietrusiński brzmi znajomo?

– Pietrusiński? – Ranny był wyraźnie poruszony. – Bogdan?

– Nie, Adam.

– Adam to był starszy brat Bogdana, płockiego czyszciciela kamienic. Tego, co przejmował nieruchomości przydowskie i nie tylko je. Falszował dokumenty, testamenty. Mówią, że jego własnością jest połowa Starego Miasta. Adam od dawna nie żyje. To właśnie on zabił twoją matkę.

– Mylisz się, żyje, jest duchownym.

– Kim? Żartujesz? Ten sukinsyn został klechą?! – wyrzucił z siebie resztką sił i znieruchomiał. Od niego nic więcej się już nie dowie, to było pewne.

Agata powoli się podniosła. Była do głębi wstrząśnięta tym, co przed chwilą usłyszała. Pakulski zamordował jej matkę, ale dlaczego? Ona była kaleką, a on ją najzwyczajniej zabił. Nie daruje tego sukinsynowi, dorwie go, choćby miała na to poświęcić wiele lat. Nie ukryje się przed nią nawet za Spiżową Bramą. Wywlecze go stamtąd i zabije.

W końcu ciut ochłonęła. Spojrzała na swojego towarzysza.

– A właściwie to jak masz na imię? Ja jestem Agata.

– Jestem Tomek Walczak.

– Powiedz mi, skąd się tu wzięłeś? Prędzej bym się ducha spodziewała niż ciebie.

– Śledziłem cię. Zresztą znam to miejsce. Wiedziałem, że cię tu przywiezie. Robił to już nieraz z innymi, po czym przepadali bez śluchu. Ten chuj Sobieraj to był śmieć nad śmiecie, więc wiedziałem, że nic dobrego nie może cię od niego spotkać. My, starzy żołnierze, powinniśmy trzymać się razem, tak jak to miało miejsce w Afganistanie. Przez ostatnie lata wszystko z domu wyniosłem i sprzedałem, bo potrzebowałem na wódkę, ale broni nie potrafiłem się pozbyć. No i się przydała.

Zerknął na Sobieraja, potem na Iwana.

– Co z nimi zrobimy? Zostawimy ich tak? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Mowy nie ma. Wszędzie tu jest pełno moich śladów DNA. Trzeba spalić kontener. A gdzie mój pies? Chyba go słyszałam, ale go nie widzę.

– Siedzi w twoim samochodzie. Musiałem go przekupić salcesonem. Dopiero jak zjadł, a właściwie połknął, cały jego kilogram, to mnie zaakceptował i pozwolił wsiąść za kierownicę.

Cały Georg, za dobre żarcie dałby się pokroić. To była jedyna jego słabość.

– Na dworze, po lewej stronie jest kran. Obmyj się, bo wyglądasz okropnie.

Posłuchała go bez słowa. Wyszła na zewnątrz i się rozejrzała. Znajdowali się na terenie jakiegoś nieczynnego zakładu. Kontener stał przy ścianie jakiejś hali, w której powybijano szyby w oknach, wszędzie dokoła było pełno gruzu, wysokie chwasty, jakieś skorodowane maszyny budowlane, ciężarówka bez kół z wydłubanymi reflektorami, wielki pług śnieżny z rozerwaną szuflą. Stały też trzy samochody osobowe. Jeden był jej, przez przednią szybę dojrzała Georga. Wiercił się nerwowo, widocznie i on ją zobaczył. Drugi pojazd to był volkswagen passat Sobieraja i trzeci, stara zielona toyota camry, zapewne Iwana.

– Sprawdźmy ich auta, może w którymś z nich jest kanister z benzyną. Przecież na pewno chcieli się jakoś pozbyć moich zwłok. Najpierw jednak umyję się i przebiorę. Mam nadzieję, że w kufrze mojego samochodu jest mój plecak.

Zeszło jej z tym kilka minut, dopiero potem zajrzała do volkswagena, a Tomek do drugiego pojazdu. W środku nie znalazła paliwa, ale w bagażniku wciąż były dwa kartony oraz jej torebka. Zerknęła do pudeł, były tam jakieś dokumenty i zdjęcia, ale teraz nie było czasu na dokładniejsze oglądanie. Znależisko pośpiesznie przełożyła do bagażnika swojego samochodu. W toyocie znaleźli dwa plastikowe baniaki o pojemności dziesięciu litrów każdy. Kiedy Tomek odkręcił jeden z korków, poczuł charakterystyczny zapach benzyny. Przyniósł pojemnik do kontenera i rozlał paliwo na podłogę.

Obok zwłok Ukrainka położył swój karabin, ale najpierw go czule pocałował. Miał go w Afganistanie, zdobył wojenną, a później, w drodze powrotnej z misji, przemycił go do kraju, co nie było trudne, bo nikt wtedy nie kontrolował wojskowych samolotów transportowych wracających z tej porąbanej wojny.

Agata w tym czasie rozlała zawartość drugiego białego butelki w wnętrzu pojazdów Iwana i Sobieraja.

Podpalili wszystko i pośpiesznie wsiadli do samochodu, Tomek za kierownicę, bo znał tutejsze skróty, a prócz tego wiedział, jak niepostrzeżenie dotrzeć do miasta. Agata usiadła na tylnym siedzeniu razem z Georgem, który wciąż nie mógł się nacieszyć jej widokiem. Położył łeb na jej kolanach, z oddaniem patrzył jej w oczy i lizał jej pokaleczone ręce.

W kwadrans, klucząc jakimis opłotkami, dojechali do centrum Płocka. Tomek zaparkował samochód na parkingu przy teatrze po czym wyłączył silnik, wyjął kluczyk ze stacyjki i podał go Agacie.

– Cieszę się, że ci pomogłem – rzekł. – Mam nadzieję, że nigdzie o tym nie wspomnisz. Niech to zostanie między nami, bo nie chcę kłopotów. Teraz wracam do swojego życia.

To były okropne słowa, bo dobrze wiedziała, jakie ono jest.

– A może chcesz spróbować czegoś innego? – spytała.

Spojrzał na nią, zdziwiony.

– To znaczy? Nie rozumiem. Co masz na myśli?

– Wyjedź razem ze mną z Polski, pomogę ci się ustawić. Mam kilku kolegów, też byli w Afganistanie. Może się nawet znacie. Znajdą ci dobrą pracę, mieszkanie, zatroszczą się o ciebie.

– Wyjechać z Polski? – zachnął się. – Nigdy! Wolę tu ulicę niż najładniejsze mieszkanie gdzieś w świecie. Tu jestem u siebie, choć nic nie mam. Tam też będę nikim, ale na obczyźnie.

– Twoja wola, ale na wszelki wypadek, gdybyś zmienił zdanie, dam ci numer telefonu do znajomego. On mieszka we Włoszech. Powiesz mu, że jesteś Tomek z Polski, znajomy Agaty. On już będzie wiedział, co robić.

– A czemu nie twój?

– Bo mój już dziś będzie nieaktualny, więc na co ci on?

– Pewnie nie tylko numer telefonu, ale i paszport? – Puścił do niej oko. – Mam rację?

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

– Potrzebujesz pieniędzy? Mów śmiało – zmieniła temat. Czula się w obowiązku jakoś mu pomóc, zrewanżować się. Bądź co bądź zawdzięczała mu życie. Takie długie ciężko się spłaca. Właściwie jest to niemożliwe, ale trzeba próbować.

– No wiesz! – obruszył się. – Jeszcze jakoś wiąże koniec z końcem.

Opuścił samochód i nie oglądając się za siebie, poszedł w stronę deptaka. Wiedziała, że skłamał, ale rozumiała dlaczego.

Chwilę patrzyła za nim, po czym przesiadła się, a Georg jak zwykle zajął miejsce obok niej. Chwyła kierownicę, czując, jak jej ręce drżą, silnie ją ścisnęła, ale nie pomogło. Sięgnęła do torebki po vicodin. Łyknęła go i popiła wodą mineralną. Wtedy zadzwonił telefon. Kingsley.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał. – Kilka razy dzwoniłem i nie odbierałaś, już się denerwowałem.

– Niepotrzebnie. Wszystko mam pod kontrolą. Opowiem ci całą historię ze szczegółami, jak się zobaczymy, bo to nie na telefon. Teraz jeszcze nie mogę opuścić Polski. Mam tu coś jeszcze do załatwienia, coś bardzo osobistego. Pewnie chcesz spytać co? Muszę zakończyć swoje rozliczenia z Pakulskim, jestem coś winna mojej matce i to ma z nim związek.

– Tylko na siebie uważaj. Wczoraj rozmawiałem z Lenzem. Mają cię wygumkować z tej afery. W końcu są ci coś winni. Zresztą to nie ty zabijałaś pacjentów i, co ważne, to ty przyczyniłaś się do zdemaskowania szajki biskupa. Gdyby nie ty, to dalej by mordowali klientów. Przed chwilą Lenz oddzwonił i kazał ci przekazać, żebyś pilnie pojechała do Warszawy i pokazała się w tym domu, który wynajęliście. Ma cię zobaczyć spore grono ludzi, najlepiej sąsiadów. Zostaw tam paszport i kilka drobiazgów, a potem dyskretnie się ulotnij. Resztę oni załatwią.

– I to wszystko? – zdziwiła się.

– Tak, tylko zrób to, co każe. Pokaż się ludziom, żeby cię dobrze zapamiętali. Aha, jeszcze jedno. Dzieci tego Pakulskiego nie żyją. W sumie to dobra informacja, bo nie będą strzępić języków na twój temat.

Ta informacja kompletnie ją zaskoczyła.

– Co się stało? – wydukała. – Sumienie ich ruszyło i popełnili samobójstwo? To mi do nich zbytnio nie pasuje.

– W żadnym razie. W samochód, którym ich przewozili do aresztu, uderzyła ciężarówka. Zginęli na miejscu. Wersja oficjalna mówi, że to był wypadek.

– Bzdura! Jak myślisz, czy to robota Lenza?

– Może tak, a może tych z Watykanu. Pewnie się tego nigdy nie dowiemy. Krótko mówiąc, zamknęli im usta. Teraz najważniejsze, żebyś bezpiecznie dotarła do Warszawy.

– Dobrze, ale najpierw pojedę na groby rodziców.

Agata przez całą drogę rozmyślała, co się stało z biskupem. Wciąż w uszach dźwięczały jej słowa Sobieraja. Pakulski vel Pietrusiński zamordował jej matkę. Sukinsyn, musi za to zapłacić. Nie odpuści mu, nie ma mowy. Dostanie go, choćby nie wiem co, to się należy jej matce. Tylko gdzie on jest? Czyżby wciąż się ukrywał w warszawskiej kurii? Jeśli tak, to się na niego zaczai, bo przecież kiedyś musi ją opuścić, musi wyjść ze swojej nory, a wtedy... pomyśli co dalej.

Było już ciemno, kiedy dotarła do Warszawy. Samochód zaparkowała przy ulicy Niedźwiedziej. Zarzuciła kaptur na głowę, żeby nikt nie zwrócił uwagi na kolor jej włosów. Miano zapamiętać jedynie jej twarz, i to też niezbyt dokładnie. Idąc w kierunku willi, zagadała do sąsiadów, którzy wyszli z psami na wieczorny spacer. Z każdym zamieniła kilka słów, tak aby utrwaliłi sobie jej wizerunek. Kilkakrotnie obeszła posesję, wydawało się, że jest bezpiecznie. Czyżby policji w dochodzeniu umknął ten adres? To było możliwe. Pakulski był bardzo cwany i pewnie podawał fałszywe dane dotyczące firmy, a ponieważ „Pomocna dłoń” działała pod kuratelą Kościoła, to nikt nie śmiał tego sprawdzać. Zresztą w dzisiejszych czasach, w erze komputerów i Internetu, ważniejszy okazuje się adres mailowy niż ten rzeczywisty. Firmy często mają swoje siedziby czy biura na drugim końcu świata i to im w żaden nie przeszkadza w prowadzeniu działalności.

Zgodnie ze wskazówkami Lenza zapaliła światło i wtedy... zobaczyła Pakulskiego. Stał w przedpokoju naprzeciwko niej i był nie mniej niż ona zaskoczony.

– Co ty tu robisz? Skąd się tu wzięłaś? – wydukał.

– A ty? – spytała. – Sukinsynu, pewnie przegonili cię z kurii niczym burą sukę. Z taką gnidą nawet oni nie chcą mieć nic wspólnego. Mam rację? Nawet nie wiesz, jak się cieszę na twój widok. Chyba to pierwszy raz. Właśnie wracam z Płocka, gdzie widziałam się z twoim dobrym kolegą, Sobierajem. Ucieliśmy sobie długą pogawędkę na twój temat. To była bardzo szczerza rozmowa. Kazał mi cię serdecznie uściskać. Dobrze pamięta wszystkie twoje dokonania, a szczególnie te sprzed wielu lat. – Agata mówiła cicho, wolno, ważyła każde słowo. Patrzyła mu w oczy i widziała w nich paniczny strach.

Twarz Pakulskiego pokryła się śmiertelną bledością.

– To nie było tak, jak on ci powiedział.

Zaśmiała się.

– A skąd wiesz, co mi powiedział? Przecież cię tam nie było.

Zrobiła krok w jego kierunku, on, widząc to, cofnął się. Cały drżał. Pot ciurkiem spływał mu z czoła.

– Jednego wciąż nie wiem – kontynuowała. – Czemu konkretnie mnie szukałeś i chciałeś do tej roboty? Gdybyś tego nie zrobił, nigdy bym się o tobie nie dowiedziała. Gdzie tu jest jakiś haczyk?

– Myślałem, że jesteś moją córką, naprawdę.

– A ty wciąż swoje. Już mi się znudziło tego wysłuchiwać. Wymyśl coś bardziej sensownego.

Zza paska wyszarpnęła pistolet, przeładowała go. Biskup był bliski omdlenia, cofał się coraz szybciej, aż przywarł plecami do ściany.

– Naprawdę! Chadzałem do twojej matki, znaleźliśmy się prawie od urodzenia. Ona mieszkała przy ulicy Grodzkiej, a ja przy Jerozolimskiej, to był od niej rzut beretem. Myślałem, że się pobierzemy, ale wtedy pojawił się ten sukinsyn, młody Sobieraj. Zupełnie zawrócił jej w głowie, a ona zgłupiała na punkcie tego czubka. Jednego dnia cały mój świat runął. Byłem wściekły, chciałem ze sobą skończyć. Poszedłem do niej i jej to powiedziałem. Wyśmiała mnie, kazała mi się wynosić. Wtedy rzuciłem się na nią i zupełnie się zapomniałem.

– Ty sukinsynu, zgwałciłeś ją?!

Ręka trzymająca glocka zaczęła jej drżeć.

Nic nie odpowiedział. Patrzył jak zahipnotyzowany na lufę pistoletu. Jeszcze mocniej przywarł plecami do ściany.

– Dlaczego ją zabiłeś? Mało ci było gwałtu na niewidomej?

– Kiedy się urodziłaś – dukał – przyszedłem do niej i chciałem zobaczyć moje dziecko. Nie chciała mi ciebie pokazać. Krzyczała, że nie jesteś moją córką, a ja jej nie uwierzyłem. Nie wiedziałem, że już wtedy sypiała z Sobierajem. Byłem pijany i agresywny. Kiedy otrzeźwiałem, zobaczyłem ją na podłodze, nie dawała znaków życia. Spakowałem się i uciekłem z Płocka do Krakowa. Na szczęście nikt mnie zbyt gorliwie nie szukał. Zdobyłem lewe dokumenty i żeby do końca zatrzeć za sobą ślady, wstąpiłem do seminarium. To, co zrobiłem twojej matce, nie dawało mi spokoju przez te wszystkie lata, aż w końcu postanowiłem cię odszukać. To nie było łatwe, ale Watykan ma kontakty na całym świecie i w końcu dotarłem do ciebie. Kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, wciąż wierzyłem, że jesteś moją córką. Pamiętasz, że w restauracji kilka razy wyszłaś do ubikacji? Wtedy z twojego krzesła wzięłem kilka twoich włosów i wysłałem je do badania. Kiedy przywiozłaś do Warszawy moje dzieci, wiedziałem już, że nie jesteś moją córką. W pierwszej chwili chciałem dać ci spokój, ale kiedy zobaczyłem, jak sobie radzisz z Renatą i Markiem, dotarło do mnie, że tak czy inaczej cię potrzebuję. To jest cała historia. Teraz możesz mnie zabić. Jest mi już wszystko jedno. I tak już jestem skończony. Jak nie ty, to oni mnie wykończą. Już załatwili Renatę i Marka, a teraz kolej na mnie. Oszukałem ich na gigantyczną kasę, a prócz tego za wszelką cenę nie dopuszczą do procesu.

Osunął się na podłogę, skulił i wybuchnął płaczem.

Agata wciąż trzymała go na muszce. Palec tkwił na spuście, ale coś ją blokowało. Nigdy nie zabiła bezbronnego, nawet najgorszego gada. Stała tak dłużej chwilę, aż w końcu opuściła ramię.

– Brzydzę się tobą i nie będę sobie tobą brudzić rąk. Mam nadzieję, że oni cię dorwą i za te wszystkie zbrodnie przykładnie ukarzą.

Schowała pistolet za pasek dżinsów, torebkę z paszportem na nazwisko Agata Reck skrycie wcisnęła do szafki w przedpokoju i wyszła.

Stanęła przed domem, na ulicy, wtedy nadjechało czarne bmw. Samochód zatrzymał się tuż przy niej. Ktoś w nim opuścił szybę.

– Wskakuj. Czas stąd spierdalać.

Od razu poznała po głosie. To Kingsley. A on skąd się tu wziął?

Wsiadła do auta.

– Nie wierzę własnym oczom, ty tutaj? – wydukała.

– Jestem w Polsce od kilku dni. Nie do końca wierzę Lenzowi. Nie chciałem, żeby ci się coś złego przytrafiło, żeby cię zbyt dosłownie wygumkował. Wszystko załatwiłaś?

– Tak, możemy już jechać.

Minęło sporo czasu, nim Pakulski podniósł się z podłogi. Stał chwilę, jakby się zastanawiał, co czynić dalej. Jego twarz, wcześniej śmiertelnie blada, pokryła się czerwienią, w oczach czaił się obłęd. Nagle ruszył w głąb mieszkania. Wszedł do pokoju, który wcześniej zajmował Jurij, informatyk. Zbliżył do jego biurka. Na nim leżał srebrny kuferek, identyczny jak ten, z którym jeździli Renata i Marek. Otworzył go i wyjął z niego okulary, te, które zakładano klientom, oraz kable z przyssawkami, które teraz przymocował sobie do głowy. Podwinął rękaw lewej ręki i wbił się igłą w żyłę, po czym podłączył sobie kroplówkę z jakąś cieczą. Nachylił się nad kuferekiem, ustawił program „Gułag”. Otworzył ukrytą w walizce skrytkę i wyjął z niej strzykawkę. Dopiero teraz założył sobie okulary na oczy, usiadł na krześle i włączył urządzenie. Cały czas trzymał w dłoni strzykawkę. W pewnym momencie wbił ją w pojemnik kroplówki i wstrzyknął weń całą jej zawartość.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

MIASTECZKO NA POŁUDNIU HISZPANII RESTAURACJA MARUJA

Kelnerka zręcznie przemykała między stolikami, trzymając w dłoni tacę z filiżanką kawy americano i ciasteczkiem. Zatrzymała się przy ostatnim, tym z najlepszym widokiem na morze, by postawić to wszystko przed klientką, szczupłą młodą kobietą ubraną mimo upału w bluzkę z długim rękawem.

– Señorita, nie mamy tequili. Mogę podać wódkę.

– Ile razy pytam, to jej nie macie. Moglibyście ją w końcu sprowadzić. W takim razie przynieś mi wino czerwone, może być jakieś regionalne, jak choćby Fondillón.

Kelnerka odeszła, a kobieta sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej lusterko i weń zerknęła. Krótkie jasnoblonde włosy, rysy twarzy szlachetne, rzęsy długie i, co ważne, nierzedźnięte, zęby śnieżnobiałe, ale zawsze o nie dbała. Kobieta przejechała delikatnie palcem po policzku. Uśmiechnęła się do siebie. Blizny już nie było. Jeden etap powrotu do zdrowia był już za nią. Z małej buteleczki wyjęła dwie pastylki vicodinu i je łyknęła.

Rozległ się dzwonek jej komórki.

– Cześć, dziś odebrałem dziwny telefon. – W słuchawce usłyszała głos Kingsleya.

– To znaczy? Czy mam się już pakować?

– Nie wiem. Dzwonił jakiś mężczyzna, źle mówił po angielsku, ale zrozumiałem, że ma na imię Tomek, że ma kłopoty, że go zamknęli za morderstwo, którego nie popełnił, i potrzebuje twojej pomocy. Wiesz, o co tu chodzi?

Poczuła, jak serce jej przyspieszyło, to pewnie adrenalina. Dobrze знаła to uczucie. Wreszcie znów coś się dzieje.

– Wiem. Jadę do Polski, a konkretnie do Płocka, do mojego rodzinnego miasta.

– Agata, błagam, tylko nie tam! Tamta sprawa jeszcze nie ostygła. Może cię ktoś rozpoznać, a wtedy będzie kłopot.

– Wtedy przyjmę propozycję Lenza.

– Skoro już tam jedziesz, to musisz coś wiedzieć.

– A mianowicie co? – spytała bez przekonania. Pewnie Kingsley wymyślił coś na poczekaniu, jakąś bajeczkę, żeby zmienić decyzję.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy uwolniłaś się z tego kontenera?

– Który kontener masz na myśli? Ten w Syrii?

– Nie, ten drugi, w Płocku. Jeszcze tego samego dnia byłem tam i przeszukałem mieszkanie Sobieraja.

– Czego tam szukałeś? – zdziwiła się.

– Nie uwierzysz, ale jedynie grzebień. Pobrałem z niego kilka jego włosów.

Przerabialiśmy już temat twojego rzekomego ojca i rodzeństwa, więc chciałem sprawdzić, czy faktycznie ten Sobieraj był twoim stryjem. Mało tego, opłaciłem grabarzy, a oni pod osłoną nocy wykopali trumnę twojej domniemanej matki i z niej pobraliśmy następny materiał do badań.

Poczuła, jak gorąco uderza jej do skroni. O czym on, do cholery, mówi?

– No i? – wydukała z wyraźnym trudem.

– No i... nie byliście spokrewnieni. To jest pewne, bo próbki wysłałem do dwóch niezależnych laboratoriów i wynik z obu przyszedł taki sam. Chciałem ci to powiedzieć podczas naszego następnego spotkania, ale skoro już teraz się wybierasz do Polski, to musisz to wiedzieć.

– Cześć. Pozdrów ode mnie Georga seniora – bąknęła i przerwała połączenie.

W jednym momencie wszystko się wywróciło. Całe tak mozolnie odtworzone dzieciństwo, drzewo genealogiczne nagle diabli wzięli. Do cholery, kim naprawdę jest? Dlaczego Sobieraj myślał, że jest jego bratanicą? Jeśli to prawda, to znaczy, że wszystkie papiery włącznie z metryką były sfalszowane, ale dlaczego?

Telefon znów zadzwonił, jeden raz, później następny, w końcu go przyciszyła.

Spojrzała smętnie na niewypitą kawę i niezjedzone ciasteczko. Im odpuści, ale poczeka na wino.

Dopiero kiedy opróżniła kieliszek, położyła na stole dwadzieścia pięć euro, po czym przycisnęła banknoty talerzykiem i wstała od stolika.

Na promenadzie zobaczyła José, uśmiechnął się do niej, a potem ręką uderzył w struny gitary.

Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita
Nie mogę oprzeć się, gdy cię spotykam
Twój każdy dotyk jest lalala
Jak sen lalala...
Razem w Miami
Powietrze ogrzała letni deszcz
Tak rozpaleni
Zanim poznałam imię twe
Lalala
Czułem się jak lalala
W blasku księżycy
Tylko z tobą tańczyć chcę
Tequila sunrise
Gdy mocno obejmujesz mnie
Lalala
Jesteś jak ulalala
Yeah
Kocham, gdy mówisz do mnie
Señorita

KONIEC